

James P. Hogan

Powrót Gigantów

Tom II Trylogii Gigantów

Przełożył Jan Koźbial

Wydanie oryginalne: 1978

Wydanie polskie: 1993

TMN

Prolog

Leyel Torres, dowódca stacji badawczej położonej blisko równika Iscarisa III, przeczytał ostatnią stronę raportu i z westchnieniem ulgi przeciągnął się w fotelu. Siedział przez chwilę, rozkoszując się uczuciem całkowitego odprężenia; czuł, jak oparcie zmienia płynnie kształt, dostosowując się do nowej pozycji ciała. Po chwili wstał, podszedł do stojącego obok biurka stolika i nalał sobie napoju z płaskiej butelki, postawionej na tacy. Chłodny, orzeźwiający płyn szybko usunął znużenie, ogarniające po dwu godzinach napiętej uwagi. Już niedługo, pomyślał. Jeszcze dwa miesiące i pożegnają na zawsze tę jałową, spaloną słońcem skalną bryłę; wnikną w czystą, świeżą, usianą miriadami gwiazd nieogarnioną czarną pustkę, dzielącą ich od domu.

Powiódł spojrzeniem po wnętrzu pracowni będącej częścią jego prywatnych apartamentów, rzuconych w chaotyczny konglomerat kopuł, pawilonów badawczych i anten, który od dwu lat był im domem. Od dwu lat, miesiąc w miesiąc, te same nużące rutynowe czynności! Trudno zaprzeczyć, że ten fascynujący projekt trzymał ich w ciągłym napięciu, lecz co za dużo, to niezdrowo; jeśli o niego chodziło, nie mógł się doczekać dnia powrotu.

Podszedł do jednej ze ścian i wpatrywał się przez kilka sekund w jej gładką powierzchnię, po czym rzekł głośno, nie odwracając głowy:

– Wideopłyta. Tryb transparency.

W jednej chwili ściana stała się półprzeźroczysta i roztoczył się przed nim wyraźny obraz powierzchni Iscarisa III. Od miejsca, gdzie urywała się gmatwanina konstrukcji i urządzeń bazy, jednostajnie, aż po wyraźnie zakrzywiony horyzont, ciągnęły się szeregi czerwonawobrunatnych turni i garbów, wrzynające się ostro w czarną, aksamitną kurtynę, haftowaną gwiazdami. Wyżej jarzyła się oślepiającym blaskiem ognista kula Iscarisa, napełniając pokój ciepłymi refleksami oranżu i czerwieni. Wpatrzył się w tę dziką pustkę; zapragnął znów spacerować pod błękitnym niebem, wdychać pełną piersią orzeźwiający wiatr. Nie, doprawdy, najwyższy czas wracać! Z zadumy wyrwał go głos dochodzący z nieokreślonego źródła:

– Marvyl Chariso prosi o połączenie, panie komandorze. Mówi, że to pilne.

– Przyjmuję – odparł Torres.

Odwrócił się twarzą do zajmującego większą część przeciwległej ściany ekranu. Po chwili ukazała się na nim sylwetka Charisa, głównego fizyka; mówił z laboratorium pomiarowego obserwatorium. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Level – zaczął bez wstępów. – Możesz tu zaraz przyjść? Mamy kłopoty... poważne kłopoty.

Ton jego głosu powiedział Torresowi więcej niż słowa. Jeśli Chariso był tak wzburzony, to musiało się dzieć coś naprawdę bardzo złego.

– Już idę – odparł, kierując się ku drzwiom.

W pięć minut później znalazł się w laboratorium. Fizyk przyjął go z twarzą zaszępioną jak jeszcze nigdy. Podeszli z Torresem do grupy urządzeń elektronicznych, gdzie drugi fizyk, Galdern Brenzor, z ponurą miną wpatrywał się w monitor, na którym migwały wykresy i liczbowe dane komputerowe.

– Wyraźne linie emisyjne w fotosferze – powiedział, kiwając poważnie głową. – Linie absorpcyjne przesuwają się gwałtownie w kierunku pasma fioletowego. Nie ma żadnych wątpliwości: nastąpiła znaczna, rozprzestrzeniająca się na zewnątrz destabilizacja jądra.

Torres spojrzał pytająco na Charisa, ten zaś wyjaśnił:

– Iscaris zamienia się w nową. Musieliśmy popełnić jakiś błąd i gwiazda zaczęła się rozdymać. Fotosfera eksploduje. Prowizoryczne obliczenia wskazują, że fala wybuchu dosięgnie nas za jakieś dwadzieścia godzin. Musimy się ewakuować.

– To niemożliwe... – szepnął Torres, patrząc na niego osłupiałym wzrokiem.

Uczony rozłożył ręce.

– A gdyby nawet, niczego nie zmienimy – odparł. – Później będzie czas zastanawiać się, gdzie popełniliśmy błąd. Ale najpierw musimy się stąd wydostać, i to szybko...

Torres wpatrywał się w zatroskane twarze fizyków, a jego umysł bronił się przed uznaniem bezspornych faktów. Spojrzał ponad ich głowami na duży ekran ścienny, ukazujący widok przesyłany przez nadajnik z odległości piętnastu milionów kilometrów. Widać tam było jeden z trzech olbrzymich emiterów promieni G (każdy stanowił cylinder długości trzech kilometrów i szerokości pół kilometra), umieszczonych na orbicie gwiazdy w odległości czterdziestu pięciu milionów kilometrów od Iscarisa i wycelowanych dokładnie w jej środek. Widoczna z tyłu za emiterem jaskrawa tarcza gwiazdy wydawała się normalnych rozmiarów, lecz gdy Torres wpatrzył się w nią, zdawało mu się, że się rozszerza – choć prawie niezauważalnie. Był to złowieszczy widok.

Na chwilę stracił głowę. Przytłoczył go ogrom zadań, które przed nimi stały, a które trzeba było rozwiązać racjonalnie pod nieprawdopodobną wręcz presją czasu; przytłoczyło go poczucie bezowocności dwuletnich wysiłków. Ale to uczucie minęło równie szybko jak się pojawiło i Torres przypomniał sobie o obowiązkach dowódcy.

– ZORAK – powiedział, podnosząc lekko głos.

– Słucham, panie komandorze – odparł ten sam głos, co za pierwszym razem w pracowni.

– Skontaktuj się natychmiast z Garuthem na „Szapieronie”. Zawiadom go, że wynikła sprawa nie cierpiąca zwłoki; trzeba zwołać naradę wszystkich dowódców ekspedycji. Żądam, by wysłał sygnał SOS, nakazujący wszystkim zgłosić się za piętnaście minut. Ponadto zarządz alarm w bazie; niech wszyscy czekają w pogotowiu na dalsze rozkazy. Włączę się w naradę za pośrednictwem multikonsoli w sali czternastej głównego obserwatorium. To wszystko.

Po upływie kwadransa Torres i obaj fizycy siedzieli naprzeciwko szeregu ekranów ściennych, ukazujących pozostałych uczestników narady. Garuth, naczelny dowódca ekspedycji, przebywający na statku-matce trzy tysiące kilometrów od Iscarisa III, pojawił się w towarzystwie dwóch asystentów. Wysłuchał raportu w milczeniu. Siedząca obok niego naczelna uczona wyprawy dodała, że od paru minut czujniki na „Szapieronie” odbierają podobne sygnały, co instrumenty na powierzchni Iscarisa III, i że wynik analizy komputerowej jest taki sam. Nie było wątpliwości: emisja promieni G w kierunku Iscarisa naruszyła nieoczekiwanie stan równowagi gwiazdy, zapoczątkowując proces jej przemiany w nową. Jedyne, co mogli zrobić, to błyskawicznie zabierać się stąd.

– Musimy niezwłocznie ściągnąć wszystkich naszych ludzi – odezwał się wreszcie Garuth. – Leyeł, chcę mieć jak najszybciej informację, ilu możecie przewieźć własnymi statkami; po resztę przysłemy wahadłowce. Monczar – zwrócił się innego dowódcy. – Czy jakieś nasze statki znajdują się w odległości większej niż piętnaście godzin drogi na maksymalnym ciągu?

– Nie, panie komandorze. Najdalej w pobliżu emitera numer dwa. Mogą tu być w dziesięć godzin.

– Dobrze. Proszę ich natychmiast wezwać. Jeśli to wszystko prawda, mamy szansę ratunku tylko na „Szapieronie”, przy użyciu głównych silników. Proszę przygotować rozkład przewidywanych przylotów naszych statków i zadbać o bezkolizyjne lądowanie na „Szapieronie”.

– Rozkaz.

– Leyeł... – ciągnął Garuth, odwracając głowę, tak iż na ekranie w sali czternastej obserwatorium widać było całą jego twarz – proszę przygotować do startu wasze statki i niezwłocznie rozpocząć ewakuację. Zamelduj się za godzinę. Każdy może zabrać tylko jedną torbę rzeczy osobistych.

– Chciałbym zwrócić uwagę na pewien zasadniczy problem, panie komandorze – odezwał się nagle naczelny inżynier Rogdar Jassilane z działu napędowego „Szapierona”.

– O co chodzi, Rog? – spytał Garuth.

– Nadal mamy kłopoty z systemem hamowania teroidalnych silników głównych. Jeśli włączymy teroidy, nie będziemy w stanie ich wyhamować, póki nie wyczerpią swej mocy.

Rozmontowaliśmy całe urządzenie hamujące. W ciągu dwudziestu godzin nie zdołamy go nawet złożyć, nie mówiąc o usunięciu awarii.

– Ale możemy uruchomić silniki? – upewnił się Garuth po chwili milczenia.

– Uruchomić, tak – odparł Jassilane. – Ale gdy czarne dziury zaczną wirować wewnątrz terroidów, wytworzony przez nie pęd kątowy będzie wprost niewyobrażalny. Bez systemu hamowania upłyną lata, nim ciąg zmniejszy się na tyle, że będzie można wyłączyć silniki. Nie wiadomo, jak długo będziemy szli na maksymalnym ciągu, nie mając możliwości zmniejszyć szybkości – mówił inżynier, rozkładając ręce. – Kto wie, gdzie zakończy się nasza podróż.

– Ale nie mamy wyboru – zauważył Garuth. – Wóz albo przewóz. Wyruszymy w drogę powrotną i będziemy orbitować w Układzie Słonecznym, póki nie wytracimy szybkości, abyśmy mogli wylądować. Czy jest inne wyjście?

– Wiem, o co chodzi Rogowi – wtrąciła naczelną uczona. – To nie jest takie proste. Przy szybkości, jaką rozwiniemy, poruszając się przez kilka lat z pełną mocą głównych silników, dojdzie do nieprawdopodobnej wręcz dylatacji czasu w porównaniu z jego upływem, mierzonym obrotem Iscarisa czy Słońca. Na naszej rodzimej planecie upłynie o wiele więcej czasu niż na pokładzie „Szapierona”, który będzie układem przyspieszonym. Wiemy, gdzie wylądujemy, nie wiemy natomiast, kiedy...

– W rzeczywistości efekt będzie jeszcze poważniejszy – dodał Jassilane. – Silniki główne pracują na zasadzie kontrolowanych zaburzeń czasoprzestrzeni, w które statek „wpada” jak w dziury. Zasada ta jest również źródłem swoistego efektu relatywistycznego. Będziemy więc mieli do czynienia z sumą opóźnień, wynikających z obu tych źródeł. Przy założeniu, że silniki główne będą pracowały nieprzerwanie przez kilka lat, trudno powiedzieć, co to w praktyce oznacza. Z czymś takim jeszcze się nie zetknęliśmy.

– Nie miałam czasu dokonać szczegółowych obliczeń – zabrała znów głos naczelną uczona. – Z pobieżnej kalkulacji wynikałoby, że musimy się liczyć z opóźnieniem rzędu milionów lat.

– Milionów? – zdumiał się Garuth.

– Tak – odparła, spoglądając bystro na uczestników narady. – Na każdy rok, jaki upłynie na pokładzie „Szapierona”, nim wytracimy szybkość potrzebną do ucieczki przed erupcją nowej, trzeba liczyć około miliona lat na naszej planecie.

Zapadła długa cisza. Wreszcie Garuth odezwał się powolnym i uroczystym głosem:

– Wszystko jedno, nie mamy wyjścia. To jedyna szansa przeżycia. Podtrzymuję swoje rozkazy. Do głównego inżyniera: proszę przygotować statek do podróży w subprzestrzeni i dokonać rozruchu silników głównych.

W dwadzieścia godzin później „Szapieron” wystrzelił na pełnym ciągu w przestrzeń międzygwiazdną. Pierwsza fala erupcji nowej osmalila mu kadłub i obróciła Iscarisa III w obłoczek pary.

Rozdział pierwszy

Przez czas nie dłuższy od jednego uderzenia serca wszechświata niezwykła istota zwana człowiekiem zeszła z drzewa, odkryła ogień, wymyśliła koło, nauczyła się latać i wyruszyła na podbój gwiazd.

Historia człowieka od chwili jego pojawienia się na Ziemi aż do dziś stanowi jedno pasmo gorączkowej aktywności, przygód i odkryć. Nigdy dotąd w ciągu eonów powolnej, statecznej ewolucji nie zdarzyło się nic podobnego.

Tak w każdym razie sądzono do niedawna...

Ale kiedy ludzie wylądowali na Ganimedesie, największym księżycu Jowisza, dokonali odkrycia, które obróciło wniwecz jeden z nielicznych pewników, jakich dotąd nie zdołała obalić nienasycona ciekawość człowieka: okazało się, że nie jest on istotą unikatową. Dwadzieścia pięć milionów lat temu inna rasa istot inteligentnych rozwijała się podobnie jak człowiek.

Na początku trzeciej dekady dwudziestego pierwszego wieku czwarta misja załogowa na Jowisza dała początek intensywnej eksploracji planet zewnętrznych względem Ziemi; założono pierwsze stałe bazy na satelitach Jowisza. Instrumenty umieszczone na orbicie okołoganimedzkiej wykryły głęboko w lodowej pokrywie satelity silną koncentrację metalu. Zbudowano więc specjalną bazę na powierzchni księżyca i poczęto drążyć szyby, chcąc dociec tajemnicy zagadkowej anomalii.

I oto w odwiecznym lodowym grobowcu odkryto ogromny statek kosmiczny. Na podstawie szkieletów znalezionych wewnątrz statku zrekonstruowano obraz nieznanego gatunku istot. Byli to prawdziwi olbrzymi, ich wzrost sięgał bowiem co najmniej dwustu pięćdziesięciu centymetrów. Poziomem technologicznym wyprzedzali ziemian o wiek albo więcej. Rasę inteligentnych olbrzymów, na pamiątkę miejsca ich odnalezienia, ochrzczono mianem ganimedów.

Kolebką ganimedów była Minerwa – planeta obiegająca niegdyś Słońce między Marsem i Jowiszem, która potem uległa zniszczeniu. Główna masa Minerwy została wyrzucona na skrajną orbitę okołosłoneczną i utworzyła planetę Pluton; mniejsze odpryski siłą przyciągania

Jowisza uformowała w pas planetoid. Na podstawie eksperymentów naukowych, między innymi testów na wystawienie na promieniowanie kosmiczne próbek substancji z pasa planetoid, wykazano, że rozpad Minerwy musiał nastąpić jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Ganimedzi – jak ustalono – opuścili System Słoneczny o wiele wcześniej.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką sensację wywołało odkrycie istot rozumnych, które już dwadzieścia pięć milionów lat temu osiągnęły tak wysoki poziom rozwoju naukowo-technicznego. Jeszcze ciekawszy – aczkolwiek dość oczywisty – był fakt, że ganimedzi odwiedzili Ziemię. Na pokładzie statku ganimedów znaleziono między innymi kolekcję okazów zwierząt, jakich oko ludzkie nigdy nie oglądało – całe spektrum przyrody ożywionej Ziemi z okresu oligocenu i wczesnego miocenu. Część tych próbek przechowała się dobrze zakonserwowana w puszkach, inne okazy – sądząc po zachowanych śladach – w czasie katastrofy statku były żywe; trzymano je w klatkach.

W czasie gdy dokonano tego odkrycia, na orbicie okołoksiężycowej montowano właśnie siedem statków, które miały polecieć na Jowisza jako piąta z kolei misja badawcza. Po otrzymaniu sensacyjnej wiadomości, do załogi misji dokooptowano specjalną ekipę uczonych, pragnących zgłębić tajemnicę ganimedów.

Mający blisko dwa kilometry długości statek komandorski Piątej Misji Jowiszowej okrążał Ganimedesa w odległości trzech tysięcy kilometrów. Na pokładzie pracował komputerowy system przetwarzania danych. Wyniki przesyłano za pomocą lasera do odbiornika Bazy Głównej na Ganimedesie, skąd za pośrednictwem łańcucha stacji przekaźnikowych sygnał kierowany był dalej na północ. W ciągu kilku milionowych części sekundy komputery Bazy Nadszybia, położonej o tysiąc kilometrów na północ od Bazy Głównej, dekodowały sygnał i wyświetlały dane na ekranie salki konferencyjnej Laboratorium Biologicznego. W tej chwili ukazał się skomplikowany układ symboli, przy pomocy których w genetyce ujmuje się wewnętrzną strukturę chromosomów. Pięcioro ludzi ścięzionych przy stoliku z napięciem wpatrywało się w obraz.

– Oto on. Przyjrzyjcie mu się dokładnie.

Mężczyzna, który to mówił, był wysoki, chudy i łysy. Miał na sobie biały kitel roboczy, a na nosie staromodne okulary w złotej oprawie. Stał z boku ekranu, wskazując jedną ręką schemat, a drugą szarpiąc nerwowo klapę marynarki. Profesor Christian Danchecker z Wydziału Badań Organizmów Żywych Sił Kosmicznych ONZ był szefem zespołu uczonych, którzy przybyli na Ganimedesa celem zbadania wczesnych ziemskich zwierząt, odnalezionych na statku ganimedów. Po chwili milczenia Danchecker jeszcze raz podsumował problem, który omawiali od godziny.

– Mam nadzieję – mówił – iż większość z was zdaje sobie sprawę, że schemat ten przedstawia układ molekularny, charakterystyczny dla budowy enzymu. Ten sam typ enzymu występuje w próbkach tkanek wielu gatunków, które do tej pory przebadano w laboratoriach misji J4. Powtarzam: wielu gatunków... różnych gatunków... – tu Danchecker, trzymając obu

rękami kłapy marynarki, spojrział wyczekująco na słuchaczy, po czym zniżył głos prawie do szeptu: – Tymczasem u żadnego z istniejących gatunków zwierząt ziemskich nie odkryto niczego choćby w najmniejszym stopniu przypominającego ten enzym. I w tym właśnie tkwi sedno problemu.

Paul Carpenter, najmłodszy uczestnik narady, blondyn o świeżej cerze, rozkładając ręce i spoglądając kolejno na siedzących obok towarzyszy, powiedział prosto z mostu:

– Nie widzę tu żadnego problemu. Ten enzym znaleziono w tkankach organizmów żyjących dwadzieścia pięć milionów lat temu, tak?

– Tak – skinęła głową siedząca naprzeciw niego Sandy Holmes.

– A więc w ciągu tych dwudziestu pięciu milionów lat enzym zniknął w procesie mutacji. Wszystko się zmienia, także enzymy. Szczepy pochodne od tego enzymu istnieją zapewne i dziś, ale po prostu w niczym go już nie przypominają... Nie? Nie mam racji? – spytał, widząc wyraz twarzy Dancheckera.

Profesor westchnął jak człowiek okazujący anielską cierpliwość wobec ignorancji.

– Mówiliśmy już o tym, Paul – podkreślił. – Tak mi się przynajmniej zdawało. Zrekapitulujmy: w ciągu ostatnich dwudziestu lat enzymologia zrobiła ogromne postępy. Skatalogowano i opisano praktycznie każdy enzym występujący w organizmach żywych, lecz z niczym podobnym do tej pory się nie zetknęliśmy.

– Nie chciałbym się sprzeczać – nie dawał za wygraną Carpenter – ale to niezupełnie prawda. O ile się nie mylę, rok czy dwa lata temu w katalogu pojawiły się nowe typy enzymów. Schneider i Grossmann z Sao Paulo odkryli serię P273B wraz z pochodnymi... a w Anglii Braddock...

– Ale to zupełnie co innego – przerwał Danchecker. – Owszem, odkryto nowe szczepy, ale należą one do standardowych rodzin enzymów. Odznaczają się cechami, jakie występują u pokrewnych, znanych nam już grup. A ten – wskazał na ekran – jest kompletnie nowy. Według mnie należy do zupełnie nowej klasy, której jest jedynym przedstawicielem. Nigdy dotąd w metabolizmie żadnej ze znanych nam form życia nie wystąpiło nic podobnego – zakończył i powiódł spojrzeniem po twarzach kolegów.

Po chwili podjął przerwany wątek:

– Każdy gatunek zwierząt poznany przez człowieka należy do jakiejś rodziny, jest spokrewniony z innymi gatunkami, ma określonych przodków. Podobnie ma się rzecz, gdy chodzi o mikrostrukturę. Z doświadczenia możemy powiedzieć, że nawet jeśli ten enzym ma dwadzieścia pięć milionów lat, powinien dać się sklasyfikować w ramach istniejących dziś typów. A my tymczasem nie możemy tego zrobić. Według mnie wskazuje to na coś zdecydowanie nietypowego.

Wolfgang Fichter, jeden ze starszych biologów ekipy Dancheckera, patrzył sceptycznie na ekran, trąc podbródek.

– Zgadzam się, że to mało prawdopodobne, Chris – powiedział. – Ale czy jesteś pewien, że to niemożliwe? Po upływie dwudziestu pięciu milionów lat... Wpływ środowiska mógł przecież doprowadzić do tak wielkiej mutacji, że nie potrafimy dziś rozpoznać potomków tego enzymu. Czy ja wiem, może jakaś zasadnicza zmiana diety albo coś w tym rodzaju...

Danchecker potrząsnął głową.

– Nie – rzekł z przekonaniem. – Powtarzam, że to niemożliwe. Po pierwsze – mówił, wyliczając argumenty na palcach – nawet gdyby uległ mutacji, potrafilibyśmy odtworzyć cechy charakterystyczne rodziny, tak jak potrafimy określić podstawowe cechy, powiedzmy, kręgowców. A tu nie potrafimy tego zrobić. Po drugie: gdyby zjawisko to miało miejsce tylko u przedstawiciela jednego gatunku oligoceńskiego, to byłbym skłonny przyjąć, że enzym uległ mutacji, dając początek wielu nowym, znanym współcześnie szczepom. Innymi słowy, enzym ten byłby przodkiem kilku współczesnych rodzin enzymów. W takim wypadku mutacja byłaby tak daleko posunięta, że uległyby zatarciu podobieństwa między przodkiem i formami pochodnymi. Ale tak nie jest. Enzym ten odkryliśmy u wielu nie spokrewnionych ze sobą oligoceńskich form zwierzęcych. Gdyby przyjąć twoją interpretację, trzeba by założyć, że ten sam nieprawdopodobny proces powtórzył się wielokrotnie i niezależnie od siebie, a w dodatku w tym samym czasie. Nie, to po prostu niemożliwe.

– Ale... – zaczął Carpenter, lecz Danchecker nie dał mu dojść do słowa.

– Po trzecie: żadne ze współczesnych zwierząt nie posiada tego enzymu i wszystkie świetnie dają sobie bez niego radę. Wiele z nich pochodzi od form oligoceńskich, których próbki znaleźliśmy na statku. Spośród tych potomków jedne grupy podlegały dużym mutacjom, dostosowując się do zmiany pożywienia i środowiska, podczas gdy w innych grupach ewolucja była bardzo powolna i współczesne formy niewiele się różnią od swych oligoceńskich przodków. Dokonałiśmy drobiazgowego porównania procesów mikrochemicznych organizmów odnalezionych na statku i potomków tego samego przodka. Wyniki były takie, jak się spodziewaliśmy: zmiany są niewielkie, pokrewieństwo wyraźne. Wszystkie funkcje struktury mikrochemicznej wykryte u przodków występują także – czasem w lekko zmodyfikowanej formie – u ich dzisiejszych potomków. Dwadzieścia pięć milionów lat to jednak niewiele w procesie ewolucji – dodał, rzucając spojrzenie Fichterowi. Uczeni milczeli, a Danchecker perorował dalej:

– Ale w każdym przypadku był jeden wyjątek: ten właśnie enzym. Jest oczywiste, że gdyby występował u przodka, z łatwością odkrylibyśmy go u dzisiejszych form pochodnych. Tymczasem wszystkie badania dają negatywny wynik. Konkluzja: coś takiego nie mogło się zdarzyć, ale się zdarzyło.

Po tych słowach nastąpiła chwila ciszy, którą przerwała wreszcie Sandy Holmes.

– Przypuśćmy, że chodzi tu jednak o radykalną mutację, tylko w odwrotnym kierunku – odezwała się niepewnie.

Danchecker spojrział na nią, marszcząc czoło, a Henri Rousson, drugi biolog, siedzący obok Carpentera, spytał: – Co to znaczy „w odwrotnym kierunku”?

– Jak wiemy, wszystkie zwierzęta znalezione na statku przebywały na Minerwie – zaczęła tłumaczyć Sandy. – Kto wie, może nawet przyszły tam na świat z rodziców przywiezionych z Ziemi przez ganimedów. Przypuśćmy, że jakiś element środowiska na Minerwie spowodował mutację, której wynikiem jest ten właśnie enzym. To by wyjaśniało, dlaczego żaden gatunek zwierząt wśród żyjących obecnie na Ziemi nie ma go w swym garniturze mikrochemicznym. Po prostu nigdy nie były na Minerwie, podobnie jak ich przodkowie.

– Nie kijem go, to pałką – mruknął Fichter, kręcąc głową.

– Nie rozumiem – powiedziała Sandy.

– Chodzi o to, że jeden i ten sam enzym występuje u różnych, nie spokrewnionych ze sobą oligoceńskich form zwierzęcych – wyjaśnił Danchecker. – Zgadza się, że odmienne warunki środowiskowe mogły spowodować mutację jakiegoś enzymu przywiezionego z Ziemi w tę właśnie formę, którą mamy przed sobą. Ale – wskazał ręką na ekran – ganimedzi przywieźli wiele różnych gatunków, a każdy z nich charakteryzował się innym rodzajem metabolizmu, innym zestawem enzymów. I teraz przypuśćmy, że środowisko minerwańskie powoduje mutację tych – różnych przeciw – enzymów. Czy jest do pomyślenia, by wszystkie dały w wyniku mutacji ten sam produkt końcowy? – zadał retoryczne pytanie i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej: – A właśnie z taką sytuacją mamy tu do czynienia. Przedstawiciele różnych gatunków znalezionych na statku mają ten sam enzym. Czy teraz podtrzymuje pani swoją hipotezę?

Kobieta zastanowiła się przez chwilę, wreszcie rozłożyła bezradnie ręce.

– W świetle tego, co pan powiedział, to oczywiście nie ma sensu – zgodziła się.

– Dziękuję – skwitował Danchecker z kamiennym spokojem.

Henri Rousson nalał sobie napoju z dzbanka stojącego na środku stołu i pociągnął zdrowy łyk, pozostali członkowie zespołu patrzyli bezmyślnie w sufit.

– Spróbujmy podsumować podstawowe fakty i zobaczymy, co z tego wyniknie. Wiemy, że ganimedzi ewoluowali na Minerwie – zaczął Henri, podczas gdy towarzysze kiwali głowami na znak potwierdzenia. – Jasne jest też, że musieli odwiedzić Ziemię, skąd bowiem wzięłyby się ziemskie formy życia na ich statku? Chyba że założymy istnienie jeszcze innego gatunku istot rozumnych, do czego jednak nie ma żadnych podstaw. Wiemy również, że znalezione przez nas stąki przybyły tu z Minerwy, a nie bezpośrednio z Ziemi. A skoro tak, to i owe ziemskie zwierzęta musiały być przywiezione z Minerwy. Potwierdza to nasze domysły, że ganimedzi z jakichś powodów sprowadzali na Minerwę kolejno wszystkie formy życia ziemskiego.

– Przepraszam – przerwał Carpenter, podnosząc rękę. – Ale skąd wiemy, że stąki przybyły z Minerwy?

– Rośliny – przypomniał Fichter.

– Ach tak, rośliny. Zapomniałem... – mruknął Carpenter i znów zapadła cisza.

Klatki, w których trzymano zwierzęta na statku, zawierały pokarm i ściółkę roślinną. Rośliny były dobrze zakonserwowane pod powłoką lodu, w jaki zamieniła się skroplona wilgoć. Z zachowanych nasion Dancheckerowi udało się wyhodować okazy roślin nie znanych z żadnego ziemskiego okresu ewolucji; były to prawdopodobnie próbki rodzimej flory minerwańskiej. Liście tych roślin były bardzo ciemne, prawie czarne; absorbowały więc każdą możliwą odrobinę słońca, z całego jego widzialnego widma, co łączyłoby się logicznie z ustalonym niepodważalnie znacznym oddaleniem Minerwy od Słońca.

– Czy możemy już powiedzieć coś konkretnego na temat powodów, dla których ganimedzi przewozili na rodzimą planetę faunę ziemską? – spytał Rousson. – Musieli mieć jakiś powód. Coś mi się wydaje, że nasz enzym może mieć z tym coś wspólnego.

– Bardzo dobrze, podsumujmy krótko wszystko, co, jak nam się wydaje, wiemy – zaproponował Danchecker i odwróciwszy się od ekranu, stuknął palcem w stół: – Paul, czy zechciałby pan odpowiedzieć Henriemu?

Carpenter podrapał się w głowę, marszcząc czoło w namyśle.

– No więc... – powiedział wreszcie – po pierwsze mamy ryby. Stwierdziliśmy, że to rodzima fauna minerwańska, mamy więc w ręku coś, co łączy Minerwę z ganimedami.

– W porządku – skinął głową Danchecker rozluźniając się – Proszę mówić dalej.

Carpenter miał na myśli rybę, która zachowała się w dobrym stanie w puszcze. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że pochodzi ona z oceanów minerwańskich. Danchecker stwierdził oczywiste zbieżności ogólnej budowy szkieletu ryby i pozostałości szkieletów załogi statku, spoczywającego w lodach pod powierzchnią Bazy Nadszybia. Stopień podobieństwa dawał się porównać z analogiami występującymi w budowie człowieka i dajmy na to mamuta. Dowodziło to, że ryba i ganimedzi należą do tej samej linii ewolucyjnej. A skoro ryba pochodziła z Minerwy, to planeta ta musiała być również kolebką ganimedów.

– Analiza komputerowa struktury chemicznej komórek ryby – ciągnął Carpenter – wykazała niską tolerancję organizmu na toksyny zawierające dwutlenek węgla. O ile dobrze pamiętam, sugeruje pan, że ta struktura chemiczna jest dziedziczna i wywodzi się od wcześniejszych stadiów ewolucyjnych ryby – że była charakterystyczna dla początków życia na Minerwie.

– Rzeczywiście – potwierdził Danchecker. – Co dalej?

– Możemy więc przyjąć, że również zwierzęta lądowe Minerwy odznaczały się słabą tolerancją na dwutlenek węgla – kontynuował Carpenter z wahaniem.

– Niezupełnie – odparł Danchecker. – Dokonał pan przeskoku myślowego. Może ktoś... ty, Wolfgang? – spytał, spoglądając na Niemca.

– Zapomniał pan o ważnej przesłance – zaczął Fichter. – Ograniczona tolerancja na dwutlenek węgla minerwańskich organizmów żywych musiała wystąpić na bardzo wczesnym etapie ewolucji, kiedy na Minerwie nie było jeszcze zwierząt lądowych... – tu przerwał, po

czym mówił dalej: – Musimy przyjąć, że ta wczesna forma życia jest przodkiem zarówno istot lądowych, jak i wodnych, na przykład ryb. I dopiero na tej podstawie możemy powiedzieć, że cecha ta upowszechniła się pośród wszystkich późniejszych zwierząt lądowych.

– Ważne jest, by w rozumowaniu nie pominąć żadnej przesłanki – pouczał Danchecker. – Wiele pomyłek naukowych bierze się z nieprzestrzegania tego wymogu. Proszę wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz. Jeśli to prawda, że zmniejszona tolerancja na dwutlenek węgla wystąpiła już we wczesnych etapach ewolucji i utrzymała się aż do okresu, z którego pochodzi nasza ryba, to trzeba przyjąć, że była to bardzo stabilna cecha. Tak przynajmniej można wnosić z historii ewolucji życia na Ziemi. Z dużym prawdopodobieństwem możemy też przyjąć, że cecha ta rozpowszechniła się u zwierząt lądowych i przekazywana była niezmiennie na kolejnych etapach rozwoju. Podobnie na Ziemi w ciągu milionów lat utrzymały się zasadnicze cechy kręgowców, mimo znacznych zmian powierzchniowych – zakończył i zdjąwszy okulary, począł czyścić je chustką.

Po chwili mówił dalej:

– Idźmy więc tropem naszego rozumowania. Jakies dwadzieścia pięć milionów lat temu, gdy na Minerwie rozwinął się gatunek ganimedów, planetę zamieszkiwały liczne gatunki zwierząt lądowych, które łączyła niska tolerancja na dwutlenek węgla. Czy są jakieś inne przesłanki, mogące nam pomóc w wyobrażeniu sobie, co zaszło w owym czasie na Minerwie?

– Wiemy, że ganimedzi opuścili rodzimą planetę i poszukali sobie gdzie indziej dogodnego miejsca do życia – odezwała się Sandy Holmes. – Prawdopodobnie w innym układzie słonecznym.

– Naprawdę? – błysnął zębami w uśmiechu Danchecker, znów chuchając na okulary i czyszcząc je pedantycznie. – Skąd ta pewność?

– Po pierwsze znaleźliśmy ich statek – zaczęła. – Rodzaj ładunku, jaki mieli, jak również jego ilość, nasuwa myśl, że była to wyprawa kolonizacyjna, bez przewidywanego powrotu. A dlaczego zjawili się akurat na Ganimesie? Nie mogli przecież podjąć próby kolonizacji wewnętrznych planet naszego układu.

– Ale i pozostałe planety nie nadają się do kolonizacji – wtrącił Carpenter. – Musieli więc spenetrować inne systemy gwiazdne.

– Właśnie – zauważył trzeźwo Danchecker, ignorując wykrzyknik Paula i zwracając się wprost do Sandy. – Sama pani powiedziała: nasuwa myśl. Proszę nie zapominać, że dane, którymi dysponujemy, pozwalają nam jedynie snuć przypuszczenia. Nie możemy natomiast niczego udowodnić. Wielu spośród załogi bazy przyjmuje za pewnik, że ganimedzi opuścili Układ Słoneczny i wyemigrowali w nieznaną w związku z nadmierną koncentracją dwutlenku węgla w atmosferze Minerwy; przyczyn tego zjawiska jeszcze nie znamy. Nie da się ukryć, że jeśli to, co powiedzieliśmy dotychczas, jest prawdą, to ganimedzi dzielili ze wszystkimi zwierzętami lądowymi Minerwy niską tolerancję na dwutlenek węgla i wobec tego jego nadmierna koncentracja w atmosferze musiała stanowić dla nich poważne zagrożenie. Ale,

jak już powiedziałem, niczego nie wiemy na pewno; snujemy hipotezy, które zdają się wyjaśniać fakty – tu profesor przerwał widząc, że Carpenter chce coś powiedzieć.

– Wydaje mi się, że to więcej niż hipoteza – oponował Carpenter. – Mamy w zasadzie pewność, że wszystkie gatunki lądowe Minerwy wyginęły nagle jakieś dwadzieścia pięć milionów lat temu... wszystkie z wyjątkiem ganimedów, jak można przypuszczać. Nasuwa się dość oczywisty wniosek, że hipotetyczna koncentracja dwutlenku węgla rzeczywiście miała miejsce.

– Paul trafił w dziesiątkę – włączyła się Sandy. – Wszystko się zgadza. Nawet nasze przypuszczenia dotyczące powodów, dla których ganimedzi sprowadzali z Ziemi te wszystkie gatunki zwierzęce – zapaliła się, zachęcając wzrokiem Carpentera, by przejął pałeczkę.

Carpenter podjął z właściwą sobie żywością:

– Ganimedzi, sprowadzając z Ziemi rośliny zielone absorbujące dwutlenek węgla i wytwarzające tlen, próbowali po prostu przywrócić zaburzoną równowagę ekologiczną na swej planecie. Wraz z roślinami sprowadzali zwierzęta, by utrzymać równowagę biologiczną. Sandy ma rację: wszystko się zgadza.

– Naciągacie dane, by przemawiały za waszą teorią – mitygował młodszego kolegę Danchecker. – Spróbujmy jeszcze raz oddzielić fakty od przypuszczeń.

Dyskusja rozgorzała na nowo; prym wiódł Danchecker, przypominając zasady naukowej dedukcji i techniki logicznego wnioskowania. Tymczasem siedzący na samym końcu milczący osobnik palił niedbale papierosa za papierosem i przyglądając się danym na ekranie, uważnie śledził dyskusję.

Doktor Victor Hunt był jednym z członków zespołu uczonych, którzy przybyli z misją Jowisza Pięć ponad trzy miesiące temu. Nie dokonano w tym czasie wprawdzie żadnego sensacyjnego odkrycia, ale za to zgromadzono imponującą ilość danych o konstrukcji i zawartości pozaziemskiego statku kosmicznego. Co dzień w bazach na powierzchni Ganimedesa oraz na pokładzie statków komandorskich misji J4 i J5 zaprzęgano do pracy nowe systemy i urządzenia. Wyniki badań były jak dotąd fragmentaryczne, lecz stopniowo zaczęły się zarysowywać ramy hipotetycznej cywilizacji ganimedzkiej oraz tajemniczych wydarzeń sprzed dwudziestu pięciu milionów lat.

Była to właśnie domena pracy Hunta. Z wykształcenia fizyk teoretyczny, specjalizujący się w nukleonice matematycznej, został ściągnięty z Anglii do Sił Kosmicznych Organizacji Narodów Zjednoczonych. Powierzono mu w ramach SKONZ kierownictwo zespołu, którego zadaniem było zestawianie wyników badań specjalistów pracujących na Ganimedesie i wokół niego oraz na Ziemi. Specjaliści dostarczali mu fragmentów układanki, on zaś miał złożyć z tego logiczną całość. Tak postanowił bezpośredni szef Hunta, Gregg Caldwell, dyrektor Oddziału Nawigacji i Komunikacji SKONZ z siedzibą w Houston. Zespół miał już na swym koncie pierwsze sukcesy. Udało się mianowicie rozwikłać zagadkę planety Minerwy – jej istnienia i zagłady. A zanosilo się na dalsze rewelacje.

Przysłuchiwał się teraz dyskusji biologów, która zatoczywszy wielkie koło, wróciła do punktu wyjścia – owego dziwnego enzymu...

– Niestety nie – odpowiadał właśnie Danchecker na pytanie Roussona. – Na razie nie wiemy, jaka była jego rola. Pewne reakcje wskazywałyby na to, że mógł modyfikować lub powodować rozpad jakichś protein, ale jakich i w jakim celu – tego na razie nie wiemy.

To mówiąc Danchecker spojrział pytająco na uczestników narady, lecz nikt nie miał zamiaru się wypowiadać. W sali zapadła cisza. Słysząc było tylko ciche murmurando milczącego dotąd gościa. Hunt bez pośpiechu rozgniół niedopałek w popielniczce, poprawił się w fotelu i po raz pierwszy zabrał głos:

– Wygląda na to, że macie problem z tym enzymem. Nie znam się za bardzo na kwestiach enzymów. Zostawiam wam je całkowicie, moi drodzy.

– Jak miło cię usłyszeć, Vic – powiedział Danchecker, podnosząc na niego oczy. – Od chwili, gdy usiedliśmy tutaj, słowem się nie odezwałeś.

– Słuchałem i uczyłem się – uśmiechnął się Hunt. – Nie miałem nic do powiedzenia.

– Wygląda na to, że ma pan filozoficzne podejście do życia – odezwał się Fichter, porządkując leżące przed nim papiery. – Może dysponuje pan jakąś czerwoną książeczkę ze złotymi myślami, jak pewien chiński dostojnik w ubiegłym wieku?...

– Raczej nie. Nie lubię filozofować. Człowiek w końcu sam sobie zaprzecza, i traci wiarygodność.

– A więc nie ma pan żadnego pomysłu w związku z tym nieszczęsnym enzymem? – spytał z uśmiechem Fichter.

Hunt nie odpowiedział od razu. Z wydętymi ustami i przekrzywioną na bok głową wyglądał jak człowiek zastanawiający się, czy zdradzić sekret.

– I tak macie z nim dość kłopotów – powiedział wreszcie niedbałym, lecz wyraźnie prowokacyjnym tonem.

Wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

– Ty coś wiesz, Vic. Strzelaj – odezwała się Sandy.

Danchecker zmierzył Hunta uważnym spojrzeniem. Hunt skinął głową i sięgnął ręką do klawiatury na brzegu blatu na wprost jego fotela. Komputery umieszczone wysoko ponad powierzchnią Ganimedesa na statku J5 natychmiast zareagowały na jego polecenie. Obraz na ekranie zmienił się i ukazał gęste rzędy cyfr. Hunt dał towarzyszom czas na przyjrzenie się liczbom, po czym zabrał głos:

– Oto wyniki badań ilościowych przeprowadzonych niedawno w laboratoriach J5. Były to rutynowe testy na określenie składników chemicznych komórek wybranych organów tych zwierząt, o których rozmawialiście – no, tych ze statku... – zaczął niedbale, lecz po chwili milczenia ciągnął już innym, rzeczowym tonem: – Liczby te wskazują, że pewne elementy występują stale w tych samych określonych kombinacjach. Wskazują one wyraźnie na rozpad

pierwiastków radioaktywnych. Wygląda to tak, jakby enzym wybierał izotopy radioaktywne do swej budowy.

Przez chwilę panowała cisza; zgromadzeni, zaskoczeni tą rewelacją, marszczyli czoła w namyśle. Pierwszy ocknął się Danchecker.

– Chcesz powiedzieć, że enzym wykorzystuje w swej budowie radioizotopy... i to selektywnie? – spytał.

– Dokładnie.

– To śmieszne – rzekł profesor tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Ale to fakt – wzruszył ramionami Hunt. – Spójrz na te dane.

– Taki proces jest po prostu niemożliwy – nie ustępował Danchecker.

– Wiem, ale taki właśnie proces zachodził.

– Procesy czysto chemiczne nie rozróżniają izotopów radioaktywnych od normalnych – rzucił niecierpliwie Danchecker. – Enzymy powstają w wyniku procesów chemicznych. W procesach tych nie istnieje możliwość selekcji radioizotopów, nie mogą więc powstać enzymy zbudowane z izotopów radioaktywnych.

Hunt spodziewał się zaciętego oporu Dancheckera wobec jego hipotezy. W ciągu dwuletniej współpracy z biologiem poznał go dobrze. Każdą nową, nieznaną sobie myśl, Danchecker z góry odrzucał, obwarowując swoją pozycję standardowymi pewnikami naukowymi. Ale wystarczyło dać mu czas, i stary enzymolog potrafił zmobilizować myślenie innowacyjne nie gorzej od swych młodszych współpracowników. Toteż Hunt milczał, pogwizdując nonszalancko i bębniąc palcami po stole.

Irytacja Dancheckera rosła z sekundy na sekundę.

– Procesy chemiczne nie rozróżniają radioizotopów – powtórzył wreszcie podrażnionym tonem. – Żaden enzym nie może być wyprodukowany w sposób, w jaki ty byś chciał. A gdyby nawet, byłby to proces bezcelowy. Chemicznie enzym będzie się zachowywał tak samo, niezależnie od tego, czy jest zbudowany z izotopów promieniotwórczych, czy nie. To, co sugerujesz, Vic, jest niedorzecznością!

Hunt westchnął, wskazując zmęczonym gestem na ekran.

– To nie ja, Chris – stwierdził z naciskiem – lecz liczby. To są fakty, sprawdź je. – Odchylił się w fotelu i przekrzywiając głowę dorzucił w zadumie:

– Przypomnij sobie, co mówiłeś przed chwilą o takich, co naginają fakty, by przemawiały na korzyść ich teorii.

Rozdział drugi

Mając jedenaście lat, Victor Hunt opuścił dom wariatów, jakim był jego dom rodzinny w londyńskiej Dzielnicy Wschodniej, i zamieszkał u wujostwa w Worcester. Wuj – czarna owca w rodzinie Huntów – był programistą w pobliskiej firmie komputerowej. On właśnie – mądry i cierpliwy mentor – wprowadził chłopca w pasjonujący świat elektroniki.

W jakiś czas potem młody Victor połączył pasję komputerową z zainteresowaniem dla równie fascynujących praw logiki formalnej i programowania układów logicznych. Efektem tego mariażu był jego pierwszy w życiu procesor. Wprowadzając do urządzenia jakąkolwiek datę kalendarza gregoriańskiego otrzymywało się na wyjściu liczbę, zawierającą się między jeden a siedem, oznaczającą dzień tygodnia, na jaki owa data przypadła. Gdy z wypiekami na twarzy po raz pierwszy włączył przyrząd, minikomputer milczał jak zakłęty. Okazało się, że źle podłączył kondensator elektrolityczny i urządzenie pozostało bez zasilania.

To doświadczenie nauczyło go dwóch rzeczy. Po pierwsze, że większość problemów ma zupełnie proste rozwiązania, a po drugie, że radość z osiągniętego zwycięstwa z nawiązką nagradza trud włożony w walkę. Przygoda ta potwierdziła poza tym jego intuicyjne rozumowanie, że najlepszym sposobem przekonania się, czy jakiś pomysł ma sens, jest sprawdzenie go w praktyce. Kiedy od elektroniki przeszedł do fizyki matematycznej, a następnie do nukleoniki tamte zasady stały się fundamentami jego mentalności jako uczonego. Przez trzydzieści lat od chwili pierwszej udanej próby nie pozbył się ekscytującego uczucia niepewności, wzrastającego w miarę jak rozstrzygający eksperyment zbliżał się ku końcowi i miała nastać godzina prawdy.

I teraz, gdy przyglądał się, jak Vincent Carizan wprowadza ostatnie poprawki do wzmacniacza mocy, czuł to samo. Sensacją dzisiejszego ranka w centralnym laboratorium elektronicznym Bazy Nadszybia było dziwne urządzenie znalezione na statku ganimedów. Miało w przybliżeniu kształt cylindra, który odpowiadał grubością rurociągowi naftowemu. Musiało mieć ograniczone funkcje, gdyż na wejściu i wyjściu znajdowało się niewiele podłączeń; przyrząd sprawiał wrażenie kompletnego urządzenia raczej, aniżeli części większego systemu.

Ale jak dotąd nie udało się ustalić, do czego służy. Według techników charakter połączeń wskazywał na przystosowanie do poboru mocy. Po dokładnym zbadaniu materiału izolacyjnego, końcówek znamionowych i bezpieczników, obwodów przewodzących i systemu filtrów udało się określić parametry elektrycznego źródła zasilania, do jakiego przystosowane było urządzenie. Zbudowano więc odpowiedni system transformatorów i przetwornic i właśnie dziś miano obce urządzenie podłączyć do prądu i przekonać się, co się będzie działo.

Prócz Hunta i Carizana w laboratorium było jeszcze dwóch inżynierów, nadzorujących urządzenia pomiarowe. Gdy Carizan, skinąwszy z zadowoleniem głową, odstepił od urządzenia, jeden z nich, Frank Towers, spytał:

– Wszystko gotowe do próby wytrzymałości?

– Tak – odparł Carizan – włączaj!

Towers zmienił położenie przełącznika na tablicy rozdzielczej. Rozległ się ostry trzask – to gdzieś za tablicą rozdzielczą wyskoczył bezpiecznik.

Sam Mullen, stojący przy konsoli instrumentów pomiarowych w rogu pokoju, rzucił okiem na odczyt na jednym z monitorów.

– Przewodzenie w porządku – oznajmił.

– Włącz bezpiecznik i zwiększ napięcie – powiedział Carizan do Towersa.

Towers zmienił parametry urządzenia i usunął spięcie, po czym spojrzał na Mullena.

– Wytrzymałość pięćdziesiąt – powiedział Mullen. – Zgadza się?

– Zgadza się – odparł Towers.

– Wszystko gotowe, Vic – powiedział Carizan, spoglądając na Hunta. – Spróbujemy próbnego rozruchu przy aktualnych parametrach. Cokolwiek się stanie, nasze cacko jest bezpieczne. Może chcesz coś zmienić? Za chwilę będzie za późno.

– Musi zagrać – uśmiechnął się Hunt. – Założę się, że to organy elektryczne. Dajcie mu czadu.

– Jak komputery? – spytał Carizan, spoglądając na Mullena.

– W porządku. Nic się nie dzieje.

– No to jazda – rzucił Carizan, trąc nerwowo dłonie. – Teraz przekręć w prawo. Tym razem pod napięciem, Frank – faza pierwsza.

Zapadła pełna napięcia cisza. Towers ustawił parametry i przesunął dźwignię. Cyfry na monitorze wbudowanym w tablicę rozdzielczą natychmiast się zmieniły.

– Pod napięciem – oznajmił. – Przewodzi prąd. Doszło do górnej granicy mocy. Wygląda na to, że potrzeba mu więcej.

Wszyscy spojrzeli na Mullena, studiującego pilnie dane na monitorach.

– Ani drgnie – rzekł technik.

Akcelerometry przytwierdzone do płaszcza tajemniczego urządzenia, spoczywającego na stalowym rusztowaniu na gumowych amortyzatorach, nie zanotowały żadnego

mechanicznego ruchu wewnątrz przedmiotu. Umocowane na pokrywie czułe mikrofony nie odebrały żadnych odgłosów w paśmie ultradźwięków. Mierniki ciepła, detektory promieniowania, próbniki elektromagnetyczne, liczniki Gaussa, mierniki scyntylacyjne i niezliczone anteny – żaden przyrząd nie zameldował niczego godnego uwagi. Towers podwyższył częstotliwość zasilania ponad przewidywaną normę, lecz nic się nie zmieniło. Hunt podszedł do Mullena, obejrzał dane na monitorach, ale nic nie powiedział.

– Chyba trzeba podkręcić napięcie – odezwał się Carizan. – Faza druga, Frank.

Towers podwyższył napięcie znamionowe. Na jednym z monitorów zaczęły przelatywać cyfry.

– Jest coś na kanale siódmym – oznajmił Mullen, patrząc na monitory. – Efekt akustyczny – dodał i stukając szybko w klawiaturę, wydał komputerowi jakieś polecenia, po czym spoglądając na krzywą wyświetloną na bocznym ekranie komentował: – Przebieg periodyczny z silnymi zaburzeniami stałych harmonicznymi... niska amplituda... częstotliwość podstawowa około siedemdziesięciu dwóch herców.

– To częstotliwość zasilania – mruknął Hunt. – Prawdopodobnie rezonans. To nic nie znaczy. Coś jeszcze?

– Nic.

– Podkręć, Frank – powiedział znów Carizan.

W miarę zwiększania napięcia postępowali coraz ostrożniej, wypróbowując po kilka wariantów w każdej fazie eksperymentu. Wreszcie dane zasilania znamionowego pokryły się z hipotetycznymi parametrami pracy urządzenia; wyglądało na to, że przyrząd otrzymał wreszcie dość mocy i pracuje na pełnych obrotach. Ale instrumenty zarejestrowały jedynie słaby rezonans akustyczny i lekki wzrost temperatury niektórych partii powłoki. Po godzinie Hunt i trzech technicy z SKONZ musieli się poddać. Postanowili przyjrzeć się bliżej przyrządowi, a w razie potrzeby rozebrać go na części. Nie żalowali straconego czasu, wzorem Napoleona wychodzili bowiem z założenia, że szczęściarz to taki człowiek, który daje szansę szczęściu, i mieli rację.

Przyrządy, którymi dysponowali, nie mogły zarejestrować efektów działania ganimedzkiego urządzenia, tymczasem z Bazy Nadszybia z szybkością światła rozeszły się fale silnych, lecz ściśle zlokalizowanych zaburzeń czasoprzestrzeni, sięgając aż poza Układ Słoneczny.

Tysiąc kilometrów na południe, w Bazie Głównej, monitory sejsmografów oszalały, choć komputery kontrolne nie wykryły błędów w ich funkcjonowaniu.

Trzy tysiące kilometrów nad powierzchnią Ganimedesa czujniki umieszczone na statku komandorskim piątej misji zlokalizowały Bazę Nadszybia jako źródło zaburzeń i przesłały odpowiednie ostrzeżenie do komórki kontrolnej.

Przez pół godziny urządzenie ganimedzkie w Bazie Nadszybia pracowało na pełnej mocy. Wreszcie zrezygnowany Hunt rozgniół papierosa w popielniczce, a Towers wyłączył zasilanie i z westchnieniem rzucił się na fotel.

– Wszystko – powiedział. – W ten sposób niczego nie osiągniemy. Chyba będziemy musieli otworzyć to świństwo.

– Przegrałeś, Vic – odezwał się Carizan. – Nie zagrało.

– I w ogóle nic – odparł Hunt. – Przegrałem. Mullen zapamiętał dane, przegrał je na dyskietkę dla celów dokumentacyjnych, po czym wyłączył komputery i podszedł do kolegów.

– Nie rozumiem, gdzie się podziało tyle energii – mruknął, marszcząc brwi. – Odrobina ciepła, a poza tym żadnej reakcji. Można oszaleć.

– Wewnątrz musi być czarna dziura – zawyrokował Carizan. – To po prostu beczka bez dna.

– Pewnie masz rację – zgodził się Hunt.

Pół miliarda kilometrów od Ganimedesa, w pasie planetoid, bezzałogowa sonda SKONZ zarejestrowała następujące po sobie w krótkich odstępach czasu anomalie grawitacyjne, w wyniku czego główny komputer zawiesił wykonywanie programów systemowych i włączył programy testujące błędy.

– Poważnie, zupełnie jak z Disneya – mówił Hunt, siedzący z kolegami przy stoliku w kącie kantyny w Bazie Nadszybia. – Nigdy w życiu nie widziałem tak dziwacznych zwierząt jak te, których wizerunki zdobią ściany w jednym z pomieszczeń na statku ganimedów.

– Niesamowita historia – odezwał się siedzący naprzeciwko Hunta Sam Mullen.

– Jak myślisz, co to takiego? Jakaś fauna minerwańska?

– Na pewno nie są to zwierzęta ziemskie – odparł Hunt. – Możliwe, że one nie są... prawdziwe. Tak przynajmniej sądzi Chris Danchecker.

– Co to znaczy: nie są prawdziwe? – spytał Carizan.

– No cóż, po prostu nie wyglądają na prawdziwe – odparł Hunt, marszcząc brwi i podkreślając gestem nierzeczywistość stworów, o których mówił. – Mają jaskrawe barwy... są takie jakies pokraczne, niezdarne... Trudno sobie wyobrazić, by mogły powstać na drodze ewolucji...

– W wyniku doboru naturalnego, w myśl zasady, że przeżywa najsilniejszy, o to ci chodzi? – podpowiedział Carizan, na co Hunt żywo skinął głową.

– No właśnie, nie wykazują cech umożliwiających przeżycie... Nie mają barw ochronnych, budowy ułatwiającej szybką ucieczkę i tak dalej.

– Hm... – mruknął zaciekawiony Carizan. – Znalazłeś jakieś wytłumaczenie?

– Chyba tak – odrzekł Hunt. – Jesteśmy prawie pewni, że to był pokój dziecienny czy coś w tym rodzaju. To by wyjaśniało zagadkę. Po prostu są to stwory fantastyczne, takie ganimedzkie komiksy... – przerwał i uśmiechnął się do siebie. – Danchecker zastanawiał się,

czy nazwali któregoś z nich Neptunem – podjął po chwili, a widząc zdziwione miny towarzyszy, wyjaśnił: – Nie mogli żadnego z nich nazwać psem Pluto, bo Plutona jeszcze wtedy nie było, może więc któregoś z tych dziwołagów ochrzcili mianem Neptuna.

– Neptuna! – parsknął śmiechem Carizan, uderzając pięścią w stół. – To mi się podoba! Nie posądzałem Dancheckera o takie poczucie humoru.

– Nawet nie wyobrażasz sobie, jaki to równy facet, gdy go poznać bliżej – powiedział Hunt. – Tylko z początku jest trochę sztywny... Pokażę wam zdjęcia. Jeden z tych stworów jest błękitny w różowe paski, wygląda jak przekarmiony tucznik, a do tego ma trąbę!

Mullen skrzywił się, zasłaniając twarz dłońmi.

– O rany... Na samą myśl o tym odechciewa mi się pić – mruknął, po czym rozglądając się wokoło wykrzyknął: – Gdzie, u diabła, podziewa się Frank?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie za jego plecami stanął Towers, niosąc tacę z czterema filiżankami kawy. Postawiwszy tacę na stole, usiadł i zaczął podawać kolegom filiżanki.

– Dwie ze śmietanką i z cukrem, jedna ze śmietanką bez cukru i jedna czarna, zgadza się? – powiedział, zapalając papierosa, którym go poczęstował Hunt. – Dzięki. Podobno wyjeżdżasz, mówił mi barman. To prawda?

– Tylko na pięć dni – skinął głową Hunt. – Wzywają mnie na J5. Lecę pojutrze z Bazy Głównej.

– Sam? – spytał Mullen.

– Nie, będzie nas pięciu czy sześciu. Danchecker też leci. Zawsze to jakaś zmiana.

– Mam nadzieję, że pogoda się utrzyma – mruknął sarkastycznie Towers. – Przykro by było, gdyby ci się nie udały wczasy. Kiedy człowiek siedzi tutaj, zaczyna się zastanawiać, jak jest w Miami.

– Lody oglądasz tam tylko w szklaneczce whisky – stwierdził Carizan.

Na stolik padł jakiś cień; podnieśli głowy i ujrzeli krzepkiego mężczyznę z bujną czarną brodą, ubranego w kraciastą koszulę i niebieskie dżinsy. Był to Pete Cummings, inżynier budowlany, który przyleciał na Ganimesesa razem z Huntem i Dancheckerem. Odwrócił krzesło i usiadłszy na nim okrakiem, wlepił wzrok w Carizana.

– Jak wam poszło? – spytał.

Carizan skrzywił się, potrząsając głową.

– Nic z tego – odparł. – Trochę się rozgrzało, coś tam pobrzęczało i to wszystko. Nie udało nam się niczego wyciągnąć z tego draństwa.

– Fatalnie – westchnął współczująco Cummings. – A więc to nie wy spowodowaliście to całe zamieszanie?

– Jakie zamieszanie?

– Nie wiecie o niczym? – zdziwił się inżynier. – Niedawno z J5 przysłali wiadomość. Podobno zarejestrowali jakieś dziwne fale, rozchodzące się z powierzchni Ganimesesa...

epicentrum znajdowało się mniej więcej w okolicach naszej bazy. Dowódca połączył się z bazą, rozpytując, kto co robi i co mogło spowodować taki efekt. Na statku wrze jak w ulu.

– Jestem pewien, że to dowódca dzwonił, kiedy wychodziliśmy z laboratorium – odezwał się Mullen. – Mówiłem, że to może być ważny telefon.

– Do diabła – zdenerwował się Carizan – muszę się napić kawy. Tak czy inaczej, to nie byliśmy my – zwrócił się do Cummingsa. – Przykro mi, Pete, może innym razem. Nie mamy dzisiaj nic na swoim koncie.

– Zwariowana historia – mówił Cummings, pocierając w zamyśleniu brodę. – Wszystko inne już sprawdzili.

Pograżony w myślach Hunt zaciągał się raz po raz papierosem. Wreszcie wydmuchnął kłąb dymu i spojrzał na Cummingsa.

– O której to mogło być, Pete? – spytał.

Cummings zmarszczył czoło.

– Poczekaj... chyba niecałą godzinę temu – powiedział niepewnie, po czym odwróciwszy się do grupy trzech mężczyzn, siedzących przy sąsiednim stoliku, krzyknął: – Hej, Jed, wiesz może, o której J5 odebrał te fale-widmo?

– O dziesiątej czterdzieści siedem czasu lokalnego – odkrzyknął Jed.

– O dziesiątej czterdzieści siedem czasu lokalnego – powtórzył Cummings.

Zapadła złowroga cisza; grupa Hunta skamieniała.

– I co wy na to, chłopaki? – spytał wreszcie Towers ze źle skrywanym niepokojem.

– To mógł być przypadkowy zbieg okoliczności – mruknął bez przekonania Mullen.

Hunt powiódł spojrzeniem po twarzach towarzyszy; wszyscy mieli wypisaną na czole tę samą myśl. Po kilku sekundach Hunt powiedział głośno, wyrażając opinię kolegów:

– Nie wierzę w przypadkowe zbiegi okoliczności.

Ponad siedemset milionów kilometrów od Ganimedesa, w obserwatorium radiooptycznym na drugiej stronie Księżyca profesor Otton Schneider, poproszony telefonicznie przez swą asystentkę, szedł właśnie do sali grafiki komputerowej. Dziewczyna wskazała ręką nietypowe dane, przesłane przez urządzenie mierzące kosmiczne promieniowanie grawitacyjne, zwłaszcza wysyłane z centrum Galaktyki. Sygnały były wprawdzie takie jak zawsze, ale ich źródło nie leżało w centrum Galaktyki, lecz gdzieś w okolicach Jowisza.

Na Ganimedesie upłynęła kolejna godzina. Hunt wrócił z kolegami do laboratorium, by w związku z tym, co im powiedział Cummings, powtórzyć eksperyment. Powiadomili kierownika bazy o swych przypuszczeniach i zgodzili się jeszcze raz gruntownie przetestować ganimedzkie urządzenie. Podczas gdy Towers z Mullenem przeglądali dane zarejestrowane w czasie poprzedniego eksperymentu, Hunt i Carizan obeszli całą bazę w poszukiwaniu przyrządów sejsmograficznych. Znaleźli wreszcie potrzebne urządzenia w magazynie, gdzie

przechowywano zapasowe wyposażenie dla położonej o pięć kilometrów od bazy stacji sejsmicznej. Mając kompletne oprzyrządowanie, zespół Hunta przystąpił do organizacji eksperymentu. Ich podniecenie i zaniepokojenie rosło. Jeśli okaże się, że urządzenie ganimedów emituje impulsy grawitacyjne, trzeba będzie poszukać odpowiedzi na pytanie, w jakim celu.

Ponad dwa miliardy kilometrów od Ganimedesa, w pobliżu orbity Urana, subprocesor komunikacyjny przerwał rutynowe operacje komputera nadzorującego; komputer włączył system konwersji kodu i przesłał do głównego urządzenia kontrolnego pilną informację.

Wiadomość została przekazana przez pełniący rolę latarni morskiej w kosmosie standardowy model 17 Mark 3B Distress Beacon.

Rozdział trzeci

Wydostawszy się gładko ponad warstwę wiecznej mgiełki metanowo-amoniakalnej otulającej Bazę Nadszybia, transporter przyziemny wziął kurs na południe. Ponad dwie godziny prześlizgiwali się ponad monotonnym, dzikim, wyrzeźbionym w lodzie krajobrazem wzburzonego morza, na wpół pograżonym w posępnym oceanie mgły, od czasu do czasu urozmaiconym rozpadlinami skalnymi czerniejącymi w upiornym świetle, rzucanym przez jarzącą się spokojnym blaskiem ogromną tęczową tarczę Jowisza. Wreszcie na ekranie kabiny pojawiła się zwarta grupa pięciu czy sześciu srebrzystych iglic sterczących daleko na horyzoncie – były to termonuklearne wahadłowce typu wega, strzegące Bazy Głównej na Ganimesie.

Po odświeżeniu się i spożyciu posiłku w bazie, Hunt wraz z towarzyszami dołączył do pozostałych grup, mających lecieć na J5, po czym wszyscy wsiedli do jednej z weg. W chwilę później wyprysnęli w przestrzeń, pozostawiając za sobą Ganimesa, który skurczył się nagle do rozmiarów niepozornej kuli śnieżnej. Skierowali się ku nie większej od łebka szpilki iskierce światła, rozplywającej się w miarę jak lecieli w jasną smugę, aż wreszcie oczom ich ukazał się zawieszony w próżni imponujący, majestatyczny kształt dwukilometrowego statku flagowego Piątej Misji Jowiszowej; Jowisz Cztery odleciał tydzień temu, by przyjąć stałą orbitę wokół księżycy Callisto. Komputery i radary nawigacyjne wprowadziły pewnie wszystkie weg do umieszczonej z przodu statku wnęki-przystani i po kilku minutach podróży weszli do środka ogromnego stalowego miasta.

Danchecker ulotnił się natychmiast; chciał omówić z uczonymi przebywającymi na statku szczegóły ostatnich badań nad próbkami ziemskich form zwierzęcych, znalezionych w Bazie Nadszybia. Hunt natomiast przez całą dobę obijał się bezwstydnie, wypoczywając i leniuchując bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Pił i gawędził bez końca z członkami załogi Jowisza Pięć, z którymi zaprzyjaźnił się podczas podróży z Ziemi. Rozkoszował się poczuciem zapomnianej niemal wolności, wałęsając się po bezkresnych zda się korytarzach i pustych pokładach statku. Był upojony nadmiarem dobrego samopoczucia. Na pokładzie Jowisza Pięć czuł się bliżej Ziemi, bliżej tego wszystkiego, do czego przywykł. W jakimś

sensie był znów w domu. Ten okruch świata stworzonego ludzką ręką, wysepka światła, życia i ciepła, unosząca się w bezmiernym oceanie pustki, nie był już ową zimną, obcą łupinką, na którą ponad rok temu wsiadł na orbicie okołoksiężycowej, i zdawał mu się teraz częścią Ziemi.

Drugiego dnia przed południem Hunt składał wizyty zaprzyjaźnionym uczonym, uprawiał ćwiczenia kulturystyczne w dobrze wyposażonej sali gimnastycznej, po których chłodził się w basenie kąpielowym. Popijając w barze dobrze zasłużone piwo i zastanawiając się nad obiadem, wdał się w rozmowę z lekarzem, który wpadł orzeźwić się po dyżurze. Nazywał się Shirley. Ku obopólnemu zaskoczeniu okazało się, że Shirley studiował w Cambridge w Anglii i wynajmował mieszkanie o kilka minut drogi zaledwie od studenckiej stacji Hunta. Wkrótce połączyła ich gorąca przyjaźń, jedna z tych nagłych sympatii przychodzących nagle i nie wiadomo skąd. Zjedli wspólnie obiad i spędzili razem całe popołudnie i wieczór, pijąc, śmiejąc się i rozmawiając. O północy stwierdzili, że trudno im się ze sobą rozstać. Gdy Hunt obudził się nazajutrz, doszedł do wniosku, że dawno już nie czuł się tak dobrze. Ale w końcu, pomyślał, lekarze są po to, by wzbudzać w człowieku takie uczucia.

Tego dnia spotkał się z Dancheckerem. Wyniki dwuletnich wysiłków badawczych Hunta i Dancheckera zyskały uznanie opinii światowej i sprawiły, że obaj uczeni znaleźli się na świeczniku. Dyrektor Piątej Misji Jowiszowej, Józef B. Shannon, przed demilitaryzacją świata, która nastąpiła piętnaście lat temu, pułkownik sił lotniczych, dowiedziawszy się o ich obecności na statku, zaprosił ich na lunch. Tak więc około umownego południa dnia na statku znaleźli się przy stole w dyrektorskiej jadalni. Rozkoszując się cygarami i podanym po ostatnim daniu koniakiem, rewanżowali się dyrektorowi opowieściami z pierwszej ręki o innym sensacyjnym odkryciu, które poruszyło świat naukowy w ciągu ostatnich dwu lat – odkryciu Charliego i selenitów. Odkrycie to dorównywało rozgłosem obecnej sensacji odnalezienia statku ganimedów.

Na ganimedów natknięto się później, gdy wywiercono szyb w pokrywie lodowej Ganimedesa i znaleziono ich statek. Jakiś czas przed tym odkryciem ekspedycja badająca powierzchnię Księżyca odkryła ślady innej cywilizacji o wysokim stopniu rozwoju, która kwitła w Układzie Słonecznym na długo przed pojawieniem się na Ziemi człowieka. Gatunek ten, na pamiątkę miejsca ich odnalezienia, nazwano selenitami, stwierdzono, że osiągnęli szczytowy punkt rozwoju około pięćdziesiąt tysięcy lat temu, gdy Ziemia znajdowała się w okresie zlodowacenia plejstocenijskiego. Pierwszym znaleziskiem był Charlie; odnalezione pod pokładem rumowiska skalnego w pobliżu krateru Kopernika ciało selenity zachowało się w dobrym stanie wewnątrz skafandra kosmicznego. Odkrycie to stanowiło punkt wyjścia do ostatecznej rekonstrukcji historii selenitów.

Jak się okazało, selenicy każdym szczegółem swej budowy byli podobni do ludzi. Ustalenie to zrodziło natychmiast pytanie o ich pochodzenie. Kolebką selenitów mogła być Ziemia; byliby zatem nie odkrytą do niedawna cywilizacją ziemską, która rozwijała się przed

pojawieniem się gatunku homo sapiens. Ale mogli też pochodzić spoza Ziemi. Trzeciej możliwości nie było.

Przez długi czas jednak żadna z tych możliwości nie wydawała się prawdopodobna. Gdyby bowiem cywilizacja ta rozwijała się na Ziemi, prowadzący od kilku stuleci intensywne prace wykopaliskowe archeologowie dawno już musieliby natknąć się na jej ślad. Przy założeniu zaś, że selenicy są pochodzenia pozaziemskiego, należałoby podważyć podstawowe prawa ewolucji – przypadkowych mutacji i doboru naturalnego. A jeśli tak, selenicy – nie mogący pochodzić ani z Ziemi, ani spoza Ziemi – po prostu nie mogliby istnieć. A oni tymczasem istnieli. Hunta i Dancheckera zetknęła ze sobą podjęta wspólnie próba rozwikłania tej, zdawałoby się nierozwiązywalnej, zagadki. Zgłębienie tajemnicy, której wyświetleniem zajmowały się równocześnie setki uczonych w najsłynniejszych placówkach naukowych świata, zajęło im ponad dwa lata.

– Chris od samego początku był zdania, że Charlie i przypuszczalnie wszyscy pozostali selenicy musieli pochodzić od tych samych przodków, co my – otoczony gęstą chmurą dymu z cygara Hunt mówił do słuchającego w napięciu Shannona. – Nie spierałem się z nim w tym punkcie, z drugiej jednak strony nie przyjmowałem do wiadomości konkluzji, jakoby ich cywilizacja rozwijała się na Ziemi. Gdyby tak było, musieliby pozostawić po sobie ślady, a przecież tak nie jest.

Sączący koniak Danchecker uśmiechał się ponuro.

– Tak, to prawda – przyznał. – Przypominam sobie, że w początkowym okresie współpracy nasze spotkania miały charakter, że tak powiem, dość bezpośredniej i zgryźliwej wymiany zdań.

W oczach Shannona pojawił się błysk rozbawienia, gdy wyobraził sobie gorące dyskusje, o których, posługując się eufemizmami, wspomniał Danchecker.

– Pamiętam, że coś czytałem na ten temat – powiedział, kiwając głową. – Ale dziennikarze, prześcigając się w doniesieniach, plątali fakty, tak że trudno było się zorientować, co się za tym wszystkim kryje. Kiedy przyszła wam do głowy myśl, że kolebką selenitów mogła być Minerwa?

– To długa historia – odrzekł Hunt. – To wszystko było straszliwie zagmatwane. Im więcej wiedzieliśmy, tym bardziej jedno zdawało się przeczyć drugiemu. Zaraz... – zastanawiał się, trąc czoło. – Różni badacze gromadzili strzępy informacji uzyskane na podstawie przeróżnych testów, dokonywanych na szczątkach selenitów i pamiątkach odnalezionych po odkryciu Charliego. No i przede wszystkim sam Charlie, jego skafander, tornister i wszystko, co przy nim znaleźliśmy, poza tym odkrycie Tycho i innych miejsc... Dość że w końcu wszystkie fragmenty zaczęły układać się w logiczną całość, stopniowo udało nam się zrekonstruować zaskakująco szczegółowy obraz Minerwy i określić dokładnie jej przypuszczalne miejsce w Układzie Słonecznym.

– Przebywałem w SKONZ w Galveston, gdy pan podjął pracę w Nawkomie – powiedział Shannon. – Już wtedy istniały niezbite dowody na prawdziwość hipotezy, o której pan mówi. „Time” zamieścił długi artykuł o panu pod tytułem „Sherlock Holmes z Houston”. Ale proszę mi powiedzieć jedną rzecz – bo to, co pan mówi, nie rozwiązuje podstawowego problemu – skoro stwierdziliście, że oni pochodzą z Minerwy, jak wytłumaczyć fakt identycznej ewolucji?

– Słusznie – przyznał Hunt. – Bezsporne było tylko istnienie tej planety. Ale nie miałem dowodów na to, że selenicy tam właśnie się rozwijali. No i, jak pan słusznie zauważył, pozostawał problem równoległej ewolucji – dodał i westchnąwszy, strzepnął popiół z cygara. – Krążyły na ten temat przeróżne hipotezy. Niektórzy sądzili, że jakaś dużo wcześniejsza cywilizacja skolonizowała Minerwę, a następnie z nieznanых powodów została odcięta od swej kolebki. Inni utrzymywali, że selenicy od początku ewoluowali na planecie na zasadzie jakiegoś niezrozumiałego prawa konwergencji... To były zwariowane czasy.

– I wtedy właśnie uśmiechnęło się do nas szczęście – wtrącił Danchekker. – Pańscy koledzy z czwartej misji odkryli ten statek na Ganimesesie. Gdy się okazało, że na pokładzie znajdował się ładunek ziemskich form zwierzęcych sprzed dwudziestu pięciu milionów lat, wyjaśnienie zagadki narzucało się samo. Wniosek, jaki stąd wyciągnęliśmy, wydawał się niewiarygodny, ale wyjaśniał fakty.

Shannon kiwał głową na znak, że tego właśnie się spodziewał.

– No, oczywiście, zwierzęta – powiedział. – Tak myślałem. Dopóki nie wyszło na jaw, że przodkowie selenitów zostali przez ganimesedów przywiezieni na Minerwę, nie było sposobu powiązania selenitów z Minerwą.

– Mniej więcej – potwierdził Hunt. – To znaczy, udało nam się już wcześniej ustalić, że istniał jakiś związek między selenitami a Minerwą, ale nie potrafiliśmy wytłumaczyć, jak ten gatunek mógł się rozwijać na planecie. Ma pan rację, że te zwierzęta, które dawno temu ganimesedzi załadowali na swój statek, rozwiązywały ostatecznie problem. Ale najpierw trzeba było udowodnić, że sami ganimesedzi mieli coś wspólnego z Minerwą. Jak pan wie, początkowo wiedzieliśmy tylko tyle, że ich statek utkwiał w lodach Ganimesesa. Ale jak stwierdzić, skąd przybył?

– No tak, to jasne. Nie znaleźliście niczego, co by wskazywało na jakiegokolwiek powiązania ganimesedów z Minerwą. A co w końcu naprowadziło was na właściwy trop?

– I tym razem łut szczęścia – przyznał Danchekker. – W gruzach bazy selenitów na Księżycu odkryto pośród zapasów żywności ryby, które zachowały się w prawie niezmienionym stanie. Udało nam się wykazać, że ryby te należały do fauny minerwańskiej i zostały przywiezione na Księżyc przez selenitów. Udowodniliśmy jednocześnie, że szkielet takiej ryby jest podobny anatomicznie do odnalezionych szkieletów ganimesedów. Był to dowód, że ganimesedzi pochodzą od tych samych przodków, co owe ryby. A skoro ryby pochodziły z Minerwy, to i ganimesedzi musieli stamtąd pochodzić.

- A więc i ich statek musiał przylecieć z Minerwy – dokończył Hunt.
- Jak również wszystkie znajdujące się na nim zwierzęta – uzupełnił Danchecker.
- A jedynym wytłumaczeniem tego, jak się tam znalazły, jest hipoteza, że ganimedzi przywieźli je z Ziemi – postawił kropkę nad i Hunt.

Shannon medytował przez chwilę, wreszcie rzekł z wahaniem:

– Tak, rozumiem... To się trzyma kupy. No, a resztę można sobie dośpiewać. Rozwinęły się dwie linie zwierząt ziemskich – jedna na Ziemi, a druga na Minerwie, dokąd ganimedzi zawieźli okazy ziemskiej fauny, z naczelnymi włącznie. W ciągu tych dwudziestu pięciu milionów lat na Minerwie na drodze ewolucji z naczelnych powstałi selenicy. Dlatego właśnie są podobni do ludzi.

Shannon rozgniół w popielniczce niedopałek cygara, po czym oparł dłonie na stole.

– A ganimedzi? – spytał, wpatrując się w obu naukowców. – Co się z nimi stało? Zniknęli z planety dwadzieścia pięć milionów lat temu. Czy potraficie odpowiedzieć na to pytanie? Może byście podzielili się ze mną swoimi informacjami, strasznie jestem ciekaw.

Danchecker rozłożył ręce.

– Proszę mi wierzyć, że chętnie spełniłbym pańską prośbę – westchnął. – Ale wyznam szczerze, że niewiele udało nam się zrobić w tym kierunku. Ma pan rację: nie tylko ganimedzi, ale także inne formy rodzimych zwierząt lądowych wymarły lub zniknęły z powierzchni planety w bardzo krótkim czasie mniej więcej dwadzieścia pięć milionów lat temu. Na ich miejscu rozpanoszyły się zwierzęta ziemskie, z których ostatecznie rozwinęli się selenicy. Ale co się stało z ganimedami i dlaczego – profesor znów rozłożył bezradnie ręce – to niestety pozostaje zagadką. Och... snujemy oczywiście różne przypuszczenia, czy też raczej prawdopodobne wytłumaczenia tych faktów. Najbardziej rozpowszechniona hipoteza głosi, że wzrost ilości toksyn w atmosferze, głównie dwutlenku węgla, okazał się zabójczy dla form rodzimych, a jednocześnie nie szkodził organizmom przywiezionym z Ziemi. Ale, szczerze mówiąc, niewiele jest dowodów na prawdziwość tej teorii. Wczoraj rozmawiałem na statku z naukowcami, specjalizującymi się w biologii molekularnej; niektóre ich badania zachwiały moją wiarę w tę teorię, choć skłaniałem się ku niej jeszcze dwa, trzy miesiące temu.

Shannon był rozczarowany, lecz przyjął zawód z filozoficznym spokojem. Nim jednak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do stolika zbliżył się steward w białej marynarce i zajął się zbieraniem pustych filiżanek, opróżnianiem popielniczek i zmiataniem okruchów chleba z obrusa. Odchylili się w fotelach, by ułatwić mu pracę.

– Dzień dobry, Henry – zwrócił się do niego jowialnym tonem Shannon. – Czy dobrze traktują cię na statku?

– Nie mogę narzekać, proszę pana. Pracowałem już w gorszych firmach – odparł pogodnie steward.

Hunt zdziwił się, słysząc, że mówi akcentem ze wschodniej dzielnicy Londynu. Tymczasem steward zauważył filozoficznie:

- Każda zmiana jest dobra, zawsze to mówię.
- A co robiłeś przedtem? – spytał Hunt.
- Byłem stewardem osobistym w liniach lotniczych.

Po tym wyjaśnieniu zabrał się do sprzątanía sąsiedniego stolika. Na pytające spojrzenia obu uczonych Shannon powiedział, zniżając głos i wskazując ruchem głowy stewarda:

– Ciekawy człowiek. Zetknęliście się z nim panowie w trakcie podróży z Ziemi? – a gdy naukowcy potrząsnęli głowami, dodał: – Jest obecnie mistrzem szachowym na Jowiszu Pięć.

– Boże drogi! – zdumiał się Hunt, przyglądając się z zainteresowaniem kelnerowi. – Naprawdę?

– Nauczył się grać w szachy, gdy miał sześć lat – mówił Shannon. – Ma do tego zdolności. Mógłby zarobić masę pieniędzy, gdyby zaczął uprawiać grę zawodowo, ale woli traktować ją jak hobby. Pierwszy nawigator dzień i noc studiuje książki fachowe, chcąc mu odebrać tytuł. Ale między nami mówiąc, musiałby mieć dużo szczęścia, a to jedyna gra, w której nie można liczyć na szczęście, prawda?

– Tak – przyznał Danchekker. – Święta prawda.

Dyrektor spojrział na zegar ścienny i oparł się dłońmi o końce biurka, dając gościom do zrozumienia, że wizyta skończona.

– Moi panowie – powiedział – miło mi było was poznać. Dziękuję za niezwykle interesującą rozmowę. Powinniśmy się spotykać regularnie. Teraz jestem niestety umówiony, ale nie zapomniałem o obietnicy pokazania wam centrum dowodzenia. Jeśli panowie nie mają nic przeciwko temu, zaprowadzę was tam i przedstawię kapitanowi Hayterowi. On pokaże wam statek, gdyż ja niestety będę musiał się pożegnać.

Piętnaście minut później poruszającą się w jednym z tuneli komunikacyjnych kapsułą dotarli do innej części pojazdu. Znaleźli się w pomieszczeniu, w którym z trzech stron otaczał ich gęszcz konsol oprzyrządowania, stacji kontrolnych i monitorów na mostku kapitańskim; poniżej rozciągała się jaskrawo oświetlona panorama centrum dowodzenia Jowisza Pięć. Zespoły stacji operacyjnych, pochyle pulpity z jarzącymi się niszami, szeregi tablic z instrumentami – oto ośrodek, gdzie zbiegały się wszystkie nerwy statku, gdzie odbywał się stały nadzór nad wszystkimi poczynaniami misji i funkcjonowaniem samego pojazdu. Stała łączność laserowa z Ziemią; kanały przekazywania danych na powierzchnię Ganimedesa i do rozproszonej floty SKONZ, myszkującej wokół Jowisza; systemy nawigacyjne, napędowe oraz kontroli lotu statku; systemy grzewcze, chłodzenia, oświetlenia oraz podtrzymywania życia, a także dodatkowe komputery i urządzenia, jak też tysiące różnych procesów – wszystko to podlegało kontroli tego ośrodka, mającego niewyobrażalne możliwości techniczne.

Kapitan Ronald Hayter stał za plecami obu uczonych i czekał, aż nasycą wzrok zapierającym dech w piersiach widokiem. Zgodnie z organizacją misji oraz hierarchią jej dowodzenia władzę najwyższą sprawował Wydział Cywilny Sił Kosmicznych;

zwierzchnikiem misji był Shannon. Wiele ważnych odcinków działalności SKONZ, jak na przykład obsługa statków kosmicznych, zapewnienie bezpieczeństwa i efektywności działań w nieznanym środowisku – wymagało odpowiedniego treningu i dyscypliny, jakie mogła zapewnić tylko paramilitarna organizacja i struktura dowodzenia. By sprostać tym wymaganiom, utworzono Wydział Mundurowy Sił Kosmicznych; nieprzypadkowo inicjatywa ta, okrężną drogą i w sposób pokojowy, zaspokajała pragnienie przygody młodszej generacji, dla której istnienie wielkich armii było zmorą przeszłości, o jakiej należało jak najszybciej zapomnieć. Hayter miał pod swymi rozkazami wszystkich umundurowanych członków załogi, a odpowiadał bezpośrednio przed Shannonem.

– W tej chwili panuje tu względny spokój – odezwał się wreszcie kapitan, stając obok nich. – Jak panowie widzą, część stanowisk w kompleksie dowodzenia jest teraz nie obsadzona; po prostu, w czasie orbitowania wiele funkcji jest wyłączonych, inne zaś znajdują się pod automatycznym nadzorem. Poza tym tylko część załogi przebywa obecnie na pokładzie.

– Coś się tam dzieje – zauważył Hunt, wskazując na zajętych przy konsolach operatorów, którzy śledzili pilnie obraz na monitorach. Ludzie wystukiwali co chwila na klawiaturach jakieś polecenia, mówili coś do mikrofonów i porozumiewali się między sobą.

Hayter spojrzał we wskazanym kierunku i wyjaśnił, kiwając głową:

– Mamy połączenie z jednym z naszych krążowników, który orbituje w pobliżu Io. Umieścili kilka sond, krążących wokół Jowisza na niewielkich wysokościach, a w następnej fazie przewidziana jest penetracja powierzchni. Właśnie przygotowują sondy, które wylądują na Jowiszu. Operacją kieruje załoga krążownika, a nasi chłopcy tutaj śledzą przebieg operacji – wyjaśnił i wskazując inną część sterowni, bardziej na prawo, dodał: – A to jest oddział kontroli lotów. Pilnują bezkolizyjnego ruchu naszych statków manewrujących pomiędzy różnymi księżycami i na ich orbitach; zawsze mają dużo roboty.

Danchecker oglądał w milczeniu centrum dowodzenia. Gdy wreszcie zwrócił się do Haytera, na jego twarzy malował się nieklamany zachwyty.

– Muszę przyznać, że to wszystko zrobiło na mnie wrażenie. Ogromne wrażenie. W czasie podróży z Ziemi wyrażałem się o pańskim statku jako o piekielnym wynalazku, a teraz widzę, że będę musiał to odwołać.

– Jakkolwiek pan je nazwie, panie profesorze – odparł kapitan, rozciągając twarz w uśmiechu – to najbezpieczniejsze urządzenie, jakie kiedykolwiek zostało zbudowane. Wszystkie ważne funkcje, kontrolowane z tej sterowni, są dublowane przez urządzenia awaryjnego centrum dowodzenia, umieszczone w zupełnie innej części statku. Gdyby część, w której się teraz znajdujemy, została zniszczona, i tak dowieźlibyśmy pana bezpiecznie do domu. A gdyby oba centra zostały wyeliminowane, no cóż... – wzruszył ramionami – wtedy ze statku i tak niewiele by pozostało.

– Fascynujące... – zadumał się Danchecker. – Ale proszę mi powiedzieć...

– Przepraszam, panie kapitanie – wpadł mu w słowo oficer wachtowy, którego stanowisko znajdowało się o kilka metrów za nimi.

– O co chodzi, poruczniku? – spytał Hayter, odwracając się.

– Mam właśnie na monitorze radarzystę. Nasz nadzór dalekiego zasięgu wykrył niezidentyfikowany obiekt. Zbliża się szybko.

– Proszę uruchomić stanowisko drugiego oficera i przełączyć odbiór, zaraz tam będę.

– Rozkaz, panie kapitanie.

– Przepraszam – mruknął Hayter.

Podszedł do pustego fotela przy pobliskiej konsoli, usiadł i włączył główny monitor. Hunt i Danchecker stanęli za jego plecami, zaglądając mu przez ramię. Na ekranie pojawiła się sylwetka radarzysty.

– Dzieje się coś niezwykłego, panie kapitanie – powiedział oficer. – Niezidentyfikowany obiekt latający porusza się w kierunku Ganimedesa. Odległość sto dwadzieścia trzy tysiące kilometrów; szybkość siedemdziesiąt pięć kilometrów na sekundę z tendencją spadkową; współrzędne słoneczne dwa-siedem-osiem ku zero-jeden-sześć. Kurs na bezpośrednie zbliżenie. Przewidywany czas zbliżenia ponad trzydzieści minut. Silne echo w paśmie siódmym. Informacja sprawdzona i potwierdzona.

Hayter utkwiał wzrok w mówiącym.

– Czy według rozkładu lotów mamy w tej chwili jakieś statki w tym rejonie? – spytał.

– Nie, panie kapitanie.

– Jakies odstępstwa od rozkładu?

– Nie. Wszystkie nasze statki zostały zlokalizowane.

– Profil trajektorii?

– Brak danych. Obserwujemy.

Hayter namyślał się przez chwilę.

– Proszę pozostać na ekranie i referować na bieżąco rozwój wypadków – polecił, po czym zwrócił się do wachtowego: – Proszę wezwać wszystkie służby na mostek. Odnaleźć dyrektora i poprosić, by w każdej chwili był gotów zjawić się na mostku.

– Słucham, panie kapitanie.

– Radar! – zawołał Hayter, odwracając się do monitora. – Skierować skanery optyczne na LRS. Naprowadzić na współrzędne obiektu i skopiować na monitor trzy, B5 – tu przerwał, po czym znów zwrócił się do wachtowego: – Ogłosić alarm dla kontroli lotów. Wszystkie odloty zawieszono aż do odwołania. Statki lądujące zgodnie z rozkładem na J5, w ciągu najbliższej godziny mają pozostać w przestrzeni i czekać na instrukcje.

– Czy mamy odejść? – spytał Hunter opanowanym głosem.

– Nie, nie ma potrzeby – odparł Hayter odwracając się. – Proszę zostać. Może będziecie panowie świadkami ciekawej akcji.

– Co to jest? – spytał Danchecker.

– Nie mam pojęcia – odparł Hayter. – Nigdy dotąd z niczym takim się nie zetknęliśmy.

W miarę jak upływały minuty, napięcie rosło. Co chwila w sterowni pojedynczo lub dwójkami zjawiali się pełniący wachtę członkowie załogi i zajmowali stanowiska przy konsolach i tablicach. Na statku panowała atmosfera spokoju, połączonego z niepewnością. Załoga, jak dobrze naoliwiona maszyna, gotowa do działania, czekała...

Obraz teleskopowy przekazany przez skanery optyczne był wyraźny, lecz niewiele w nim było informacji: obiekt o obłym kształcie miał cztery niewielkie wypukłości w kształcie krzyża, dwie z nich dłuższe i grubsze od pozostałych dwu. Mógł to być dysk lub sferoid, albo jeszcze jakaś inna, widziana od tyłu bryła. Trudno było to określić.

Wreszcie łączem laserowym przekazano z Jowisza Cztery, krążącego wokół księżycą Callisto, pierwszy wyraźniejszy obraz. Z powodu względnego położenia Callisto i Ganimedesa, jak również zmniejszającej się prędkości intruza, teleskopy Jowisza Czwartego ukazały ukośny jego obraz, tak jak był widziany z pewnej odległości od jego projektowanego kursu w kierunku Ganimedesa.

Gdy na ekranie w sterowni J5 ukazał się obraz przekazany z Jowisza Czwartego, załoga wstrzymała oddech. Spośród wszystkich statków, jakimi dysponowały SKONZ, tylko wegi, przeznaczone do poruszania się w atmosferze planet, miały opływowe kształty; ten pojazd nie był wegą. Płynne kształty i delikatnie zakrzywione, doskonale wyważone stateczniki nie wyszły spod ręki ziemskiego projektanta.

Hayter zbladł jak ściana, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran; zdał sobie sprawę z powagi chwili. Przełknąwszy ślinę, powiódł wzrokiem po zdumionych twarzach otaczających go ludzi.

– Obsadzić wszystkie stanowiska na platformie dowodzenia – rozkazał zduszonym niemal do szeptu głosem. – I wezwać natychmiast na mostek dyrektora misji.

Rozdział czwarty

Ujęty w ramy wielkiego ekranu ściennego na mostku dowodzenia Jowisza Pięć, pojazd pozaziemski unosił się w próżni na tle gwiazd, obracając się ledwie dostrzegalnym ruchem. Minęła godzina od czasu, gdy przybysz, zredukowawszy szybkość, zrównał się ze statkiem flagowym ziemian i wszedł na orbitę wokół Ganimedesa. Oba statki dzieliła teraz odległość około ośmiu kilometrów i widać było wyraźnie każdy szczegół budowy obcego pojazdu. Kadłub i stateczniki miał niemal idealnie gładkie, nie widać też było żadnych oznakowań czy symboli. W niektórych miejscach znać było smugi odbarwień, jakby ślady po oznakowaniach, które zostały starte lub może wypłowiały. Statek nosił na sobie wyraźne ślady zużycia i uszkodzeń doznanych w trakcie długiej i ciężkiej podróży. Zewnętrzna powłoka pojazdu była chropowata i usiana dziurami, a cała jej powierzchnia zniekształcona i powyginana w nieregularne smugi i wklęsnięcia, tak jakby statek był wystawiony na działanie wysokich temperatur.

Od chwili odebrania pierwszych wyraźniejszych obrazów intruza, na pokładzie Jowisza Pięć załoga zwijała się jak w ukropie. Nie sposób było stwierdzić, czy na statku jest załoga, a jeśli tak, jakie ma zamiary. Jowisz Pięć nie był przystosowany ani do działań zaczepnych, ani obronnych, przy planowaniu zadań misji nie liczone się bowiem poważnie z taką ewentualnością.

Obsadzono wszystkie stanowiska w centrum dowodzenia i w całym statku każdy członek załogi zajął pozycję, przewidzianą w przypadku zagrożenia. Pozamykano wszystkie grodzie, przygotowano do uruchomienia silniki główne. Przerwano połączenie z Ganimedesem oraz z pozostałymi statkami SKONZ, by nie zdradzać ich istnienia i pozycji. Te spośród statków filialnych Jowisza Pięć, które dało się uruchomić w ciągu krótkiego czasu, jakim dysponowano, rozprysły się w pobliską przestrzeń; kilka z nich, zdalnie sterowanych z pokładu statku-matki, miało być w razie konieczności użytych do staranowania przeciwnika. Statek pozaziemski odpowiedział wprawdzie na sygnały wysłane z Jowisza Pięć, lecz komputery pokładowe nie były w stanie ich zdekodować. Nie pozostawało więc nic innego, jak czekać.

Przez cały czas gorączkowej krzątaniny Hunt i Danhekker stali na mostku, śledząc w osłupieniu bieg wydarzeń. Byli tu jedynymi ludźmi, którzy z braku określonych obowiązków mogli oglądać działania załogi niczym wspaniałe widowisko. I byli zapewne jedynymi, którzy mogli pozwolić sobie na głębsze przemyślenia zachodzących wydarzeń.

Po odkryciu selenitów, a potem ganimedów przyzwyczajono się do myśli, że poza człowiekiem istniały inne inteligentne istoty, które osiągnęły wysoki stopień rozwoju naukowo-technicznego. Ale co innego wiedzieć, a co innego widzieć. Bo oto osiem kilometrów stąd unosiła się nie jakaś pozostałość zamierzchłej przeszłości czy kadłub statku, który kiedyś tam uległ katastrofie, lecz działająca machina, która przybyła z innego świata. Właśnie teraz, w tej oto chwili, obcy statek prowadzony jest przez jakiegoś rodzaju inteligencję; bezbłędnie i bez wahania wprowadzono go na orbitę, natychmiast też odpowiedział na sygnały wysłane z J5. Niezależnie od tego, czy na statku była jakaś załoga, czy nie, spotkanie to miało być pierwszym w historii zetknięciem się ludzi z inteligencją spoza ich planety. Chwila jedyna w swoim rodzaju; jakkolwiek potoczy się koło historii, ta chwila już się nie powtórzy.

Shannon stał pośrodku mostka i wpatrywał się w ekran głównego monitora. Obok Hayter śledził oczyma dane i obrazy wyświetlane poniżej na mniejszych monitorach. Na jednym z ekranów widać było Gordona Storrela, wicedyrektora misji, który znajdował się w awaryjnym centrum dowodzenia, otoczony własnym sztabem ludzi. Połączenie z Ziemią zostało utrzymane – przesłano kompletny meldunek o ostatnich wydarzeniach.

– Analizatory wykryły nowy element sytuacji – odezwał się ze swego stanowiska oficer łączności, po czym zrelacjonował zmianę charakteru sygnałów odbieranych z pozaziemskiego statku: – Transmisja gęstych sygnałów, przypominających radarowe pasmo K. PRF dwadzieścia dwa koma trzy cztery gigaherców. Brak modulacji.

Minęło znów kilka wlokących się niemilosierne minut. Wreszcie odezwał się inny głos:

– Nowy meldunek radarowy. Od obcego statku oderwał się niewielki obiekt. Kieruje się ku J5. Statek nie zmienia pozycji.

Ludzi zgromadzonych na mostku ogarnęła trwoga, wyczuwalna telepatycznie raczej niż zmysłami. Jeśli ten obiekt to pocisk, niewiele będą mogli zrobić – najbliższy statek-taran znajduje się w odległości siedemdziesięciu pięciu kilometrów i przy maksymalnej prędkości potrzebuje pół minuty na przybycie. Ale kapitan Hayter nie miał czasu na arytmetykę.

– Odpalić taran nr 1 i nawiązać kontakt bojowy – warknął.

W sekundę później słychać potwierdzenie wykonania rozkazu:

– Taran nr 1 odpalony. Naprowadzony na cel.

Wpatrzony w ekrany monitorów twarze pokryły się kropelkami potu. Na głównym ekranie nic jeszcze nie widać, ale jeden z monitorów pomocniczych ukazuje dwa wielkie pojazdy i maleńki punkcik, bezspornie przesuwający się od jednego z nich do drugiego.

– Obiekt zbliża się z szybkością trzydziestu metrów na sekundę.

– Taran nr 1 zbliża się do celu. Zderzenie za dwadzieścia pięć sekund.

Shannon zwilżył językiem spieczone wargi, pilnie śledząc dane na monitorach i słuchając kolejnych meldunków. Hayter postąpił słusznie, stawiając ponad wszystko bezpieczeństwo statku. Ale ostateczna decyzja należy do dyrektora misji.

– Dziewięćdziesiąt kilometrów. Piętnaście sekund do zderzenia.

– Obiekt nie zmienia kursu i prędkości.

– To nie jest pocisk – rzekł Shannon tonem ostatecznej decyzji. – Kapitanie, proszę odwołać atak.

– Zawrócić taran nr 1 – rzucił Hayter.

– Taran nr 1 zawrócony.

Skamieniali na mostku ludzie poruszyli się, oddychając z ulgą, mija rosące z sekundy na sekundę napięcie. Wega, która wynurzyła się z czarnej pustki, w odległości trzydziestu kilometrów zawróciła i znikła na powrót w nieskończonej przestrzeni kosmicznej.

– Wiesz, Chris – odezwał się Hunt półgłosem do Danchekkera – tak mi się skojarzyło... Mam wuja w Afryce. Opowiadał mi, że w niektórych okolicach istnieje zwyczaj witania obcych przybyszów dzikimi wrzaskami, wyciem i potrząsaniem włóczniami. Jest to przyjęty sposób podkreślania swej pozycji.

– Może to po prostu zwykła ostrożność – odparł sucho profesor.

Wreszcie kamery optyczne odkryły jasny punkcik znajdujący się w połowie drogi między J5 i obcym statkiem. Zbliżenie teleobiektywowe ukazało gładki, srebrny dysk bez żadnych zewnętrznych akcesoriów; z tej odległości trudno było jeszcze rozróżnić dokładne kształty obiektu. Dysk zbliżał się ze stałą prędkością, lecz gdy znalazł się w odległości kilometra od statku flagowego misji, zawisł w przestrzeni i obrócił się wokół swej osi, ukazując prosty jajowaty profil. Miał około dziesięciu metrów długości i całkowicie metalową konstrukcję. Po upływie kilku sekund pojazd rozbłysnął jasnym, rytmicznie pulsującym białym światłem.

Na pokładzie J5 odbyto pospiesznie naradę. Wszyscy zgodni byli co do tego, że jajowaty pojazd prosi o pozwolenie zacumowania do statku. Znaczny czas potrzebny na przesłanie i odebranie wiadomości z Ziemi wykluczał jakąkolwiek konsultację ze zwierzchnikami. Toteż po nadaniu obszernego komunikatu za pośrednictwem łącz laserowych, Shannon zdecydował się zadośćuczynić prośbie przybyszy.

Sformowano na oczekaniu komitet powitalny i skierowano go do jednej z wnęk ładowniczych Jowisza Pięć. Przystań ta, przeznaczona do lądowania innych statków misji na statku-matce, zaopatrzona była w wielkie drzwi zewnętrzne, które zamykano, gdy okoliczności wymagały napełnienia śluzy powietrzem. Ze statku szło się do śluzy przez szereg grodzi pomocniczych. Ubrani w skafandry członkowie komitetu powitalnego, wyszedłszy na jedną z platform roboczych śluzy, ustawili boję świetlną, pulsującą z tą samą częstotliwością, co światło obcego owoidu.

Ludzie na mostku J5 otoczyli półkolem monitor transmitujący obraz śluzy, wpatrując się z napięciem w ekran. Srebrny ovoid zaczął wolno dryfować ku środkowi wygwieżdzonego dywanu, widniejącego pomiędzy zarysami otwartych drzwi śluzy. Pojazd, wygasiwszy światła, zbliżył się wolno do wnęki i zawisł w pewnej odległości od platformy, jakby badając sytuację. W zbliżeniu widać było wyraźnie, że w kilku miejscach z gładkiej powłoki wysunęły się okrągłe części w formie płaskich, obracających się wolno wieżyczek; prawdopodobnie były to kamery oraz inne instrumenty, rozpoznające wnętrze śluzy. Wreszcie ovoid ruszył i osiadł delikatnie na platformie w odległości około dziesięciu metrów od grupki ziemian, zbitych ciasno w spłoszoną gromadkę. Nad ich głowami zapalił się łuk świetlny i stali teraz skąpani w powodzi białego światła.

– Usiedli – doszedł ich przez audiokanał głos wicedyrektora misji Gordona Storrela, który podjął się dowodzenia komitetem powitalnym. – U dołu wysunęły się trzy łapy. Poza tym żadnego znaku życia.

– Dajcie im pięć minut – powiedział do mikrofonu Shannon. – Po upływie tego czasu pójdziecie wolno w kierunku pojazdu i w połowie drogi zatrzymacie się.

– Rozkaz.

Po minucie włączono dodatkowe światła, skierowane na grupę ziemian, gdyż ktoś rzucił uwagę, że ponury widok wynurzających się z mroku niewyraźnych postaci może sprawić na przybyszach niekorzystne wrażenie. Ale z tamtej strony nie wywołało to żadnej reakcji.

– W porządku, czas minął – zwrócił się wreszcie Storrel do swoich ludzi. – Idziemy.

Na ekranie grupka niezgrabnych figurek w kulistych hełmach ruszyła wolno naprzód; na czele szedł Storrel którego można było poznać po złotych epoletach, i mając obok siebie dwu starszych rangą funkcjonariuszy SKONZ. Zatrzymali się. Po chwili pośrodku owoиду odsunęła się płyta i odsłoniła prawie dwumetrowej wysokości metrowej szerokości luk. Figurki w skafandrach zamarły w bezruchu; ludzie na mostku skupili się ciasno, wpatrzeni w ekran. Ale nic się nie działo.

– Może powstrzymuje ich jakiś protokół dyplomatyczny czy coś w tym rodzaju – odezwał się Storrel. – Są na obcym terenie. Może uważają, że to my powinniśmy wykonać następny ruch.

– Możliwe – zgodził się Shannon, po czym zwrócił się do Haytera spokojnym głosem: – Może z góry coś widać?

Kapitan uruchomił połączenie z dwoma sierżantami którzy zajęli pozycje na pomoście wysoko nad platformą.

– Halo, platforma. Co widzicie?

– Widać stąd wszystko jak na dłoni. W środku panuje półmrok, ale mamy obraz z intensyfikatora. Widać elementy wyposażenia, armaturę... ależ tam ciasno. Nic się nie porusza, żadnych oznak życia.

– Żadnych oznak życia, Gordonie – przekazał Shannon informację do służby. – Macie do wyboru: stać tam nie wiadomo dokąd, albo zajrzeć do środka. Powodzenia. Wycofaj się natychmiast, gdybyś zauważył coś podejrzanego.

– Nie ma mowy – odparł Storrel. – Słyszeliście, chłopcy? – zwrócił się do swoich ludzi. – Niech nie myślą, że Siły Kosmiczne wystraszą się byle czego. Miralski i Oberman ze mną; reszta zostaje tu na straży.

Trzy figurki oderwały się od grupy i podszedłszy do pojazdu, zatrzymały się obok małej rampy, która wysunęła się z luku. Na mostku włączył się jeszcze jeden monitor i na jego ekranie ukazał się widok przekazany z ręcznej kamery jednego z funkcjonariuszy SKONZ: najpierw ziejący pustką czarny otwór luku, a potem plecy Storrela.

Po chwili ludzie na mostku usłyszeli przez radio głos Storrela, który ze środka kapsuły komentował to, co miał przed sobą.

– Jestem na szczycie rampy. Pokład znajduje się jakieś trzydzieści centymetrów niżej. W głębi przedionka widzę otwarte drzwi, prowadzące do środka. Wygląda mi to na groź.

Funkcjonariusz z kamerą wszedł do środka i na ekranie znów ukazał się obraz. Ujęty widok odpowiadał opisowi Storrela, oddawał również wrażenie ciasnoty i bałaganu, jakie odnieśli obserwatorzy na platformie służby. Przez uchylone drzwi z wnętrza pojazdu wydobywał się snop ciepłego żółtawego światła.

– Wchodzę do środka... – pauza. – Wygląda to na sterownię. Dwa fotele umieszczone obok siebie, jakby dla pierwszego i drugiego pilota, siedzących twarzami do przodu; pełno tu instrumentów, ekranów kontrolnych... Nikogo nie widzę... następne drzwi, prowadzące na rufę, zamknięte. Fotele są bardzo duże w porównaniu z naszymi. Muszą być jacyś olbrzymi... Chodź no tu, Oberman, pokaż im to.

Na ekranie ukazał się obraz opisany przez Storrela, po czym kamera zaczęła wolno panoramować wyposażenie sterowni pojazdu.

– Chris! – wykrzyknął nagle Hunt, chwytając Dancheckera za rękaw i wskazując na ekran. – Widziałeś tę podłużną szarą tablicę z przełącznikami? Już gdzieś widziałem takie oznaczenia! Były na...

Urwał nagle, gdyż kamera podjechała ostro do góry i ukazała duży ekran, umieszczony z przodu przed pustymi fotelami. Ekran ożył nagle i po chwili zdumionym oczom ziemian ukazały się trzy pozaziemskie istoty. Ludzie na mostku zaniemówili z wrażenia, z niedowierzaniem przyglądając się obrazowi.

Wszyscy doskonale znali te kształty: podłużna wąska dolna część twarzy, rozszerzająca się górą w wydłużoną czaszkę... masywne torsy i dziwne sześciopalczaste dłonie z dwoma kciukami... Gdy tylko Jowisz Pięć przesłał na Ziemię szczegóły znalezisk na Ganimedesie, Danchecker zbudował zupełnie podobny naturalnej wielkości model istoty o wzroście dwustu pięćdziesięciu centymetrów. Wszyscy doskonale znali ową artystyczną wizję kształtów cielesnych, które musiały okrywać znaleziony szkielet.

Nie ma co, artysta zrobił kawał dobrej roboty.

Istoty pozaziemskie, które mieli przed sobą, to byli ganimedzi.

Rozdział piąty

Wszystkie dane, jakie udało się zebrać, wskazywały na to, że ganimedzi zniknęli z Układu Słonecznego jakieś dwadzieścia pięć milionów lat temu. Ich ojczysta planeta nie istniała od pięćdziesięciu tysięcy lat, jeśli pominąć jej pozostałości w postaci lodowej kuli, krążącej za Neptunem, oraz pasa planetoid. Więc skąd nagle wzięli się ci ganimedzi na ekranie? W pierwszej chwili Huntowi przemknęło przez myśl, że to jakiś stary zapis, który został włączony, gdy Storrel z dwoma towarzyszami wszedł do środka owoиду. Ale zaraz przekonał się, że jest w błędzie. Z tyłu za ganimedami widać było ekran podobny do tego na mostku J5; ukazywał on Jowisza Pięc, filmowanego pod kątem odpowiadającym położeniu obcego statku względem pojazdu ziemian. A więc ganimedzi byli tu naprawdę, w tej chwili, niecałe osiem kilometrów stąd... Ale oto wewnątrz owoidu zaczęły się dziać rzeczy nie pozostawiające czasu na zastanowienie.

Nie można było mieć pewności, co oznacza zmiana wyrazu twarzy pozaziemskich istot, ale odnosiło się wrażenie, że są oni równie zdumieni jak ziemianie. Ganimedzi poczęły gestykulować, a jednocześnie przez głośniki umieszczone w hełmach ziemian popłynęła niezrozumiała mowa. W owoidzie nie było powietrza, nie mógł się więc tam rozchodzić dźwięk. Wszystko wskazywało na to, że ganimedzi nagrywali wysyłane przez komitet powitalny sygnały radiowe i teraz posługiwali się nimi, używając takich samych częstotliwości i modulacji.

Cały ekran wypełnił teraz ganimed, stojący pośrodku trójki przybyszy, po czym jakiś obcy głos jął powtarzać w kółko dwie sylaby, co brzmiało jak „Garruth”. Postać na ekranie skłoniła lekko głowę i w geście tym manifestowała się uprzedzająca grzeczność a zarazem ogromna godność, rzadko spotykane wśród ludzi.

– Garruth – powtórzył ten sam głos, i znów: – Garruth.

W podobny sposób przedstawione zostały pozostałe dwie istoty, po czym ukazały się znów wszystkie trzy razem. Ganimedzi stali nieruchomo, patrząc z ekranu wprost przed siebie, jakby na coś czekali.

Zrozumiawszy, o co chodzi, Storrel postąpił krok naprzód, stając dokładnie na wprost ekranu.

– Storrel. Storrel – przesylabizował swe nazwisko, dodając odruchowo: – Dzień dobry.

Przyznał potem, że to pozdrowienie zabrzmiało głupio, ale w tamtej chwili, jak twierdził, nie potrafił myśleć logicznie. Obraz natychmiast się zmienił i z ekranu spoglądał na siebie sam Storrel.

– Storrel – powtórzył za nim obcy głos tak doskonałą wymową, że część obserwatorów była przekonana, że usłyszeli głos samego Storrela. Potem tak samo przedstawili się Miralski i Oberman, co nie było łatwe, gdyż w ciasnym wnętrzu trudno było się ruszyć. Po zakończeniu prezentacji, na ekranie zaczęły ukazywać się obrazy, na które Storrel reagował wypowiedzeniem odpowiedniego rzeczownika angielskiego: ganimed, ziemianin, statek kosmiczny, gwiazda, ręka, noga, dłoń, stopa. Trwało to przez kilka minut. Było jasne, że ganimedzi wzięli na siebie trud uczenia się języka ziemian; łatwo się domyślić, dlaczego. Oto ten, który powtarzał angielskie nazwy, wykazywał zdumiewającą zdolność zapamiętywania wyrazów. Nigdy nie prosił o powtórzenie definicji i zawsze mówił wszystko dokładnie. Z początku mylił się dość często, ale, raz poprawiony, nigdy już nie powtórzył błędu. Głos nie był zsynchronizowany z ruchami ust ganimedów widocznych na ekranie, z czego można było wnosić, że mówcą był inny, przebywający na statku macierzystym i śledzący wydarzenia w owoidzie.

W pewnej chwili na małym monitorze z boku ekranu ukazał się dziwny schemat: pośrodku widoczny był niewielki okrąg, ozdobiony rozchodzącymi się promieniście strzałkami, a wokół niego dziewięć koncentrycznych okręgów.

– Co to jest, do diabła? – zastanawiał się Storrel.

Unosząc brwi i marszcząc czoło. Shannon spojrzał pytająco na otaczających go ludzi.

– Może Układ Słoneczny? – podpowiedział Hunt.

Shannon przekazał sugestię Storrelowi, a ten poinstruował ganimedów. Teraz na małym ekranie ukazał się pusty okrąg.

– Kto to jest? – spytał głos.

– Błąd – powiedział Storrel, posługując się ustaloną wcześniej konwencją. – Co to jest?

– Kiedy „kto”, kiedy „co”?

– „Kto” dla ganimedów i ziemian.

– Ganimedzi i ziemianie – razem?

– Ludzie.

– Ganimedzi i ziemianie ludzie?

– Ganimedzi i ziemianie to ludzie.

– Ganimedzi i ziemianie to ludzie.

– Prawidłowo.

– „Co” dla nie-ludzi?

- Prawidłowo.
- Nie-ludzie – ogólnie?
- Rzeczy.
- „Kto” dla ludzi; „co” dla rzeczy?
- Prawidłowo.
- Co to jest?
- Okrąg.

Teraz w środku okręgu ukazała się kropka.

- Co to jest? – pytał dalej głos.
- Środek.

Na ekranie pojawił się ten sam co przedtem schemat Układu Słonecznego. Pulsujący świetlny symbol wskazywał środek układu.

- Co to jest?
- Słońce.
- Gwiazda?
- Prawidłowo.

W ten sam sposób Storrel nazwał wszystkie planety w miarę jak ukazywały się ich symbole. Dialog był z początku uciążliwy, ale z minuty na minutę szło coraz lepiej. Na zakończenie prezentacji ganimedzi wyrazili zdziwienie brakiem jeszcze jednej planety między Marsem a Jowiszem; ziemianie z łatwością zrozumieli, o co chodzi, gdyż spodziewali się takiego pytania. Sporo czasu zajęło wyjaśnienie przybyszom, że Minerwa uległa zniszczeniu i że pozostało z niej tylko trochę gruzu w postaci planetoid oraz planeta Pluton. Istnienie tej ostatniej wyjawiono już wcześniej, czego ganimedzi również nie mogli zrozumieć.

Gdy po wielu dodatkowych pytaniach upewnili się wreszcie, że dobrze zrozumieli ten ostatni punkt, w ich zachowaniu zaszła wyraźna zmiana. Ucichli nagle i przybrali postawę rezygnacji. Wprawdzie żaden z gestów i żadna z min ganimedów nic ziemianom nie mówiły, ale mimo to odnieśli nieodparte wrażenie, że istoty pozaziemskie opanowała rozpacz i bezbrzeżny smutek. W wyrazie ich podłużnych, posmutniałych twarzy czytali taką udrękę, jakby te obce istoty przepelniał nieutulony żal.

Minęła długa chwila, nim ganimedzi znów się odezwali. Widząc, że zachowali obraz Układu Słonecznego, należący bezpowrotnie do przeszłości, ziemianie doszli do wniosku, że ganimedzi – jak przypuszczano od dawna – rzeczywiście wyemigrowali na inny system gwiazdny. Ich nagłe zjawienie się było zapewne rodzajem sentymentalnej podróży do miejsc, skąd miliony lat temu wyszła ich rasa, miejsc, które oni znali co najwyżej ze zdjęć, od niepamiętnych czasów przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Nic dziwnego, że byli skonsternowani tym, co zastali.

Ale gdy zwrócili się z pytaniem do gości, spodziewając się potwierdzenia domysłu, że przybyli z innego układu gwiazdowego, usłyszeli w odpowiedzi coś, co wyglądało na zaprzeczenie. Na ile można było ich zrozumieć, ganimedzi twierdzili, że przybywają z Minerwy. Było to śmieszne. Ale Storrel tak się zaplątał w zawłościach gramatycznych, że całą rzecz można było położyć na karb nieporozumienia, wywołanego przejściowymi trudnościami językowymi. Cała sprawa wyjaśni się, jak tylko tłumacz ganimedów nabędzie większych umiejętności językowych.

Tymczasem tłumacz zauważył związek zachodzący między wyrazami ziemia i ziemianie i poprosił o potwierdzenie domysłu, że istoty, z którymi rozmawia, pochodzą z trzeciej planety Układu Słonecznego. Twierdząca odpowiedź Storrela wprawiła trzech ganimedów widocznych na ekranie w wielkie ożywienie; nastąpiła dłuższa wymiana zdań, lecz ich rozmowy nie było słyhać przez radio. Goście nie wyjaśnili, dlaczego informacja tak ich poruszyła, a ziemianie o to nie pytali.

Na zakończenie ganimedzi oznajmili, że podróżują od bardzo dawna, że przeszli wiele chorób i śmierć przerzedziła ich szeregi. Kończyły im się zapasy, urządzenia pokładowe w znacznej części przestały działać, a oni sami znajdowali się w stanie skrajnego wyczerpania fizycznego, umysłowego i psychicznego. Dali ziemianom do zrozumienia, że tylko nadzieja powrotu do domu dodawała im sił do przezwycięzania piętrzących się trudności; teraz, gdy nadzieja ta upadła, byli skończeni.

Podczas gdy Storrel rozmawiał dalej z ganimedami, Shannon odwrócił się od ekranu i zebrał parę osób, w tym obu uczonych, na zaimprovizowaną naradę.

– Postanowiłem posłać na ich statek ekipę – powiedział przyciszonym głosem. – Oni potrzebują pomocy i tylko od nas mogą ją otrzymać. Odwołam Storrela i postawię go na czele ekspedycji; wygląda na to, że dobrze sobie z nimi radzi. – Kapitanie – zwrócił się do Haytera – proszę przygotować taksówkę i wyznaczyć dziesięciu ludzi, którzy będą towarzyszyć Storrelowi; w tym przynajmniej trzech oficerów. Proszę, by ekipa przybyła na odprawę do poczekalni przy służbie pierwszej gotowej do drogi taksówki... powiedzmy za czterdzieści minut. Oczywiście w pełnym rynsztunku.

– Tak jest – przyjął rozkaz Hayter.

– Są uwagi? – spytał Shannon.

– Mamy zabrać broń krótką? – spytał jeden z oficerów.

– Nie. Jeszcze coś?

– Mam prośbę – odezwał się Hunt. – Chciałbym iść z nimi – a gdy Shannon spojrział na niego niezdecydowanie, dodał: – Przyleciałem tu, by zająć się ganimedami. Takie mi przydzielono zadanie. To najlepszy sposób wykonania tego, co do mnie należy.

– Czy ja wiem? – zastanawiał się Shannon, skrobiąc się w głowę. – Właściwie, dlaczego nie? No, dobrze – zdecydował wreszcie i zwracając się do Danchekkera, dodał: – A pan, profesorze?

– Dziękuję za propozycję! – zawołał Danchecker machając rękoma. – Wolę nie. Wystarczy mi emocji na dzisiaj. A poza tym, kosztowało mnie rok, nim przyzwyczałem się do tego wehikułu. Wolę nie myśleć, jak może wyglądać pojazd istot pozaziemskich.

Hayter skrzywił się w uśmiechu, potrząsając głową, ale nic nie powiedział.

– W porządku – rzucił Shannon, obrzucając spojrzeniem zgromadzonych, a widząc, że nie ma więcej uwag, zakończył: – To wszystko. Wracajmy do naszych ludzi na froncie – i podszedłszy do ekranu, powiedział do mikrofonu: – No, jak tam, Gordonie?

– W porządku. Uczę ich liczyć.

– To dobrze. Ale każ to robić któremuś ze swoich ludzi. Ty polecisz na małą przejażdżkę. Kapitan Hayter zaraz ci wszystko wyjaśni. Będziesz ambasadorem Ziemi.

– Ile za to płacą?

– Właśnie rozważamy tę kwestię, Gordonie – uśmiechnął się Shannon, czując, jak opada z niego napięcie.

Rozdział szósty

Taksówka – mały transportowiec osobowy, przeznaczony do przerzucania pasażerów między satelitami lub orbitującymi pojazdami kosmicznymi – zbliżała się do statku ganimedów. Siedząc na jednej z ławek umieszczonych pod ścianami małej kabiny, wciśnięty pomiędzy niezgrabne figury dwóch innych członków ekipy, tak jak on ubranych w skafandry kosmiczne, Hunt obserwował na małym wideoekranie obcy pojazd, który rósł w oczach, w miarę jak się do niego zbliżali.

Z bliska jeszcze bardziej rzucały się w oczy wiekowość i zużycie statku. Wyblakłe partie powłoki, ciągnące się od dzioba do ogona, nawet przy dużych powiększeniach słabo rozpoznawalne z pokładu J5, były teraz całkiem wyraźne i miejscami przypominały kamuflaż. Cały pancierz usiany był mniejszymi i większymi, choć niezbyt dużymi okrągłymi wgłębieniami; obramowane wypukłymi obwarzankami szarawego metalu, wyglądały jak miniaturowe kratery Księżyca. Wyglądało to tak, jakby statek bombardowany był dziesiątkami tysięcy maleńkich drobin materii, poruszających się z ogromną prędkością, umożliwiającą przebicie pancerza i wyzwalającą dostatecznie dużo energii, by stopić metalową powłokę wokół miejsca przebicia. Albo statek przebył ogromną odległość, rozmyślał Hunt, albo też poza Układem Słonecznym panują warunki, o jakich SKONZ nie ma jeszcze dostatecznych informacji.

W boku „Szapierona” – ziemianie znali już nazwę statku – ukazał się prostokątny otwór, dostatecznie duży, by wpuścić do środka taksówkę. Jego wnętrze jaśniało łagodnym bursztynowym blaskiem, którego źródłem była boja świetlna, umieszczona pośrodku jednej z dłuższych ścian.

Taksówka skorygowała kurs, by trafić w otwór, a przez interkom doszedł ich głos pilota:

– Proszę pozostać na miejscach. Siadamy „na wycucie”, bez naprowadzenia radarowego. Proszę nie zdejmować hełmów ze stojaków, dopóki nie wylądujemy.

Posługując się odrzutowymi silnikami manewrowymi, pilot centymetr po centymetrze przeciskał się przez otwór w powłoce statku. Wewnątrz śluzy, przymocowany do wewnętrznej grodzi, znajdował się wypolerowany niebiesko-czarny pojazd, zajmujący

większą część miejsca. W wolną przestrzeń wysuwały się dwie długie i, jak się wydawało, mocne platformy, ustawione pionowo do podłużnej osi statku. Na jednej spoczywały obok siebie dwa srebrzyste owoidy, druga natomiast była pusta – boję świetlną umieszczono z boku u góry, tak by nie utrudniać lądowania. Taksówka uniosła się i zawisła jakieś trzy metry ponad platformą, po czym powoli opadła w dół i dotknęła podłoża.

Hunt od razu pojął, że dzieje się coś niezwykłego, ale dopiero po kilku sekundach zdał sobie sprawę, o co chodzi. Na twarzach otaczających go towarzyszy dostrzegł również wyraz zdumienia.

Oto poczuł nagle, jak fotel napiera na niego, a jego ciało odzyskuje normalną wagę, choć nie dostrzegł nigdzie żadnego urządzenia, które mogłoby spowodować tę zmianę warunków. Pewne partie Jowisza Pięc symulowały grawitację ziemską poprzez ruch rotacyjny, inne natomiast, służące specjalnym celom, były pozostawione w stanie nieważkości. Instrumenty wycelowane w obiekty stałe, jak na przykład filmującą „Szapierona” kamerę, umieszczano na wysuniętych bomach obrotowych, równoważących rotację statku; była to ta sama zasada, którą stosowano w wypadku teleskopów umieszczonych na powierzchni ciała niebieskiego. Wygląd statku ganimedów, tak jak go oglądali na ekranie w J5, nie wskazywał na to, by cały pojazd lub jakaś jego część mogła wykonywać ruch obrotowy. Poza tym, gdy taksówka szykując się do lądowania, ustawiała się na wprost wejścia do śluzy, gwiazdy widziane na wideoekranie nie zmieniały pozycji. Tak więc pilot, próbując utrafić w otwór, nie musiał uwzględniać ruchu obrotowego statku. A skoro mimo to czuli ciężar swych ciał, ganimedzi dysponowali najwyraźniej jakąś rewolucyjną techniką, pozwalającą wytworzyć sztuczną grawitację. Było to zastanawiające.

Odezwał się pilot i jego słowa potwierdzały wnioski Hunta.

– Zdaje się, że mam dzisiaj swój szczęśliwy dzień. Udało się – mówił niedbałym tonem południowca, rozładowując atmosferę. – Pewnie zwróciliście uwagę na ciśnienie, chłopcy. Tylko nie pytajcie mnie, jak oni to robią, w każdym razie nie jest to siła odśrodkowa. Zewnętrzny właz został zamknięty, instrumenty wskazują wzrost ciśnienia w śluzie i wygląda na to, że pompują powietrze albo coś, czego używają do oddychania. Jak tylko zrobimy testy, powiem wam, czy macie założyć hełmy. To potrwa parę minut. Wciąż jesteśmy w kontakcie z J5. Prawdopodobnie nasi przyjaciele odbierają od nas sygnały i retransmitują je. Ze statku donoszą o odwołaniu stanu alarmowego i przywróceniu łączności lokalnej. Wiadomość z J4: „Powiedzcie im, że machaliśmy, gdy nas mijali”.

Powietrze nadawało się do oddychania – miało prawie ziemski skład. Hunt nie był tym zaskoczony – należało się spodziewać, że atmosfera na statku będzie przypominała atmosferę minerwańską, gdzie przecież kwitło ziemskie życie. Na pozór ludzie w kabinie taksówki byli spokojni, lecz u niektórych dawała się zauważyć nerwowość; machinalne bawienie się elementami wyposażenia zdradzało zniecierpliwienie i niepokój.

Zaszczyt postawienia pierwszego w dziejach ludzkości kroku na pozaziemskim statku kosmicznym przypadł Storrelowi. Podniósł się ze swego miejsca z tyłu kabiny, poczekał aż otworzą się wewnętrzne drzwi śluzy taksówki, wszedł do komory i wyjrzał przez okienko zewnętrznych drzwi.

Po chwili reszta ekipy usłyszała jego głos:

– Otwierają się drzwi w ścianie z boku platformy, na której się znajdujemy. W drzwiach widzę facetów – wysokich facetów. Wychodzą... jeden, drugi, trzeci... pięciu. Zbliżają się...

Wszystkie głowy w kabinie odwróciły się w stronę ekranu ściennego, lecz kamera jak na złość pokazywała inną partię statku.

– Nie mogę ich złapać skanerem – odezwał się pilot, jakby czytając w ich myślach. – Są w martwym punkcie. Jakie rozkazy, panie dyrektorze?

Storrel wciąż wyglądał przez otwór i przez dłuższą chwilę nie odzywał się. Wreszcie odwrócił się do kolegów w kabinie i zaczerpnąwszy powietrza, powiedział z determinacją:

– No cóż, trzeba to zrobić. Żadnych odstępstw od ustalonego programu. Proszę otworzyć drzwi.

Zewnętrzne drzwi taksówki odsunęły się na bok i na platformę opadły krótkie metalowe schodki. Storrel stał przez chwilę we framudze, po czym zaczął wolno schodzić w dół. Oficer, który miał pójść jako drugi, czekał już przy drzwiach wewnętrznych; Hunt wstał i dołączył do ustawiających się szeregiem kolegów.

Pierwsze, co go uderzyło, gdy wysiadł z taksówki, to wrażenie przestronności statku. Dopiero teraz mógł ją ocenić w pełni; czuł się tak, jakby z nawy bocznej przeszedł do nawy głównej ogromnej katedry. Nie żeby tu trwoniono na darmo miejsce – bądź co bądź był to statek kosmiczny; wrażenie ogromu powodował fakt, że gdzieś za rufą statku, który wisiał teraz ponad ich głowami niby wielka metalowa rzeźba o geometrycznych kształtach, linie konstrukcyjne śluzy zbiegały się w odległej perspektywie, podkreślając wymiary cudu astronautyki, w którym się znajdowali.

Podczas gdy myśli na pół świadomie przemykały mu przez głowę, tuż obok, na jego oczach rozgrywało się historyczne wydarzenie: człowiek po raz pierwszy znalazł się twarzą w twarz z pozaziemskimi istotami inteligentnymi. Storrel i dwaj towarzyszący mu oficerowie wysunęli się o krok przed szereg pozostałych ziemian; po drugiej stronie, zaledwie o kilka metrów od Storrela, stał ten, który wydawał się dowódcą ganimedów, a za nim jego czterej towarzysze.

Ich jasnoszara skóra wydawała się bardziej szorstka niż u ludzi. Wszyscy mieli gęste sięgające do ramion włosy, ale ani śladu zarostu. Trzej z nich, w tym dowódca, byli kruczoczarni, jeden miał włosy siwe, prawie białe, ciemno-miedziane włosy ostatniego podkreślały delikatny czerwony odcień jego cery.

Mieli na sobie kolorowe, zbliżone krojem ubrania. Strój składał się z prostej, luźnej bluzy i zwyczajnych spodni ściągniętych w kostce; nic nie wskazywało na to, że jest to jakikolwiek

typ munduru. Wszyscy nosili trzewiki na grubych podszwach, także w różnych kolorach; niektórzy ściągnięci byli suto zdobionymi pasami. Każdy miał na głowie cienką złotą opaskę, podtrzymującą pośrodku czoła coś, co wyglądało jak owalnego kształtu klejnot, u przegubu zaś, przytwierdzone do metalowej bransoletki, płaskie srebrne pudełeczko, przypominające papierośnicę. Nie było oznak, które wyróżniałyby dowódcę.

Przez kilka chwil obie grupy przyglądały się sobie w milczeniu. Za plecami ziemian, przy wejściu do śluzy, stał drugi pilot taksówki i ręczną kamerą filmował dla potomności niezwykle scenę. Wreszcie dowódca ganimedów postąpił krok naprzód i skłonił głowę tak samo jak trzej osobnicy, których oglądali na ekranie Jowisza Pięc. Bojąc się spłoszyć gospodarzy nieprzemysłanym gestem, Storrel zaszalutował krótko zgodnie z regulaminem SKONZ. Ku radości ziemian cała piątka ganimedów wykonała ten sam gest, lecz tak opieszale i niezdarne, że uczącemu musztry sierżantowi włosy stanęłyby dęba.

Po chwili dowódca ganimedów wyrecytował wolno i wyraźnie, rozdzielając sylaby: – Jestem Mel-thur. Dzień do-bry.

Te proste słowa miały zyskać sobie nieśmiertelność, krążyły też później jako dowcip zarówno między ziemianami, jak i ganimedami. Ganimed mówił chrapliwym basem, w niczym nie przypominającym głosu tłumacza, który słyszeli wcześniej; ten ostatni miał nienaganną dykcję i poprawny akcent. To, że Melthur wziął na siebie trud powitania gości w ich własnym języku i nie korzystał z pomocy tłumacza, czynił jego gest tym sympatyczniejszym.

Następnie ganimed wygłosił w ojczystym języku krótkie przemówienie, które ziemianie przyjęli z wielkim szacunkiem. Przyszła kolej na Storrela. Przez całą drogę myślał o tym i obawiając się tej chwili, na próżno szukał w myślach stosownych formułek, zawartych w regulaminie SKONZ. Że też faceci, którzy planowali misję, nie mieli dość wyobraźni, by przewidzieć taką sytuację! Wyprostował się i wygłosił zwięzłą mowę, którą przygotował sobie w myśli, licząc na wyrozumiałość przyszłych historyków i to, że złożą jej niedoskonałość na karb niezwyklej okoliczności.

– Bracia podróżnicy i sąsiedzi, przekazuję wam powitanie od mieszkańców planety Ziemi. Przybywamy w imię pokoju, przepelnieni ideą przyjaźni ze wszystkimi istotami. Oby to spotkanie dało początek długotrwałemu współistnieniu naszych ras i oby wzrastało wzajemne zrozumienie i kwitła zgoda między nami. I oby odtąd ganimedzi i ziemianie kroczyli ramię w ramię w pierwszym szeregu postępu, który przywiódł ich z ojczystych światów aż tu, w należące do wszystkich ras obszary uniwersum.

Ganimedzi okazali swój szacunek, kwitując mowę Storrela chwilą milczenia w nieruchomej postawie. Gdy formalnościom stało się zadość, ich dowódca skinął na gości, by szli za nim, i skierował się ku drzwiom, którymi weszła przedtem cała piątka. Dwóch jego towarzyszy ruszyło wraz z nim na czele grupki ziemian, pozostali dwaj zamykali pochód.

Szli szerokim korytarzem o białych ścianach, w których znajdowały się liczne drzwi. Każdy zakamarek rozjaśniało jednolite, rozproszone światło, zdające się emanować z całej powierzchni sufitu i z płyt, z których zrobione były ściany. Elastyczna podłoga ugięła się lekko pod ich stopami, tłumiąc odgłos kroków. Powietrze było chłodne.

Wzdłuż korytarza zbici w grupki lub ustawieni w szeregu ganimedzi obserwowali niecodzienną procesję. Większość z nich dorównywała wzrostem piątce witających, ale byli tam też osobnicy niżsi i o delikatniejszej cerze; prawdopodobnie dzieci w różnym wieku. Różnorodność strojów uderzała tu jeszcze bardziej, lecz wszyscy mieli na głowach opaski z klejnotem oraz przytwierdzone do przegubów dłoni pudełeczko. Hunt doszedł do wniosku, że to coś więcej niż ozdoby. Ubrania ganimedów częstokroć były stare i znoszone, co podkreślało jeszcze atmosferę powszechnego znużenia i rezygnacji. Ściany i drzwi nosiły ślady niezliczonych zadrapań, jakby zostały porysowane jakimiś ocierającymi się o nie przedmiotami; podłogi były zdarte i wyslizgane, jakby od wieków przemierzano je tam i z powrotem; podtrzymywane przez towarzyszy zgarbione, zniedołężniałe postacie mówiły same za siebie.

Korytarz wkrótce się skończył i doszli do drugiego, nieco szerszego, biegnącego w poprzek i skręcającego łukowato po lewej i prawej stronie, była to zapewne część koncentrycznych arterii komunikacyjnych, opasujących wnętrze statku. W krzywiznie zewnętrznej ściany jądra pojazdu ujrzeli nagle otwarte duże drzwi. Ganimedzi wprowadzili gości do środka. Było to spore pomieszczenie o nagich kolistych ścianach, o średnicy jakichś siedmiu metrów. Drzwi za nimi zamknęły się cicho. Usłyszeli dobiegające nie wiadomo skąd stłumione buczenie niewidocznej maszynierii; na tarczy umieszczonej w ścianie tuż przy drzwiach wejściowych ukazywały się i znikwały niezrozumiałe symbole. Po chwili namysłu Hunt doszedł do wniosku, że musi to być winda, poruszająca się w szybie komunikacyjnym, prowadzącym przez środek pojazdu. Dziwne było tylko, że nie odczuli skutków przyspieszenia – kolejny przykład mistrzowskiego opanowania przez gospodarzy problemów grawitacji.

Wysiedli z windy i minawszy następny poprzeczny korytarz, szli przez pomieszczenie przypominające sterownię lub maszynownię; pod ścianami, po obu stronach biegnącej pośrodku arterii komunikacyjnej ciągnęły się konsole z instrumentami, tablice ze wskaźnikami przyrządów, monitory; przy kilku takich stanowiskach pracowali ganimedzi. Konstrukcja pomieszczenia była bardziej przejrzysta, ścian nie przeładowano tu przyrządami, jak to miało miejsce na statkach SKONZ. Cała armatura zdawała się raczej stanowić część wystroju ścian, podczas gdy na ziemskich statkach oprzyrządowanie dostawiano później. Dla ganimedów estetyka zdawała się równie ważna jak funkcjonalność. Ściany, w dyskretnej gamie żółci, oranżu i zieleni, stanowiły jeden organiczny, fantazyjnie powyginany wzór, sprawiając, że pokój nadawał się zarówno do rozmyślań, jak i do obsługi „Szapierona”. W

porównaniu z tym wnętrzem centrum dowodzenia na Jowiszu Pięć wydawało się toporne i zanadto użytkowe.

Drzwi na końcu pomieszczenia doprowadziły ich wreszcie do celu. Znaleźli się w dużym trapezoidalnym pomieszczeniu, które kształt swój zawdzięczało zapewne położeniu między powłoką zewnętrzną a użytkowym jądrem statku; dominowały w nim odcienie bieli i szarości. Ścianę szerszego końca trapezoidu wypełniał prawie całkowicie ogromny ekran, poniżej którego umieszczone były rzędem stanowiska dla załogi oraz urządzenia automatyczne; uderzała o wiele mniejsza ilość przełączników i przycisków w porównaniu z podobnym wyposażeniem na J5. Środek pomieszczenia zajmowało kilka blatów roboczych o kształcie biurka, na których umieszczone były liczne przyrządy o niewiadomym przeznaczeniu, węższa część pokoju stanowiła natomiast coś w rodzaju podium, na którym stały trzy wielkie, puste w tej chwili fotele, skierowane na wprost wielkiego ekranu. Musiało to być miejsce, gdzie kapitan i jego oficerowie nadzorowali operacje, wykonywane na statku.

W pobliżu podium stało czterech ganimedów. Ziemianie zbliżyli się i znów, jak przedtem w służbie, nastąpiła rytualna wymiana powitalnych przemówień. Gdy tylko dopełniono formalności, Garuth – bo takim nazwiskiem przedstawił się ganimed witający ekipę ziemian – wskazał gościom szereg rekwizytów, umieszczonych na jednym ze stolików. Dla każdego z ziemian przygotowano przepaskę na głowę i bransoletkę z pudełeczkiem, jakie nosili wszyscy ganimedzi, oraz kilka mniejszych elementów wyposażenia. Jeden z oficerów SKONZ wyciągnął nieśmiało rękę i zachęcony gestami gospodarzy, którzy wyraźnie dodawali mu otuchy, wziął opaskę i począł ją oglądać. Reszta ekipy poszła w jego ślady.

Biorąc do ręki jedną z opasek, Hunt spostrzegł ze zdziwieniem, że była lekka jak piórko. To, co z daleka wydawało się drogim kamieniem, zrobionym z jakiegoś srebrzystego metalu, było błyszczącym, płaskim krążkiem wielkości drobnej monety, pośrodku którego uwypuklała się mała kopułka z czegoś, co przypominało czarne szkło. Opaska była zbyt mała jak na głowę ganimeda, a tarczka nosiła ślady niedbale zalepionego pęknięcia – znak, że urządzenie pośpiesznie przystosowano do ludzkich wymiarów.

W polu widzenia Hunta ukazała się wielka dłoń o sześciu palcach z szerokimi paznokciami i elastycznymi poduszczkami na knykciach i ostrożnie wyjęła mu z ręki opaskę. Podniósłszy głowę spojrzął w oczy stojącego obok olbrzyma. Były granatowe, o ogromnych okrągłych źrenicach i Hunt mógłby przysiąc, że obca istota mruży je w dobrotliwym uśmiechu. Nim zdążył zebrać myśli, opaska znalazła się na jego głowie. Następnie ganimed wziął jedno z niepozornych urządzeń – coś w rodzaju gumowego krążka z miękkim zaciskiem – i jednym gestem przypiął je do płatka prawego ucha Hunta; przyrząd przywarł lekko do rozszerzającej się w wypukłość czaszki za uchem, nie powodując ucisku. Podobne urządzenie umieścił na kołnierzu jego koszuli, wystającej spod jarzma hełmu skafandra; tarczka przyrządziku dotykała gardła. Hunt zobaczył, że ganimedzi wmieszali się swobodnie w grupkę ziemian, obsługując w podobny sposób jego kolegów. Ale oto zajmujący się nim

osobnik wziął ze stołu przyrząd z bransoletką i zademonstrowawszy Huntowi kilkakrotnie sposób funkcjonowania pomysłowego zatrząsku, umieścił mu go na przegubie. Prawie całą powierzchnię pudełeczka wypełniał, jak się zdawało, miniaturowy monitor, którego ekran był w tej chwili pusty. Olbrzym, wykonując głową szereg ruchów wzmocnianych zmianami wyrazu twarzy, których znaczenie nie było dla Hunta jasne, wskazał palcem jeden z szeregu umieszczonych poniżej ekranu maleńkich przycisków. Następnie podszedł do jednego z ziemian, borykającego się z przyrządem, którego w żaden sposób nie mógł prawidłowo umieścić przy uchu.

Hunt rozejrzał się wokół. Ci z ganimedów, którzy nie mieli nic do roboty, przyglądali się przygotowaniom, jakby czekali na coś, co miało za chwilę nastąpić. Na wielkim ekranie widać było, zawieszzonego w próżni o osiem kilometrów stąd, Jowisza Pięć. Znajomy widok dodał mu otuchy i rozproszył upiorny nastrój, który paraliżował go stopniowo. Rzucił okiem na urządzenie na swym przegubie i wzruszając ramionami nacisnął przycisk wskazany przez ganimeda.

– Jestem ZORAK. Dzień dobry – usłyszał.

Obejrzał się, szukając swego interlokutora, ale wokoło nikt nie zwracał na niego uwagi. Na jego twarzy odmalował się wyraz bezgranicznego zdziwienia.

– Ty jesteś kto? – spytał ten sam głos.

Hunt znów obejrzał się podejrzliwie, nie mogąc wyjść ze zdumienia, lecz zagadka się nie wyjaśniła. Zobaczył, że kilku ziemian wykonuje te same dziwne działania, paru zaczęło mówić i najwyraźniej zwracali się sami do siebie. Teraz dopiero uświadomił sobie, że głos dochodził z przyrządziku umieszczonego za jego uchem. Był to głos ganimedzkiego tłumacza, którego słyszeli już wcześniej. A więc przyrząd dotykający krtani to zapewne mikrofon, przemknęło mu przez myśl. Poczul się skrępowany, gdy uświadomił sobie, że wygląda tak samo śmiesznie jak reszta członków ekipy, ale przemógł się i odparł:

– Jestem Hunt.

– Ziemianie mówią do mnie. Ja mówię do ganimedów. Tłumaczę.

Hunt był kompletnie zaskoczony. Nie spodziewał się, że odegra aktywną rolę w tym spotkaniu; myślał, że będzie obserwował z boku bieg wydarzeń, a tymczasem został zaproszony do wzięcia bezpośredniego udziału w dialogu dwóch ras. Zakłopotany myślał przez chwilę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Gdzie jesteś? – spytał wreszcie, nie chcąc sprawiać wrażenia człowieka źle wychowanego.

– Różne partie w różnych miejscach „Szapierona”. Nie jestem ganimedem. Jestem maszyną. Zdaje się, że ziemianie mówią na to komputer... – głos przerwał na chwilę, po czym dodał: – Tak. Nie myliłem się. Jestem komputerem.

– W jaki sposób sprawdziłeś to tak szybko? – zdziwił się Hunt.

– Przepraszam. Jeszcze nie rozumiem pytania. Czy możesz powiedzieć to bardziej prosto?

Hunt namyślał się przez chwilę.

– Za pierwszym razem nie rozumiałeś słowa „komputer” – zaczął wreszcie. – Za drugim razem już je rozumiałeś. Skąd wiedziałeś?

– Zapytałem ziemianina w owoidzie na pokładzie Jowisza Pięć, z którym właśnie rozmawiam.

Hunt nie posiadał się ze zdumienia. Ten ZORAK to jakiś superkomputer! Potrafi prowadzić równocześnie kilka rozmów i czerpać z nich jednocześnie informacje. Nic dziwnego, że robił tak szalone postępy w opanowaniu języka angielskiego i zapamiętywał każdy szczegół informacji, których nie trzeba mu było powtarzać. Hunt miał okazję obserwować na Ziemi pracę najnowocześniejszych komputerów-tłumaczy. W porównaniu z nimi ZORAK był geniuszem.

W ciągu następnych kilku minut ganimedzi przyglądali się w milczeniu, jak ziemianie zawierają znajomość z ZORAKIEM, ucząc się porozumiewać zarówno z nim, jak i za jego pośrednictwem. Opaska na głowie podtrzymywała miniaturową wideokamerę, która przesyłała do maszyny informację o tym, co widzi osoba, na której czole ona się znajduje. Na ekranie monitora naręcznego można było obserwować widok z dowolnej kamery, jak również odbierać dowolną informację, jaką dysponował pokładowy kompleks komputerowy. ZORAK – była to zbiorowa nazwa całego kompleksu komputerowego – stanowił nie tylko uniwersalny mechanizm, pozwalający wszystkim osobnikom korzystać z wszelkich udogodnień, jakie istniały na statku, był także niezwykle subtelnym środkiem porozumiewania się ganimedów między sobą. Czynności te ZORAK spełniał jak gdyby ubocznie; jego głównym zadaniem było bowiem kontrolowanie dosłownie wszystkiego, co działo się na „Szapieronie”. Dlatego właśnie tarcze ze wskaźnikami i konsole z urządzeniami były tak ubogie i sprawiały wrażenie niezwyklej prostoty; po prostu komendy wydawano ustnie ZORAKOWI.

Gdy ZORAK zawarł znajomość z członkami ekipy ziemian, podjęto ważne punkty porządku dnia, a Storrel przeprowadził cenną rozmowę z kierownikiem misji ganimedzkiej – Garuthem. Okazało się, że „Szapieron” istotnie przybył z innego układu gwiazdowego, dokąd dawno temu udał się w ważnej i skomplikowanej misji badawczej. Katastrofa, jaka się wydarzyła, zmusiła ekspedycję, nie przygotowaną do dalekiej podróży, do natychmiastowej ewakuacji; sytuację pogarszały problemy techniczne, których natury ziemianie nie mogli zrozumieć. Podróż była długa i najeżona trudnościami, w wyniku czego ganimedzi znaleźli się obecnie w kłopotliwej sytuacji, którą już przedtem opisano ziemianom. Kończąc swoje wyjaśnienia, Garuth podkreślił raz jeszcze fizyczne i psychiczne zmęczenie swoich ludzi i konieczność wylądowania gdziekolwiek, gdzie mogliby zastanowić się nad swoją sytuacją i podjąć dalsze kroki.

Przez cały czas trwania rozmów siedząca w taksówce załoga otrzymywała drogą radiową bieżące sprawozdanie, przesyłane następnie za pośrednictwem łącz ganimedzkich do Jowisza Pięć, tak iż Shannon i pozostali członkowie załogi zgromadzeni na mostku dowodzenia mogli bez przeszkód śledzić rozwój wydarzeń.

Nim Garuth skończył mówić, Shannon skontaktował się z Bazą Główną, nakazując kierownikowi rozpocząć przygotowania do przyjęcia partii nieprzewidzianych i bardzo zmęczonych gości.

Rozdział siódmy

– Jeden z ziemian powiedział mi, żebym spadał i wyłączył się – mówił ZORAK. – Mógłbym to zrobić tylko w jeden sposób: zabierając „Szapierona” w przestrzeń. Ale chyba nie o to mu chodziło?

Hunt uśmiechnął się do siebie, gdy gapiąc się w sufit, kładł głowę na poduszkę. Kilka godzin temu wrócił na Jowisza Pięc i teraz wypoczywał w swojej kabinie. Przez cały dzień uczył się posługiwać ganimedzkim sprzętem telekomunikacyjnym.

– To takie powiedzonko ziemian – wyjaśnił. – Jego sens jest inny niż dosłowne znaczenie poszczególnych słów. Czasem mówi się tak do kogoś, jeśli nie chce się z nim rozmawiać. Prawdopodobnie ziemianin był zmęczony i chciało mu się spać. Ale nie używaj tego powiedzonka w rozmowie z ziemianami, gdyż to oznacza irytację i jest nieco obraźliwe.

– Rozumiem. Dobrze. Czy jest jakieś słowo lub wyrażenie na oznaczenie powiedzenia, które ma inny sens niż jego dosłowne znaczenie?

Hunt westchnął głęboko, pocierając nasadę nosa. W tej chwili był pełen podziwu dla nauczycieli, którzy potrafią okazać uczniom anielską cierpliwość.

– Zdaje się, że to się nazywa idiom – odparł.

– Ale mowa składa się ze słów, nie z idiomów. Czy może się myłę?

– Nie mylisz się. To tylko takie wyrażenie.

– A więc idiom to jest idiom, dobrze mówię?

– Tak, ZORAK. Ale ja też jestem zmęczony. Czy mógłbyś odłożyć na później kwestie lingwistyczne? Mam do ciebie jeszcze parę pytań.

– W przeciwnym razie każesz mi spadać i wyłączyć się?

– Właśnie.

– W porządku. Pytaj.

Hunt oparł się plecami o oparcie koi i założywszy ręce na głowę zastanawiał się, od czego zacząć.

– Ciekawi mnie ta gwiazda, z której przyleciał wasz statek. Mówiłeś, że miała własny system planetarny.

– Tak.

– Wasz statek przyleciał z jednej z tych planet?

– Tak.

– Czy dawno, dawno temu wszyscy ganimedzi opuścili Minerwę i mieszkali na tamtej planecie?

– Nie. Poleciały tylko trzy duże statki i statki filialne. Wraz z nimi poleciały trzy bardzo duże maszyny, które miały własny napęd. Ganimedzi polecili na tę gwiazdę w celu wykonania eksperymentu naukowego. Nie polecili tam, by tam mieszkać. Wszyscy wrócili na „Szapieronie”, lecz wielu zmarło.

– A skąd wystartowaliście, lecąc na tę gwiazdę?

– Z Minerwy.

– A gdzie była reszta ganimedów – ci, którzy nie polecili z wami na gwiazdę?

– Zostali oczywiście na Minerwie. Zadanie, które miało zostać wykonane, wymagało obecności tylko pewnej grupy uczonych.

Huntowi zaświtało w głowie, że przypuszczenie, jakie żywił od pewnego czasu, było prawdą. Postanowił się upewnić. Łamiącym się ze wzruszenia głosem spytał:

– Kiedy opuściliście gwiazdę?

– W przybliżeniu dwadzieścia pięć milionów lat ziemskich temu – odparł ZORAK.

Przez długi czas Hunt nic nie mówił. Leżał bez ruchu, próbując oswoić się z tą potworną informacją. Oto kilka godzin temu stał twarzą w twarz z istotami, które żyły na długo przedtem, zanim na Ziemi rozwinął się gatunek homo sapiens, i żyli do dziś, choć przez ten czas przewalały się eony. Ta myśl po prostu ścinała z nóg.

Ani przez chwilę nie wyobrażał sobie, że ganimedzi są tak długowieczni, przypuszczał więc, że musiało to mieć jakiś związek z dylatacją czasu, wynikającą z teorii względności. Ale stopień owego zjawiska wskazywał na to, że musieli rozwinąć fenomenalną prędkość i poruszać się z tą prędkością niesamowicie długo. Co mogło skłonić ganimedów do odbycia tak dalekiej podróży? Czy to nie dziwne, że zdecydowali się na taki krok, mając świadomość, iż oznacza to bezpowrotną utratę ich świata, wyrzeczenie się na zawsze stylu życia i wszystkiego, do czego byli przyzwyczajeni? Jaki był sens takiej ekspedycji, skoro jej wyniki – właśnie z powodu tej różnicy w czasie – nie mogły mieć najmniejszego wpływu na rozwój ich rodzimej cywilizacji? Ale zaraz., zdaje się, że Garuth napomknął, iż wypadki potoczyły się nieprzewidzianym torem.

Uporządkowawszy jako tako chaotyczne skojarzenia, Hunt sformułował następujące pytanie:

– Jak daleko od Słońca znajdowała się ta gwiazda?

– W odległości dziewięć koma trzy ziemskich lat świetlnych – brzmiała odpowiedź ZORAKA.

Hunt przestał cokolwiek rozumieć. Biorąc pod uwagę prędkość, która powodowała tak wielką dylatację czasu, podróż ta musiała być dziełem chwili – w astronomicznym sensie.

– Czy ganimedzi wiedzieli, że wrócą po dwudziestu pięciu milionach lat? – spytał Hunt, chcąc ostatecznie wyjaśnić kwestię.

– Gdy opuszczali gwiazdę – tak. Ale gdy wylecieli z Minerwy, jeszcze o tym nie wiedzieli. Nie było powodu przypuszczać, że droga powrotna zabierze więcej czasu, niż podróż do celu.

– Ile czasu lecieli na gwiazdę?

– W jednostkach słonecznych – dwanaście i jedną dziesiątą roku.

– A z powrotem dwadzieścia pięć milionów lat?

– Tak. Nie mogli uniknąć bardzo wielkich prędkości. Zakładam, że znasz skutki takiej podróży. Wiele razy okrążyli Słońce w olbrzymiej odległości od niego.

– Dlaczego nie zwolnili? – pytanie narzucało się samo.

– Nie mogli.

– Dlaczego?

ZORAK zawahał się na ułamek sekundy.

– Nie dało się uruchomić maszyn elektrycznych. Nie można było zatrzymać wirujących punktów-niszczących-wszystko. Nie dało się uruchomić zworników czasu-i-przestrzeni.

– Nic nie rozumiem – zmarszczył czoło Hunt.

– Nie mogę się wyrażać jaśniej, nie zadając pytań lingwistycznych – uprzedził go ZORAK.

– Dobrze, zostawmy to na razie – mruknął Hunt.

Przypomniało mu się, jakie poruszenie w świecie naukowym wywołały spekulacje na temat typu napędu znalezionej na Ganimedesie statku, pochodzącego mniej więcej z tego samego okresu co „Szapieron”. Pewności nie było, ale wielu naukowców i techników z SKONZ przypuszczało, że statek nie był wprawiany w ruch przy pomocy silników jądrowych, lecz dzięki sztucznie wywołanej strefie kontrolowanego łańcucha zaburzeń czasoprzestrzeni, które go „wsysały”. Hunt doszedł do wniosku, że taka zasada poruszania się mogła dawać przyspieszenia rzędu tych, jakie sugerowały wyjaśnienia ZORAKA. Inni uczeni na pewno zadawali ZORAKOWI podobne pytania. Porozmawia z nimi jutro, postanowił, a na dziś da sobie z tym spokój.

– Pamiętasz jeszcze tamte czasy? – spytał jakby od niechcenia. – To znaczy, dwadzieścia pięć milionów lat temu, gdy opuszczaliście Minerwę?

– Dwadzieścia pięć milionów lat według czasu ziemskiego – poprawił go ZORAK. – Ale niecałe dwadzieścia lat według czasu na pokładzie Szapierona. Tak, pamiętam tamte czasy.

– Jakiego rodzaju to był świat?

– Niezupełnie rozumiem. Jaki rodzaj rodzaju masz na myśli?

– No, na przykład, jak wyglądało to miejsce na Minerwie, z którego wystartowaliście? Czy krajobraz był płaski? Czy była tam woda? Domy wzniesione ręką ganimedów? Czy możesz mi opisać widok tego miejsca?

– Mogę pokazać obraz – zaproponował ZORAK. – Popatrz na ekran.

Zaintrygowany Hunt zdjął przyrządzik na rękę z szafki nocnej obok koi i zbliżywszy go do oczu, zagwizdał ze zdumienia na widok tego, co zobaczył na ekraniku. Był to widok z góry na „Szapierona” lub na łudząco do niego podobny pojazd – to, co zobaczył, niepodobne było do tego odrapanego, podziurawionego wraku, jaki oglądał kilka godzin temu z pokładu taksówki. Statek na obrazie był smukłą, błyszczącą, majestatyczną wieżą o nieskazitelnej lustrzanie srebrzystej powierzchni, sterczącą dumnie w niebo pośrodku szerokiej otwartej przestrzeni wypełnionej dziwnymi konstrukcjami. Były tam budynki typowych kształtów, cylindry, konstrukcje płytowe, kopuły, maszty i pofałdowane powierzchnie, i wszystko to stanowiło jeden wielki kompleks sztucznego krajobrazu. Po obu stronach statku stały dwa inne, równie wspaniałe, lecz nieco mniejsze pojazdy.

W powietrzu nad aerodromem – bo nie mogło to być nic innego – roilo się od wszelkiego rodzaju i wielkości obiektów latających. Większość z nich poruszała się po dokładnie wyznaczonych trasach niczym zdyscyplinowany pochód kosmicznych mrówek.

Z tyłu widać było miasto. Sądząc z proporcji, musiało wznosić się wiele kilometrów ponad linią horyzontu. Niepodobne do żadnego, które Hunt kiedykolwiek widział, wzniesione wielopoziomowo miasto tworzyło fantastyczną strukturę, składającą się z drapaczy chmur, tarasów, rozległych ramp i wyskakujących wesoło w niebo i urągających prawom ciężenia napowietrznych mostów. Cała ta konstrukcja sprawiała wrażenie rzeźby, stworzonej przez genialnego kosmicznego artystę z jednej bryły błyszczącego marmuru; niektóre jej partie zdawały się jednak wisieć w powietrzu, niczym odosobnione wyspy z kości słoniowej. Dokonać takiego wyczynu mogła tylko myśl przewyższająca całą wiedzę człowieka; jeszcze jedna zagadka, która wzbudzi zdumienie wśród uczonych na Ziemi.

– Tak wyglądał „Szapieron” przed opuszczeniem Minerwy – oznajmił ZORAK. – Dwa statki widoczne obok poleciały razem z nim. To miejsce za nimi nazywało się Gromos. Nie wiem, jak nazywa się takie miejsce, zbudowane na mieszkanie dla wielu ganimedów.

– Miasto – odpowiedział Hunt, czując, że słowo to nie oddaje widoku, który miał przed sobą. – Czy ganimedzi byli dumni ze swego miasta?

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Czy lubili swoje miasto? Czy bardzo chcieli być znów w domu?

– Bardzo. Ganimedzi byli dumni ze wszystkiego, co znajdowało się na Minerwie – odpowiedział ZORAK, dysponujący najwyraźniej wybitną zdolnością kojarzenia. – Gdy opuszczali gwiazdę, wiedzieli już, że ich podróż do domu będzie trwała długo. Nie liczyli na to, że wrócą do rzeczywistości takiej, jaką pozostawili. Ale nie spodziewali się, że ich dom nie będzie istniał. Są bardzo smutni – podsumował ZORAK.

Hunt widział już dość, aby samemu to zrozumieć. Uprzedzając jego pytanie, ZORAK spytał: – Czy mogę zadawać pytania nie dotyczące języka angielskiego?

– Możesz – odparł Hunt. – Co chciałbyś wiedzieć?

– Ganimedzi są bardzo nieszczęśliwi. Sądzą, że to ziemianie zniszczyli Minerwę. Czy to prawda? A jeśli tak, dlaczego to zrobili?

– Nie! – wykrzyknął Hunt. – Nie. To nieprawda. Minerwa uległa zniszczeniu pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Na Ziemi nie było jeszcze wtedy ludzi. Nasz gatunek powstał później.

– W takim razie, czy to selenicy zniszczyli Minerwę? – spytał ZORAK; najwyraźniej poruszał już ten temat w rozmowie z innymi członkami załogi Jowisza Pięc.

– Tak. Co o nich wiesz?

– Dwadzieścia pięć milionów lat temu ganimedzi przywieźli na Minerwę przedstawicieli żyjących wówczas na Ziemi gatunków. Niedługo potem ganimedzi i wszystkie formy życia lądowego Minerwy wyginęły. Gatunki ziemskie nie wyginęły. Od nich pochodzą selenicy, którzy byli podobni do ziemian. Powiedzieli mi o tym uczeni z Jowisza Pięc. Nic więcej nie wiem.

Wypowiedź ta nasunęła Huntowi myśl, na którą nie wpadł wcześniej. Otóż jeszcze kilka godzin temu ZORAK, jak się wydaje, nie miał pojęcia o tym, że ganimedzi sprowadzili na Minerwę duże ilości zwierząt ziemskich.

– Przed waszym odlotem na gwiazdę ganimedzi nie sprowadzali na Minerwę żadnych form życia ziemskiego? – spytał, chcąc się upewnić co do słuszności swego przypuszczenia.

– Nie.

– Czy mieli takie zamiary?

– Jeśli mieli, nie mówili mi o tym.

– Czy znasz jakiś powód, dla którego chcieliby to zrobić?

– Nie.

– Wobec tego ten problem pojawił się później?

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Ten powód musiał się pojawić po waszym odlocie z Minerwy.

– Zdaje się, że w tym wypadku mówi się: „tak przypuszczam”. Nie znam innego wyrażenia.

Hunt, coraz bardziej podekscytowany, uświadomił sobie, że zniknięcie cywilizacji ganimedzkiej stanowi zagadkę zarówno dla ziemian, jak i dla ich gości z kosmosu. Jeśli połączą swe wysiłki, myślał, z pewnością uda im się wyświecić tę tajemnicę. Doszedł do wniosku, że powinien podzielić się z ZORAKIEM całą wiedzą o historii selenitów – historii stanowiącej najbardziej sensacyjne odkrycie ostatnich dziesięcioleci, a może nawet wszystkich czasów. Dzieje selenitów zmuszały do rewizji całej wiedzy o Układzie Słonecznym i narzucały kompletnie nową wizję pochodzenia człowieka.

– Tak, masz rację – zaczął Hunt po chwili milczenia. – Selenicy powstali – my używamy określenia „ewoluowali” – z ziemskich form życia, jakie pozostały na Minerwie, gdy ganimedzi i wszystkie żyjące na niej gatunki wymarły. Potrzebowali na to dwudziestu pięciu milionów lat. Jakies pięćdziesiąt tysięcy lat temu osiągnęli wysoki stopień rozwoju; budowali statki kosmiczne, maszyny i miasta. Czy ktoś ci powiedział, co się potem stało?

– Nie. Ale miałem zamiar o to spytać.

– Czy to prawda, że Minerwa miała księżyc?

– To znaczy satelitę, krążącego wokół planety?

– Prawidłowo.

– Tak.

Hunt z zadowoleniem skinął głową. A więc rzeczy miały się dokładnie tak, jak to wydedukowali naukowcy z Ziemi na podstawie selenickich znalezisk.

– A powiedz mi – upewniał się – czy Ziemia miała księżyc... dwadzieścia pięć milionów lat temu?

– Nie. Ziemia nie miała wtedy satelity.

Hunt mógłby przysiąc – choć było to może złudzenie – że ZORAK uczy się przekazywania stanów emocjonalnych za pomocą odpowiedniej modulacji głosu. W jego odpowiedzi wyczuł ton zdziwienia.

– Ale dzisiaj Ziemia ma księżyc – powiedział. – I ma go od około pięćdziesięciu tysięcy lat.

– Od czasu, gdy selenicy osiągnęli wysoki stopień rozwoju.

– Właśnie.

– Rozumiem. To implikuje związek. Proszę o wyjaśnienie.

– Gdy selenicy zniszczyli Minerwę, planeta eksplodowała... rozpadła się na kawałki. Największy z tych kawałków orbituje dziś wokół Słońca jako najbardziej od niego oddalona planeta Pluton. Pozostałe kawałki, czy też większość z nich, krążą wciąż jeszcze wokół Słońca między orbitami Marsa i Jowisza. Przypuszczam, że wiesz o tym, gdyż ganimedzi byli zdziwieni faktem, że ich układ planetarny się zmienił.

– Tak, wiem o istnieniu Plutona i pasa planetoid – przyznał ZORAK. – Wiedziałem, że Układ Słoneczny się zmienił, ale nie wiedziałem, jakiemu procesowi uległ.

– Księżyc Minerwy, na którym żyli jeszcze selenicy, zaczął spadać na Słońce, ale został przechwycony przez Ziemię i teraz jest jej księżycem.

– Selenicy, którzy żyli na tym księżycu, musieli dostać się na Ziemię – przerwał Huntowi ZORAK. – Z czasem ich liczba wzrosła. Ziemianie pochodzą od selenitów. Dlatego wyglądają tak samo. Nie znajduję innego wytłumaczenia. Czy mam rację?

– Tak, masz rację, ZORAK – odparł Hunt, kręcąc głową z uznaniem i nie mogąc wyjść ze zdumienia, że z tak skąpych danych maszyna bezbłędnie wyprowadziła te same wnioski, do jakich naukowcy ziemscy doszli po dwóch latach żmudnych dociekań, poprzedzonych

kilkoma dekadami zacieklej dyskusji. – W każdym razie wierzymy, że to prawda. Nie możemy tego dowieść ostatecznie.

– Nie rozumiem. Ostatecznie?

– Do końca... na pewno.

– Aha. Rozumię, że selenicy musieli dotrzeć na Ziemię statkami kosmicznymi. Musieli zabrać ze sobą maszyny i inne rzeczy. Myślę, że ziemianie powinni szukać tych rzeczy na powierzchni planety. To by dowiodło prawdziwości waszych przypuszczeń. Wnioskuje stąd, że nie próbowaliście tego zrobić, lub na odwrót – próbowaliście, lecz nic nie znaleźliście.

Hunt był zaszokowany. Gdyby dwa lata temu mieli ZORAKA, rozwiązaliby całą zagadkę w ciągu tygodnia.

– Czy rozmawiałeś z ziemianinem o nazwisku Danchecker? – spytał.

– Nie. Nie natknąłem się na to nazwisko. Dlaczego pytasz?

– To uczony i rozumuje tak samo jak ty. Do tej pory nie trafiliśmy na żaden ślad przedmiotów, które selenicy mogli przywieźć ze sobą. Danchecker twierdzi, że kiedyś je znajdziemy.

– Czy ziemianie nie wiedzieli, skąd pochodzą? – spytał ZORAK.

– Dowiedzieliśmy się dopiero niedawno. Przedtem sądzono, że ziemianie rozwijali się wyłącznie na Ziemi.

– Te formy życia, z których rozwinęli się selenicy na Minerwie, zostały przez ganimedów przywiezione z Ziemi. Ale te same gatunki rozwijały się także na Ziemi – rozważał ZORAK.

– Selenicy, którzy nie zginęli i dostali się na Ziemię, byli rasą wysoko rozwiniętą. Współcześni ziemianie do niedawna nic o nich nie wiedzieli. Dlatego zapomnieli, skąd pochodzą. Wnioskuje, że niewielu selenitów pozostało. Cofnęli się w rozwoju i zatarli swoją wiedzę. Po upływie pięćdziesięciu tysięcy lat znów byli rasą wysoko rozwiniętą, ale nie pamiętali już o selenitach. W miarę jak zdobywali wiedzę, odkrywali wszędzie ślady życia, które kwitło na Ziemi wiele lat temu. Dostrzegli podobieństwo tych form życia do własnej rasy. Wyciągnęli stąd wniosek, że ich ewolucja przebiegała na Ziemi. Ostatnio ziemianie odkryli selenitów i ganimedów. Droga wnioskowania odkryli prawdę o przeszłości. Inaczej nie mogliby wyjaśnić podobieństwa między sobą a selenitami.

ZORAK właściwie ujął całą sprawę. Wprawdzie maszyna miała do dyspozycji kilka kluczowych informacji, których odkrycie zabrało Huntowi i jego kolegom wiele czasu, ale i tak popisała się niezwykle umiejętnością logicznego rozumowania. Hunt nie mógł oderwać myśli od tego fenomenalnego zjawiska, gdy ZORAK powiedział nagle:

– Nadal nie rozumiem, dlaczego selenicy zniszczyli Minerwę.

– Nie mieli zamiaru tego robić – wyjaśnił Hunt. – Na Minerwie wybuchła wojna. Przypuszczamy, że skorupa planety była cienka i mało stabilna. Selenicy używali broni o wielkiej mocy. W konsekwencji planeta eksplodowała.

– Przepraszam, co to znaczy: wojna, skorupa, broń? Nie nadążam.

– O Boże... – jęknął Hunt, po czym zapaliwszy papierosa, mówił dalej: – Zewnętrzna strona planety jest zimna i twarda – w pobliżu powierzchni. To jest właśnie skorupa.

– Tak jak skóra?

– Tak, ale jest krucha... łatwo rozlatuje się na kawałki.

– To jasne.

– Kiedy wielu ludzi walczy ze sobą, to jest wojna.

– Walczy?

– Do licha... akty przemocy między grupami ludzi. Gdy się organizują w grupy po to, by zabijać.

– Zabijać co?

– Inne grupy ludzi.

ZORAK był wyraźnie zdezorientowany. Przez chwilę miało się wrażenie, że maszyna nie wierzy własnemu mikrofonowi.

– Selenicy organizowali się w grupy, by zabijać innych selenitów? – mówił ZORAK powoli, jakby się bał, że znajdzie nieporozumienie. – Robili to umyślnie?

Rozmowa schodziła na śliskie tory i Hunt nie był na to przygotowany. Czuł się nieswojo, jak dziecko wypytywane o wykroczenie, o którym chciałoby jak najszybciej zapomnieć.

– Tak – zdołał tylko wykrztusić.

– Dlaczego chcieli robić takie rzeczy? – spytał ZORAK, modulując głos tak, by wyrazić stanowcze niedowierzanie.

– Walczyli, ponieważ... ponieważ...

Hunt szukał w myślach jakiegoś wytłumaczenia. Komputer najwyraźniej nie miał zielonego pojęcia o tych sprawach. Ale czy da się streścić w paru zdaniach złożoną historię tysiącleci nieokreślonych namiętności?

– Żeby się bronić... – wyjąkał wreszcie – bronić swej grupy przed innymi grupami...

– Przed innymi grupami, zorganizowanymi po to, by ich zabijać?

– To jest dość skomplikowane... ale w sumie można tak powiedzieć.

– Ale nadal pozostaje pytanie, dlaczego te inne grupy chciały to robić.

– Jeśli jedna grupa spowodowała, że inna grupa była zła o coś... lub jeśli dwie grupy chciały tej samej rzeczy, lub jedna grupa chciała mieć teren innej grupy, wtedy... wtedy walczyli, by rozstrzygnąć sporną kwestię.

Zdawał sobie sprawę, że to niewiele wyjaśnia, ale nie potrafił wymyślić niczego lepszego. Nastąpiła chwila ciszy. Wyglądało na to, że nawet ZORAK ma trudności z uporaniem się z tym problemem.

– Czy wszyscy selenicy mieli defekt mózgu? – spytała wreszcie maszyna, wydedukowawszy najbardziej prawdopodobną dla niej wspólną cechę gatunku.

– No cóż, cechowała ich skłonność do przemocy, tak przynajmniej sądzimy – odparł Hunt. – Ale pewnego dnia stanęło przed nimi widmo całkowitej zagłady – perspektywa, że

wszyscy wyginą. W ciągu tych pięćdziesięciu tysięcy lat Minerwa stopniowo stygła. Pragnęli więc wyemigrować na inną, cieplejszą planetę. Prawdopodobnie chcieli dostać się na Ziemię. Ale selenitów było wielu, a środków i czasu mało. Ta sytuacja spowodowała lęk i złość... i zaczęli ze sobą walczyć.

– Zabijali się, by się uchronić przed wymarciem? Zniszczyli Minerwę, by zapobiec jej stygnięciu?

– Nie mieli zamiaru tego robić – powtórzył Hunt.

– A co mieli zamiar robić?

– Myślę, że chodziło im o to, żeby grupa, która pozostanie po wojnie, poleciała na Ziemię.

– A dlaczego nie mogły polecieć wszystkie grupy? Przecież wojna wymagała środków, które można było zużyć na inne cele. Selenici mogli posłużyć się swoją wiedzą. Chcieli żyć, ale robili wszystko, żeby to uniemożliwić. Mieli defekt mózgu – zakonkludował stanowczo ZORAK.

– Oni tego wszystkiego nie zaplanowali w ten sposób. Działali pod wpływem emocji. Kiedy ludzie przeżywają silne emocje, nie zawsze postępują logicznie.

– Ludzie? Ziemianie?... Ziemianie też odczuwają silne emocje, pod wpływem których walczą tak jak selenici?

– Czasami.

– I ziemianie też prowadzą wojny?

– W przeszłości na Ziemi było wiele wojen, ale od bardzo dawna nie mają już miejsca.

– Czy ziemianie chcą zabić ganimedów?

– Nie! Nie... oczywiście że nie! Nie mają powodu... – zaprzeczył gwałtownie Hunt.

– Nigdy nie może być powodu – stwierdził ZORAK. – Selenici nie mieli powodu. Rzeczy, o których mówiłeś, nie mogą być powodem, gdyż wywołują skutki odwrotne do zamierzonych. To nie jest rozsądne. Ziemianie musieli odziedziczyć po selenitach defekt mózgu. Ciężka choroba.

Danchecker wysnuł teorię, że niezwykła agresywność i determinacja człowieka w porównaniu z innymi gatunkami ziemskimi wynikała z cech jakiejś mutacji człękokształtnych, pozostałych na Minerwie po wyginięciu ganimedów. Wyjaśniało to fakt tak szybkiego pojawienia się tam wysokiej cywilizacji selenickiej, zdolnej do odbywania lotów kosmicznych w czasie, gdy na Ziemi panowała jeszcze epoka kamienna. Jak słusznie zauważył ZORAK, ta fenomenalna cecha selenitów została odziedziczona przez ich ziemskich potomków (co prawda w nieco osłabionej w procesie ewolucji postaci), stając się z kolei najważniejszym czynnikiem rozwoju gatunku homo sapiens. Czyżby ta cecha, jak czasem fantazjował Danchecker, miała się okazać rodzajem niepowtarzalnej anormalności?

– Czy na Minerwie nigdy nie było wojen? – spytał Hunt. – Czy nawet w początkach historii ganimedów nie było walk między poszczególnymi grupami?

– Nie. Nie może istnieć powód. Takie pomysły nie mogą się pojawić.

– A jednostki – czy one nigdy nie walczyły ze sobą? Nigdy nie stosowały przemocy?

– Zdarzało się, że jakiś ganimed chciał wyrządzić krzywdę drugiemu, ale tylko taki, który był bardzo chory. Owszem, zdarzały się defekty mózgu. Bardzo smutne. Najczęściej lekarze potrafili taki defekt usunąć. Czasem ktoś z defektem musiał zostać odosobniony od innych i wymagał opieki. Ale zdarzało się to niezmiernie rzadko.

Na szczęście ZORAK nie potrafił formułować sądów moralnych, lecz mimo to Hunt czuł się tak nieswojo, jakby był afrykańskim łowcą głów, który spotkał misjonarza.

A ZORAK dobił go, mówiąc:

– Jeśli wszyscy selenici, łącznie z lekarzami, byli chorzy, to wszystko mogło się zdarzyć. Wynika stąd, że mogli też zniszczyć swoją planetę. Jeśli wszyscy ziemianie są chorzy i potrafią budować maszyny i przylecieć na Ganimedesa, to mogą również powodować wojny i niszczyć planety. Muszę ostrzec Garutha przed taką możliwością. Może będzie wolał stąd odejść. Gdzie indziej będzie bezpieczniej niż tu, w Układzie Słonecznym pełnym chorych ziemian.

– Nie będzie żadnej wojny – stwierdził Hunt stanowczo. – To są dawne dzieje. Ziemianie się zmienili. Teraz już nie walczymy ze sobą. Ganimedzi są tu bezpieczni – są naszymi przyjaciółmi.

– Rozumiem – odparła maszyna bez przekonania. – Aby wyliczyć prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy, muszę mieć więcej informacji o ziemianach oraz o ich ewolucji. Czy mogę zadać jeszcze kilka pytań?

– Innym razem – rzekł Hunt.

Poczuł się nagle zmęczony. Musiał to wszystko przemyśleć, porozmawiać z kolegami przed dalszą dyskusją z ZORAKIEM.

– Myślę, że dość już rozmawialiśmy dzisiaj – powiedział. – Muszę się przespać.

– A więc muszę spadać?

– Obawiam się, że tak, stary. Jutro chętnie z tobą porozmawiam.

– Bardzo dobrze. W takim razie dzień dobry.

– Pomyliłeś się. Idę do łóżka. Jest noc.

– Wiem. To był żart.

– Dzień dobry – uśmiechnął się Hunt, wyłączając urządzenie.

Komputer obdarzony poczuciem humoru. Tego jeszcze nie było! Ułożywszy troskliwie na szafce wszystkie części wyposażenia komunikacyjnego, oparł się o brzeg koi i paląc papierosa, rozpamiętywał szczegóły dziwnej rozmowy. Jak absurdalne i śmieszne wydawały mu się teraz ich obawy i podjęte środki ostrożności. Ganimedzi nie tylko nie znali słowa oznaczającego wojnę, oni nie znali nawet tego pojęcia! Czuł się jak brudny robak, gdy ktoś nagle odwali kamień, pod którym wiódł swe nędzne życie.

Właśnie miał wyłączyć światło, kiedy nagle rozległ się gong, wydobywający się z tablicy rozdzielczej umieszczonej nad koją. Hunt machinalnie włączył odbiornik. Na audiokanale pojawiła się informacja.

– Mówi dyrektor Shannon. Myślę, że zainteresuje państwa wiadomość, jaką o godzinie 23.40 czasu lokalnego otrzymałem z Ziemi. Na całonocnym nadzwyczajnym posiedzeniu w Kwaterze Głównej SKONZ powzięto decyzję o zezwoleniu na lądowanie „Szapierona” w Bazie Głównej na Ganimedesie. Ganimedzi zostali już o tym powiadomieni. Przygotowania w toku. To wszystko. Dziękuję.

Rozdział ósmy

I tak zakończyła się ta nieprawdopodobna podróż trwająca dwadzieścia pięć milionów lat.

W obszernej przezroczystej kopule wieży kontrolnej Bazy Głównej Hunt wraz z innymi obserwował zbliżanie się „Szapierona”. Ogromny statek opadał powoli na wyznaczone lądowisko na skraju bazy. Dotknąwszy ziemi, znieruchomiał w pionowej pozycji, wsparty na końcach czterech ostro wygiętych stateczników; rufa kadłuba zawisała ze trzydzieści metrów nad lodową powłoką Ganimedesa, górując nad szeregiem karzełkowatych weg, stojących z boku niczym kompania honorowa.

Czekająca opodal grupka pojazdów ruszyła do przodu. Z pierwszych trzech, które zatrzymały się na wprost najbliższego statecznika „Szapierona”, wysypały się niezgrabne postacie w standardowych skafandrach kosmicznych SKONZ; reszta wehikułów ustawiła się po obu stronach statku. Zwrócone twarzami do statku postacie uformowały szyk, na którego czele, nieco wysunięci ku przodowi, stali dowódca Bazy Głównej Lawrence Foster, jego zastępca oraz jeden z wyższych oficerów Jowisza Pięć, który specjalnie w tym celu przyleciał na Ganimedesa. Maleńka tarcza słoneczna wisiała nisko nad horyzontem, rzucając mroczne smugi niezgłębionych cieni na lodowe turnie i rumowiska, od wieków zastygłe w postaci, w jakiej zostawiły je uderzenia meteoratów, co podkreślało jeszcze smętny obraz ganimedzkiego krajobrazu.

Przed oczami patrzących rufa „Szapierona”, oddzieliwszy się od reszty kadłuba, poczęła opadać pionowo w dół. W chwilę później zobaczyli, że połączona jest z kadłubem za pomocą trzech mocno wydłużonych, jasnosrebrzystych rur, osadzonych blisko osi podłużnej statku. Wreszcie rufa dotknęła lodowej pokrywy i zatrzymała się; wokoło otworzyły się liczne drzwi, z których wysunęły się i oparły o ziemię krótkie rampy. Oglądający lądowanie z wieży Hunt przypomniał sobie szyb windy, którą jechali poprzedniego dnia na „Szapieronie”. Według jego oceny od zewnętrznej powłoki statku szyb dzieliła odległość odpowiadająca długości trzech rur, które teraz oglądał. Prawdopodobnie więc tamten szyb stanowił przedłużenie jednej z rur, podobnie jak owe rury były przedłużeniem trzech identycznych szybów. Hunt wysunął z tego wniosek, że komunikacja wzdłuż osi „Szapierona” odbywa się za

pośrednictwem systemu trzech wind, które w razie potrzeby mogą opuszczać się aż na powierzchnię; wraz z windami zjeżdżała w dół cała część rufowa statku, tworząc rodzaj holu. Bardzo sprytnie. Dalsze rozważanie zasad konstrukcyjnych pojazdu przerwało Huntowi nagłe poruszenie wśród widzów zgromadzonych w obserwatorium. Ganimedzi opuszczali statek!

Po jednej z ramp zeszła wolno pierwsza grupa pozaziemskich istot. Sprawiający w swych kosmicznych skafandrach wrażenie jeszcze wyższych, ruszyli ku czekającym ziemianom, którzy na ten widok wyprostowali się, pozdrawiając przybyszy. Po chwili rozpoczęła się wymiana formalności, jaką Hunt już raz przeżył. Usłyszeli z głośników skierowane do ganimedów w imieniu wszystkich rządów ziemskich powitalne słowa Foster, zawierające wyrażone już raz pragnienie, by wszystkie rasy żyły w pokoju po wsze czasy. Nawiązując do trudnej sytuacji przybyszy, Foster zapewnił ich, że ziemianie podzielą się z nimi swymi zasobami, jakkolwiek są one skąpe.

Garuth, który postanowił osobiście wyprowadzić swój lud ze statku, odpowiedział za pośrednictwem ZORAKA, włączonego również w system łącznościowy wieży kontrolnej. Ganimed powtórzył wprawdzie życzenia Foster, lecz zabrzmiało to nieco sztucznie i mechanicznie, jakby dziwił się, że tego rodzaju zapewnienia są potrzebne. Wyraźnie starał się zadośćuczynić regułom nieznanego rytuału, którego sensu nie był w stanie pojąć. Ziemianie przyjęli z zadowoleniem jego gest. Następnie przywódca ganimedów wyraził wdzięczność losowi, że zabierając im braci, postawił na ich miejscu nowych, którzy powitali ich w domu. Obie rasy, zakończył, mogą się od siebie wiele nauczyć.

Wreszcie czekające pojazdy zbliżyły się do statku, by zawieźć przybyszów do przygotowanych dla nich mieszkań. Ale mimo usunięcia foteli i ruchomego wyposażenia, we wnętrzu pojazdów mogła się pomieścić zaledwie ich garstka. Zabrano więc najpierw chorych i osłabionych, których było niemało. Reszta, w towarzystwie ubranych w kosmiczne skafandry Pigmejów, od których zaroilo się wokół, ruszyła pieszo w kierunku zabudowań bazy. Wkrótce całą przestrzeń między statkiem a budynkami wypełnił nieregularny sznur zbitych grup i pojedynczych maruderów. Z góry, w surowej atmosferze północy, z kamiennym spokojem spoglądały na nich gwiazdy.

Ludzie zgromadzeni w kopule milczeli. Z posępnymi twarzami spoglądali na scenę powitania, a twarze ich, jak nieprzeniknione maski, nie zdradzały myśli, które snuły im się po głowach. I żaden zapis wideo, gdyby istniał, nawet tysiącrotnie oglądany nie powiedziałby widzowi niczego o uczuciach, targających tymi ludźmi.

Po długiej chwili stojący obok Hunta sierżant, obróciwszy nieco głowę, mruknął:

- Nie ma co, ładny szmat drogi.
- Ładny powrót do domu – odparł Hunt.

Wszystkich ganimedów, których było ponad czterystu, nie dało się zakwaterować w bazie, toteż większość z nich musiała pozostać na „Szapieronie”. Ale sam fakt, że znaleźli się

na stałym lądzie, choćby tak obcym jak ta zmarznięta, pokryta lodowym rumowiskiem kula zwana Ganimedeselem, i w dodatku wśród innych istot myślących, uśmierzył tak bardzo dający im się we znaki niepokój. Ziemianie pokazali swym gościom udogodnienia, w jakie obfitowały ich nowe mieszkania, zapasy jedzenia oraz wszystkie rzeczy, które mogły uczynić ich życie znośnym. Inni pracownicy SKONZ zajęli się sprowadzaniem zapasów z jednego z orbitujących transportowców, przeznaczonych dla tych spośród ganimedów, którzy musieli pozostać na statku. Po czym zostawiono przybyszy w spokoju, zdanych na własne siły.

Wypocząwszy należycie, goście dali do zrozumienia, że gotowi są podjąć na nowo dialog z gospodarzami. Uzgodniono tedy termin konferencji, która miała się odbyć wieczorem w mesie oficerskiej. W spotkaniu mieli uczestniczyć przywódcy obu ras oraz mała grupka wybranych osób z obu stron. Należeli do nich zarówno Hunt, jak i Danchekker.

Rozdział dziewiąty

Aby ganimedzi czuli się jak u siebie w domu, w mesie obniżono temperaturę, jednak mimo że po kilku godzinach tłoczenia się w ciasnym pomieszczeniu kłęby dymu papierosowego przesłoniły lampy, zarówno goście, jak i gospodarze czuli się dobrze. Wyposażony w słuchawki i przypięty do swetra mikrofon, Danchekker zakończył swoją przemowę i usiadł. W końcu sali, gdzie siedziała grupka ganimedów, podniósł się ze swego miejsca Garuth.

– Lepiej będzie, panie profesorze – powiedział – gdy uczonemu odpowie uczony. – Szilohin – zwrócił się do siedzącej za nim ganimedki – czy zechciałabyś zabrać głos?

Ziemianie, którzy nie mieli typowego ekwipunku ganimedzkiego, śledzili dyskusję za pomocą zwykłych słuchawek, takich jakie miał korzystający z tłumaczenia ZORAKA Danchekker. Jego umiejętności w tym zakresie były wprost zdumiewające. Ale komputerowi zdarzały się też wpadki; rozmawiając z wieloma różnymi osobnikami, nie opanował jeszcze w pełni zdolności odróżniania normalnych struktur zdaniowych od idiomów, co powodowało czasami wybuchy homeryckiego śmiechu.

Szilohin, naczelna uczona ganimedzkiej ekspedycji, została już wcześniej przedstawiona ziemianom. Zachęcona przez Garutha, wstała i zaczęła bez wstępów:

– Po pierwsze, gratuluję uczonym z Ziemi wspaniałej intuicji naukowej. Rzeczywiście, tak jak powiedział profesor Danchekker, my, ganimedzi, wykazujemy ograniczoną tolerancję na dwutlenek węgla. On i jego koledzy drogą dedukcji odtworzyli też całkiem prawidłowy obraz warunków, jakie w tamtych czasach panowały na Minerwie – planecie, której przecież nie mogli widzieć.

Tu Szilohin przerwała dla podkreślenia wagi swych słów, po czym mówiła dalej:

– Przeciętą zawartość substancji radioaktywnych, a więc powodujących wzrost temperatury, w skałach minerwańskich była nieco wyższa niż na Ziemi. Wnętrze Minerwy było więc cieplejsze i w przeważającej mierze płynne, a skorupa cienka. W wyniku tego aktywność wulkaniczna na naszej planecie była większa niż na Ziemi, wzmocniona dodatkowo silnymi wpływami wywoływanymi przez księżyc, który krążył bliżej Minerwy, niż

to ma miejsce w wypadku Ziemi. Częste wybuchy wulkaniczne powodowały emisję do atmosfery dużej ilości dwutlenku węgla i pary wodnej, co dawało z kolei efekt cieplarniany, dzięki któremu powierzchnie oceanów pozostały płynne i na tyle ciepłe, by umożliwić powstanie życia. W porównaniu z warunkami ziemskimi na Minerwie było piekielnie zimno, ale w każdym razie cieplej niż byłoby bez wspomnianych procesów.

Tak było na Minerwie zawsze. Ale właśnie wtedy, gdy nasza cywilizacja stanęła u szczytu rozwoju, zaczął się okres wzmożonej aktywności wulkanicznej. Następował stopniowy, wyraźny wzrost stężenia dwutlenku węgla w atmosferze. Stało się dla nas jasne, że jest tylko kwestią czasu, kiedy poziom dwutlenku węgla przekroczy nasze możliwości adaptacyjne. Gdy to nastąpi, nie będziemy już mogli mieszkać na ojczystej planecie. Co mogliśmy zrobić?

Pytanie zawisło w próżni. Szilohin powiodła wzrokiem po zebranych, jakby czekając, że któryś z ziemian podejmie temat. Po chwili z końca sali odezwał się jeden z inżynierów SKONZ:

– No cóż, mieliśmy już kilka próbek waszych możliwości technicznych. Moim zdaniem należało szukać sposobu obniżenia efektu cieplarnianego... czegoś w rodzaju globalnej regulacji klimatu... czy ja wiem...

– Rozwiązanie godne polecenia – odparła Szilohin, kiwając głową, jak się zdawało, z aprobatą. – Rzeczywiście, na pewną skalę sterowaliśmy klimatem, głównie poprzez zmniejszanie czap lodowcowych Minerwy. Ale kiedy zaczęliśmy ingerować w skład atmosfery, powstały obawy, czy proces nie wymknie się nam spod kontroli; równowaga atmosferyczna była bardzo delikatna. Zrodziła się propozycja takiego rozwiązania, o jakim pan wspomniał – wyjaśniła, zwracając się wprost do interlokutora – lecz modele matematyczne wskazywały, że istnieje ogromne ryzyko całkowitego zniszczenia efektu cieplarnianego, a co za tym idzie, szybszego doprowadzenia do zagłady życia na planecie. My, ganimedzi, jesteśmy niezwykle ostrożni, nie lubimy ryzyka. Toteż nasz rząd odrzucił ten projekt.

Zamilkła, czekając na dalsze propozycje. Danchecker nie uznał za stosowne wypowiadać się na temat możliwości sprowadzenia roślinności ziemskiej dla przywrócenia równowagi. Zdążył już sprawdzić, że goście nie wiedzieli o podjęciu takiej próby; eksperyment ten wdrożono z pewnością już po odlocie ekspedycji Garutha. Badania jego ekipy jak również dyskusje z ZORAKIEM wykazały, że jeśli podjęto takie próby, nie mogły skończyć się sukcesem – czego ganimedzcy uczeni musieli być świadomi. Tak więc owo dziwne wydarzenie nadal okryte było tajemnicą.

Wreszcie Szilohin rozłożyła ręce gestem nauczycielki zdumionej, że tak wolno dziś myślą jej uczniowie.

– Logicznie sprawa jest prosta – powiedziała. – Pozwalając na dalszy wzrost poziomu dwutlenku węgla w atmosferze, skazywaliśmy się na zagładę, a więc nie wolno nam było do

tego dopuścić. Ale hamując wzrost poziomu dwutlenku węgla – co leżało w naszej mocy – ryzykowaliśmy zamrożenie planety, przed którym chronił nas efekt cieplarniany. Jego skutki były dla nas błogosławione ze względu na znaczną odległość Minery od Słońca. Z tego zaś płynął wniosek, że nie potrzebowalibyśmy efektu cieplarnianego, gdybyśmy byli bliżej Słońca, lub gdyby Słońce było cieplejsze.

Ludzie słuchali spokojnie, panując nad swymi odczuciami, tylko na niektórych twarzach malowało się niedowierzanie.

– A więc sprawa była prosta – odezwał się głos siedzącego blisko Hunta człowieka. – Wystarczyło przesunąć trochę Minerwę, albo podgrzać Słońce.

Miał to być oczywiście żart, ale ganimedka poczęła kiwać głową, naśladując ludzki gest potakiwania.

– Właśnie – podchwyciła – do takiego wniosku doszliśmy – i widząc zdumione spojrzenia, podjęła: – Rozważyliśmy wnikliwie obie możliwości. W końcu zespół astrofizyków przekonał rząd, że praktyczniej będzie podgrzać Słońce. W wielokrotnie sprawdzanych kalkulacjach nie było błędu, lecz ostrożny jak zwykle rząd nie chciał pozwolić na żarty ze Słońcem. Chcieli mieć pewność, że ten plan się powiedzie... – Słucham, doktorze Hunt? – przerwała, widząc jego podniesioną rękę.

– Czy mogłaby pani powiedzieć, na czym to miało polegać? – spytał. – Muszę przyznać, że sama myśl o czymś takim jest bulwersująca – dodał, a wokoło rozległy się pomruki aprobaty.

– Oczywiście – odparła uczona. – Jak większość z państwa już wie, ganimedzi rozwinęli gałąź techniki, której zasada jest jeszcze obca ziemianom. Polega ona na sztucznym wytwarzaniu i kontrolowaniu zjawiska zwanego grawitacją. Propozycja astrofizyków sprowadzała się do tego, by umieścić na orbicie okołosłonecznej trzy bardzo wielkie, potężne emitery. Miały one wysyłać do jądra gwiazdy promienie zaburzeń czasoprzestrzeni – nazwijmy to „wzmocnieniem grawitacyjnym”, choć określenie takie odnosi się raczej do skutków niż do przyczyn. Z teorii wynikało, że działanie takie powinno w konsekwencji przynieść wzrost grawitacji własnej Słońca, a co za tym idzie, jego kurczenie się. Proces kurczenia ustałby w momencie wyrównania się ciśnienia promieniowania i ciśnienia grawitacyjnego. W stanie zmienionej równowagi Słońce emitowałoby więcej ciepła, co kompensowałoby – przy właściwym doborze wszystkich wartości – utratę efektu cieplarnianego na Minery. Innymi słowy, moglibyśmy zaryzykować radykalne ograniczenie poziomu dwutlenku węgla w atmosferze, mając pewność, że gdy zaczniemy marznąć, poprzez zmianę parametrów Słońca będziemy w stanie uzyskać ponownie właściwe warunki. Czy taka odpowiedź pana zadowala?

– Tak... jak najbardziej – skinął głową Hunt. – Dziękuję pani.

Cisnęło mu się na usta tysiące pytań, lecz postanowił omówić te kwestie później z ZORAKIEM. Na razie miał o czym myśleć, gdyż działania na taką skalę po prostu nie

mieściły mu się w głowie, zwłaszcza że Szilohin przedstawiła cały problem jako sprawę tak prostą, jak zbudowanie bloku mieszkalnego.

– Jak już mówiłam – zabrała znów głos ganimedka – rząd domagał się sprawdzenia teorii. Nasza ekspedycja to właśnie miała na celu – próbny eksperyment w warunkach naturalnych na podobnej do Słońca gwiazdzie – tu wykonała niezrozumiały dla ziemian gest i ciągnęła dalej: – Okazało się, że ostrożność rządu była uzasadniona. Poddana eksperymentowi gwiazda utraciła stabilność i zamieniła się w nową. Ledwie uszliśmy z życiem. Garuth już wyjaśniał, że mieliśmy problem z systemem napędowym, co doprowadziło do tej sytuacji: od czasu opuszczenia Iscarisa przeżyliśmy niecałe dwadzieścia lat, ale z waszego punktu widzenia miało to miejsce dwadzieścia pięć milionów lat temu. W ten sposób się tu znaleźliśmy.

W sali zawrzało jak w ulu. Szilohin zaczekała, aż opadną emocje, wreszcie rzekła:

– Strasznie tu ciasno, trudno się ruszyć. Czy ktoś może ma pytanie, zanim usiądę i przekażę pałeczkę Garuthowi?

– Tylko jedno – odezwał się Lawrence Foster, dowódca Bazy Głównej. – Zastanawiamy się... Wyprzedziliście nas znacznie poziomem naukowo-technicznym; choćby możliwością podróży międzygwiazdnych. Musieliście więc po drodze spenetrować dokładnie Układ Słoneczny. Moi koledzy są gotowi iść o zakład, że ganimedzi odwiedzili kiedyś Ziemię. Mogłaby to pani skomentować?

Szilohin wzdrygnęła się – tak się przynajmniej zdawało patrzącym. Nie odpowiedziała od razu, lecz zamieniła półgłosem kilka słów z Garuthem, po czym obróciła się do audytorium.

– Tak... ma pan rację... – mówiła zacinając się, co nawet z dochodzącego przez słuchawki tłumaczenia łatwo było rozpoznać. – Ganimedzi... byli na Ziemi.

Sala poruszyła się. Wszyscy nastawili uszu, nie chcąc przegapić tak ważnego momentu.

– Domyślam się, że nastąpiło to, zanim wasza ekspedycja wyruszyła w drogę? – zapytał Foster.

– Tak, oczywiście... jakieś sto lat ziemskich przed tym wydarzeniem – odpowiedziała ganimedka i ciągnęła po pauzie: – Kilku członków załogi „Szapierona” odwiedziło Ziemię, nim zostali włączeni do naszej ekspedycji. Ale żadnego z nich nie ma w tej sali.

Ziemiańskie chcieli koniecznie dowiedzieć się czegoś więcej o własnej planecie od istot, które odwiedziły ją w czasach, gdy nie istniała jeszcze rasa ludzka. Z całej sali zaczęły padać chaotyczne pytania:

– Kiedy będziemy mogli z nimi porozmawiać?

– Czy macie jakieś zdjęcia?

– A może mapy?

– Założę się, że oni zbudowali to miasto w Ameryce Południowej.

– Zwariowałeś! Przecież to było dużo później.

– Czy właśnie te ekspedycje przywoziły na Minerwę zwierzęta ziemskie?

Entuzjazm, jaki wybuchł wśród słuchaczy, zdawał się wprawiać Szilohin w coraz większe zakłopotanie. Odniosła się do ostatniego pytania, na które ziemianie już znali odpowiedź, jakby mając nadzieję uwolnić się w ten sposób od pozostałych.

– Nie, w tamtych czasach nie sprowadzano zwierząt na Minerwę, nie było nawet takich planów. To musiało wydarzyć się później. Podobnie jak i wy, nie wiemy, jaki był cel tego przedsięwzięcia.

– No dobrze, a jeśli chodzi o... – zaczął Foster, lecz przerwał mu głos ZORAKA w słuchawkach:

– Tu ZORAK do ziemian: mówię od siebie, nie tłumaczę słów Szilohin. Nie wydaje mi się, by ganimedzi mieli ochotę roztrząsać teraz te problemy. Dobrze by było zmienić temat. Przepraszam.

Zdumione twarze ziemian świadczyły o tym, że wszyscy usłyszeli słowa komputera; natomiast brak reakcji ganimedów wskazywał, że nie byli oni adresatami komunikatu. Zapanowało kłopotliwe milczenie, lecz po chwili Foster opanował się i skierował dyskusję na bezpieczniejsze tory.

– Wrócimy do tych spraw innym razem – powiedział. – Czas ucieka, zbliża się pora kolacji. Zanim zakończymy naszą konferencję, musimy podjąć decyzję co do najbliższych działań. Największy problem, jak mi się zdaje, stanowią wasze kłopoty ze statkiem. Jak zamierzacie sobie z tym poradzić? Czy możemy wam w czymś pomóc?

Naradziwszy się ze swymi towarzyszami, Szilohin usiadła z wyraźną ulgą, że zeszła z linii strzału. Jej miejsce zajął Rogdar Jassilane, główny inżynier „Szapieron”.

– Mieliśmy dwadzieścia lat na zastanawianie się i wiemy już, jak rozwiązać ten problem – oświadczył. – Garuth przedstawił wam skutki kłopotów, jakie wynikły z braku możliwości zwolnienia ruchu wirowego czarnych dziur, na którym oparta jest budowa silnika. Dopóki silnik pracował, nie mieliśmy na jego działanie żadnego wpływu. Teraz umiemy już sobie z tym poradzić, lecz pewne podstawowe składniki systemu uległy zniszczeniu i nie da się ich szybko uzupełnić. Chcielibyśmy w pierwszym rzędzie obejrzeć statek, znaleziony przez was pod powierzchnią Ganimedesa. Ze zdjęć, które nam dostarczyliście, można wywnioskować, że ma on nieco nowocześniejszą konstrukcję niż „Szapieron”. Ale mimo to mam nadzieję, że znajdziemy tam to, co jest nam potrzebne. Podstawowa zasada działania silnika wydaje się taka sama. Pierwsza rzecz, jaką musimy zrobić, to udać się do Bazy Nadszybia.

– To żaden problem – odparł Foster. – Każę przygotować... Przepraszam bardzo – powiedział, rzucając pytające spojrzenie na stewarda, który ukazał się w drzwiach. – Rozumiem... dziękuję, zaraz będziemy – mówił i zwracając się do Jassilane’a, wyjaśnił: – Proszę państwa, kolacja gotowa. A co się tyczy pańskiego pytania, możemy pojechać do Bazy Nadszybia nawet jutro, jeśli wam to odpowiada. O szczegółach porozmawiamy później. Teraz chodźmy na kolację.

– Świetnie – ucieszył się Jassilane. – Wezmę ze sobą kilku moich inżynierów. A teraz, jak pan się wyraził, chodźmy wszyscy na kolację.

Stał cały czas, czekając aż wszyscy ganimedzi, czyniący przeraźliwy rumor w ciasnocie salki konferencyjnej, powstali z miejsc.

Ziemianie również zaczęli wstawać, wycofując się ku drzwiom, by zrobić miejsce swym roslým gościom.

– Jest jeszcze jeden ważny powód, dla którego chcemy zobaczyć nasz statek w Bazie Nadszybia. Mamy nadzieję znaleźć tam jakieś wskazówki, potwierdzające wasze przypuszczenie, że ganimedzi wywędrowali na inną galaktykę. Jeśli to prawda, może uda nam się dojść, o jaką gwiazdę chodzi – oznajmił jeszcze Garuth.

– Myślę, że gwiazdy mogą poczekać do jutra – odezwał się Jassilane, przechodząc obok niego. – W tej chwili bardziej interesuje mnie ziemskie jedzenie. Próbowaleś już tego, co oni nazywają ananasami? Pyszności. Niczego takiego na Minerwie nie mieliśmy.

W tłumie przy drzwiach wyjściowych Hunt znalazł się obok Garutha.

– Zrobiłby to pan? – spytał, podnosząc głowę, by spojrzeć w twarz wielkoluda. – Ryzykowałby pan nową podróż do nieznannej gwiazdy, po wszystkim, co przeszłście?

Ganimed spoglądał na niego z góry, zdając się ważyć tę kwestię w myślach.

– Może. Kto wie? – rzekł wreszcie, a Hunt z tonu wypowiedzi wywnioskował, że ZORAK przełączył się z trybu obsługi grupy odbiorców na obsługę rozmów prywatnych. – Moi rodacy od wielu lat żyją marzeniami. Teraz bardziej niż kiedykolwiek byłoby błędem je burzyć. Dziś są zmęczeni i pragną tylko odpoczynku. Ale jutro znów zaczną marzyć.

– A więc zobaczymy, co nam przyniesie wizyta w Bazie Nadszybia – powiedział Hunt i chwyciwszy spojrzenie Danchekkera, dodał pod jego adresem: – Usiądziesz z nami, Chris?

– Z przyjemnością, o ile nie przeszkodzi to panom, że będę nietowarzyski – odparł profesor. – Nie mam najmniejszego zamiaru jeść kolacji z tym świństwem na uszach.

– Proszę sobie nie przeszkadzać w jedzeniu, panie profesorze – wtrącił Garuth. – Życie towarzyskie może poczekać.

– Jestem zaskoczony, że pan to słyszał – odezwał się Hunt. – Skąd ZORAK wiedział, że rozmawiamy we trzech? Musiał to wiedzieć, skoro podał wymianę zdań między nami także na pański odbiornik.

– Och, ZORAK jest bardzo dobry, jeśli chodzi o tego typu sprawy. Szybko się uczy. Jesteśmy z niego dumni.

– Zdumiewająca maszyna!

– Bardziej niż pan sobie wyobraża – oświadczył Garuth. – To ZORAK uratował ekspedycję na Iscarisie. W temperaturze, jaka zapanowała w statku, gdy liznęła nas fala erupcji nowej, większość z nas była niezdolna do działania. Wielu zmarło. ZORAK wyprowadził „Szapierona” z opresji.

– Muszę więc przestać wyrażać się uszczypliwie o jego braciach – mruknął Danchecker.
– Nie chciałbym go zdenerwować, bo może jest wrażliwy na takie rzeczy.

– Mnie to nie przeszkadza – usłyszeli w słuchawkach głos ZORAKA. – Pod warunkiem, że pańskich braci będę mógł nazywać małpami.

I wtedy Hunt po raz pierwszy poznał śmiech ganimeda.

Gdy zasiedli we trzech do kolacji, ze zdumieniem stwierdził, że dania były wyłącznie jarskie. Widocznie goście sobie tego życzyli.

Rozdział dziesiąty

Ponieważ urlop, który Hunt i Danchecker zamierzali spędzić na Jowiszu Pięć, dobiegł końca, przyłączyli się do składającej się z ganimedów i ziemian grupy uczonych, która następnego dnia udała się do Bazy Nadszybia. Była to zaiste mieszana wyprawa, gdyż część ganimedzkich uczonych wcisnęła się do średnich transportowców SKONZ, niektórzy zaś spośród ziemian mieli szczęście polecieć na jednym z filialnych statków „Szapierona”.

W bazie najpierw pokazano ganimedom owo tajemnicze urządzenie alarmowe, którego sygnały, wzbudzone nieświadomie przez ziemian, sprowadziły ich na Ganimedesa; wydarzenie to zdawało się należeć do odległej przeszłości. Goście wyjaśnili, że zwykłe fale elektromagnetyczne nie mogą być odbierane w strefie zlokalizowanych zaburzeń czasoprzestrzeni, powodowanych pracą standardowych silników ganimedzkich, dlatego też w telekomunikacji na duże odległości ganimedzi używali modulowanych impulsów grawitacyjnych; na takiej właśnie zasadzie działało urządzenie znalezione na wraku. Ganimedzi odebrali nadany przypadkiem sygnał w chwili, gdy – wyłączwszy wreszcie główny napęd – zagłębili się w Układ Słoneczny, poruszając się przy pomocy silników pomocniczych, które wystarczały do przemykania się między planetami, lecz były nieprzydatne w podróży międzygalaktycznych. Łatwo sobie wyobrazić ich zdumienie na widok tego, co zastali w Układzie Słonecznym: brak Minerwy i dodatkowa planeta w miejscu, w którym nie powinno być nic. A potem odebrali ten sygnał. W rozmowie z Huntem jeden z inżynierów SKONZ tak podsumował ich przeżycia:

– Proszę sobie wyobrazić: wracają po dwudziestu pięciu milionach lat i słyszą sygnał, nie pasujący zupełnie do sytuacji. Musieli się zastanawiać, czy im się to wszystko nie śniło i czy w ogóle gdzieś wyjeżdżali.

Następnie grupa uczonych przeszła podziemnym korytarzem o metalowych ścianach do laboratorium, gdzie poddawano oględzinom przedmioty z wraku ganimedzkiego statku. Znaleźli się w obszernym pomieszczeniu, podzielonym niewysokimi przepierzeniami na szereg oddzielnych boksów, z których każdy wyposażony był w mnóstwo urządzeń,

przyrządów pomiarowych, kompleksów elektronicznych oraz szaf z narzędziami; za plątaniną rurek, kanałów przewodowych, kabli i wszelkiego rodzaju przewodów trudno było dojrzeć sufit.

Craig Patterson, kierownik tego oddziału laboratorium, wprowadził grupkę uczonych do jednego z boksów, gdzie wskazał gestem leżący na blacie roboczym opasły metalowy cylinder, wysokości około trzydziestu centymetrów i grubości niecałego metra, opleciony skomplikowanym układem podpórek, siatek i kryz, tworzących całość z trzonem urządzenia. Cały zespół wyglądał na ciężki i solidny; odnosiło się wrażenie, że został wyjęty z obsady, gdzie stanowił część większej całości, widać tam było bowiem kilka otworów i gniazdek, które mogły być wejściami i wyjściami, najprawdopodobniej w układzie elektrycznym.

– Oto coś, co nie daje nam spokoju – rzekł Patterson. – Wymontowaliśmy jak dotąd kilka tych elementów – wszystkie są identyczne. Są ich na statku setki, umocowanych w podłodze w określonych odstępach. Domyślcie się, co to takiego?

Rogdar Jassilane podszedł do stolika i pochylił się, aby przyjrzeć się bliżej urządzeniu.

– Przypomina zmodyfikowany modem G – odezwała się Szilohin, stojąca w drzwiach obok Hunta, ganimedzi mogli bowiem porozumiewać się za pośrednictwem ZORAKA nawet gdy dzieliło ich od niego tysiąc kilometrów.

Tymczasem Jassilane przejechał palcem po obudowie przyrządu, sprawdził oznakowania, jakie się jeszcze gdzieś zachowały, po czym wyprostował się, najwyraźniej wiedząc już wszystko, co chciał wiedzieć.

– Tak, to na pewno to – oświadczył. – Widzę tu jakieś dodatki, których nie znam, ale zasadniczy schemat jest ten sam.

– Co to jest modem G? – spytał Art Stelmer, jeden z inżynierów zespołu Pattersona.

– Element rozproszonego pola węzłów – odparł Jassilane.

– Wspaniale – wzruszył ramionami Stelmer, równie mądry jak przedtem.

Szilohin pospieszyła z pomocą.

– Obawiam się, że to ma związek z dziedziną fizyki, której wasza rasa jeszcze nie odkryła – zaczęła wyjaśniać. – O ile się nie mylę, w waszych pojazdach kosmicznych, takich jak Jowisz Pięć, symulujecie grawitację, wprawiając w rotację większość partii statku.

Teraz Hunt przypomniał sobie uczucie ciężenia, jakiego doznał na „Szapieronie”; pamiętał, że nie umiał wyjaśnić sobie jego źródła. Sens tego, co powiedziała Szilohin, wydawał się jasny.

– Wy natomiast nie symulujecie grawitacji – zaryzykował – lecz ją wytwarzacie.

– Dokładnie tak – potwierdziła. – Takie urządzenia jak to, które tu widzimy, stanowiły standardowe wyposażenie naszych statków.

Ziemiańskie nie byli zbyt zaskoczeni tymi rewelacjami, od dłuższego czasu podejrzewali bowiem ganimedów o rozwiązania technologiczne, o których ludzie nie mieli pojęcia. Jednak wyjaśnienia Szilohin wzbudziły zrozumiałe zaciekawienie.

– Nie mogliśmy tego rozgryźć – odezwał się Patterson. – Na jakiej zasadzie to wszystko działa? Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

Szilohin milczała przez chwilę, jakby musiała zastanowić się dobrze nad odpowiedzią.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć – powiedziała wreszcie. – Sensowne wyjaśnienie tych spraw zajęłoby sporo czasu...

– Hej, zdaje się, że to pierścień dodatkowy rury transferowej – zagłuszył jej słowa okrzyk ganimeda, który patrząc przez przepierzenie do sąsiedniego boksu, wskazywał inną część maszynerii, częściowo rozebraną.

– Tak, chyba masz rację – powiedział Jassilane, idąc za jego wzrokiem.

– Jaki znów pierścień dodatkowy, u licha? – zawołał z rozpaczą Stelmer.

– A rura transferowa? – dorzucił Patterson, zapominając o poprzednim swym pytaniu.

– W naszych statkach istniał system rur transferowych, służących do przemieszczania przedmiotów oraz osób – wyjaśniał Jassilane. – Musieliście się już z tym zetknąć, bo widziałem te rury na sporządzonych przez was planach wraku.

– W jakimś sensie domyślaliśmy się ich funkcji – wtrącił Hunt. – Ale nie mieliśmy pewności, jak to działało. Czy to jeszcze jedna sztuczka grawitacyjna?

– Owszem przyznał Jassilane. – Źródłem siły napędowej były tu lokalne pola grawitacyjne, działające w obrębie rur transferowych. Ten pierścień to po prostu wzmacniacz, służący do podnoszenia i redukcji siły pola. Takie pierścienie rozmieszczone były wewnątrz rury co... czy ja wiem? Co dziesięć metrów, w zależności od jej przekroju.

– Chce pan powiedzieć, że ludzie latali tymi rurami? – zdumiał się Patterson.

– Oczywiście. Na „Szapieronie” też je mamy – odparł nonszalancko Jassilane. – Główna winda, którą jechało kilkoro z was, porusza się wewnątrz jednej z takich rur. W tym wypadku w środku przemieszcza się pojemnik, ale w rurach o mniejszym przekroju spada pan sobie swobodnie.

– Ale jak zapobiegacie kolizjom? – spytał Stelmer. – Czy może rury są jednokierunkowe?

– Dwukierunkowe – zapewnił go ganimed. – Zwykle w rurze pole jest dwudzielne – jedno do góry, drugie w dół. W ten sposób z łatwością można kierować ruchem. Między innymi ten pierścień służy takiemu celowi. Część pierścienia nazywa się „ogranicznik krawędzi strumienia”.

– Ale jak się stamtąd wydostajecie? – dopytywał się zafascynowany wynalazkiem Stelmer.

– Zwalnia pan dzięki umiejscowionej frakcji fal stojących, która zostaje wyzwolona, gdy pan się zbliża do wybranego przez siebie wyjścia – wyjaśnił ganimed. – Wchodzi się na tej samej zasadzie...

Rozmowa przerodziła się w długą dyskusję na temat zasad organizacji i kontroli ruchu w węzłach komunikacyjnych systemu rur transferowych, działających, jak się okazało, nie tylko na statkach kosmicznych, ale i w większości budynków oraz na ulicach miast ganimedzkich. I

pytanie Pattersona o zasadę działania tej formy przemieszczania się pozostało na zawsze bez odpowiedzi.

Po obejrzeniu kilku innych elementów wyposażenia statku, grupka uczonych opuściła oddział badawczy i udała się korytarzem do sutereny budynku nadzoru prac terenowych, skąd schodami dostała się na pierwsze piętro. Stamtąd podwieszonym przejściem przeszli wszyscy do sąsiedniej kopyły, osłaniającej wylot szybu nr 3. Pokonawszy istny labirynt chodników i pasaży, znaleźli się na koniec w przedsionku służby na jednej z wyższych kondygnacji nadszybia. Za służą czekała na nich kapsuła, która zwiozła pierwsze sześć osób pod powierzchnię, gdzie trwały prace wykopaliskowe. Gdy obróciła po raz trzeci, cała grupa znalazła się znów razem głęboko we wnętrzu pokrywy lodowej księżycy.

Opuściwszy kapsułę w towarzystwie Jassilane'a, dwóch innych ganimedów oraz kapitana Hewa Millsa, dowódcy sił mundurowych w Bazie Nadszybia, Hunt wraz z towarzyszami dotarł krótkim korytarzem do pomieszczenia koordynacyjnego części podziemnej, gdzie czekała już reszta ekspedycji. Nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi; obecni wpatrywali się jak urzeczeni w coś, co znajdowało się po drugiej stronie ogromnej szklanej ściany w głębi pokoju.

Wchodzący ujrzeli olbrzymią pieczarę, wyrąbaną i wytopioną w litym łodzie, mieniającą się w świetle tysiąca lamp łukowych wszystkimi odcieniami szarości i bieli. Tylna jej ściana ginęła w lesie olbrzymich stalowych stempli oraz kolumn lodowych, pozostawionych dla podtrzymania sufitu. Pośrodku, wyciągnięty daleko w głąb, wycinając równy pokos w lodowych podporach, leżał wrak statku ganimedzkiego.

Gładkie, eleganckie linie czarnego metalowego kadłuba nosiły ślady nacięć w miejscach, gdzie usunięto partie płaszcza, by umożliwić dostanie się do środka bądź wydobycie części wyposażenia. Miejscami statek przypominał szkielet wieloryba, wyrzuconego przez morze na brzeg; sterczące wręgi oznaczały miejsca, gdzie wyjęto całe sektory pojazdu. Boki statku zdobiły umieszczone chaotycznie w nieregularnych odstępach kratownice i metalowe rury, sięgające od podłogi do sufitu pieczary. Podtrzymywały one istny labirynt pomostów, drabinek, platform, ramp, takielunku, wyciągów, oplecionych przerywaną gmatwaniną hydraulicznych i pneumatycznych rur zasilania, szybów wentylacyjnych i przewodów elektrycznych.

Wszędzie widać było grupki ludzi pracujących na ciągnących się wzdłuż kadłuba rusztowaniach lub na dole, pośród mnóstwa stojących tam części statku i osprzętu; niektórzy z pracowników poruszali się po rusztowaniach, stykających się z poszarpanymi ścianami wykutymi w lodzie, inni stali bezpośrednio na kadłubie. Suwnica zdejmowała część płaszcza, dalej lampa acetylenowo-tlenowa oświetlała odkryty sektor statku; stojący nie opodal inżynierowie naradzali się, gestykulując i wskazując co chwila na duży przenośny ekran, wyświetlający przeróżne dane. Wszędzie trwały gorączkowe, drobiazgowo prace.

Ziemiańskie stali w milczeniu, czekając aż ganimedzi napatrzą się do syta. Pierwszy odezwał się Jassilane:

– Rzeczywiście kolos... dokładnie taki, jak się spodziewaliśmy. W porównaniu z tym, co znaliśmy, opuszczając Minerwę, konstrukcja jest zdecydowanie unowocześniona. Co ty na to, ZORAK?

– Sektory teroidalne sterujące w nacięciu o sto metrów od miejsca, w którym się znajdujesz, stanowią prawie na pewno induktory różnicowego napięcia rezonansu, służące do zmniejszania ogniskowej punktu promieniowania silnika głównego – recytował ZORAK.

– Ten duży mechanizm w dole na podłodze, tam gdzie stoi tych dwóch ziemian, jeden z przodu, drugi poniżej, jest mi nie znany, ale wszystko wskazuje, że to unowocześniony model rufowego reaktora kompensacyjnego. Jeśli tak, napęd statku polegał na standardowym rozchodzeniu się fal napięcia. Jeśli mam rację, z przodu powinien się znajdować drugi taki reaktor. Ziemiańskie w Bazie Głównej pokazywali mi rysunki urządzenia, które przypomina reaktor, ale dla uzyskania absolutnej pewności powinniśmy sami sprawdzić, co jest na dziobie. Chciałbym też zobaczyć główny sektor konwerterów energii i poznać jego budowę.

– Hm... mogło być gorzej – mruknął Jassilane w zamyśleniu.

– O czym rozmawialiście, Rog? – spytał Hunt. Ganimed odwrócił się i wskazując ręką wrak, odparł:

– ZORAK potwierdził moje domysły. Jakkolwiek statek został zbudowany dużo później niż „Szapieron”, to jednak główne zasady konstrukcyjne pozostały, jak się zdaje, nie zmienione.

– Czy to znaczy, że macie szansę naprawić swój statek? – wtrącił Mills.

– Tak sądzę – odparł Jassilane.

– Musimy się najpierw upewnić – powiedziała ostrożnie Szilohin.

Hunt odwrócił się do pozostałych członków ekspedycji i rozkładając ręce zapraszającym gestem, powiedział:

– A więc zejdźmy na dół i upewnijmy się.

Grupa zwiedzających odeszła od ściany widokowej i utorowała sobie drogę do drzwi między stojakami z narzędziami i konsolami, by zejść na niższy poziom. Gdy za ostatnim z wychodzących zamknęły się drzwi, jeden z siedzących przy konsolach operatorów odwrócił głowę i rzekł do kolegi śmiejąc się:

– A widzisz, Ed, nikogo nie zjedli.

Siedzący kilka metrów dalej Ed zmarszczył czoło i odparł z powątpiewaniem:

– Może dzisiaj nie są głodni.

Tymczasem grupa ziemian i ganimedów, po przebyciu śluzy, znalazła się na dnie pieczary, tuż pod oknem, i po stalowej siatce, którą przykryto lód, ruszyła ku statkowi, mijając po drodze różne urządzenia.

– Ciepło tu – powiedziała Szilohin do idącego obok Hunta. – A jednak na lodowych ścianach nie znać śladu topnienia. Jak wy to robicie?

– System cyrkulacyjny powietrza został bardzo dokładnie zaplanowany – wyjaśnił Hunt. – Ciepłe powietrze koncentruje się na dole, gdzie trwają prace, ściany zaś są izolowane przy pomocy strumieni zimnego powietrza, skierowanych ku otworom wentylacyjnym w suficie. Dzięki temu, że ściany przechodzą stopniowo w partię sufitową, zagwarantowany został właściwy przepływ powietrza. System się sprawdził.

– Genialne – mruknęła ganimedka.

– A ryzyko eksplozji gazów wydzielających się z lodu? – spytał inny ganimed. – To chyba niebezpieczne?

– Na początku, gdy zaczynaliśmy drążyć pieczarę, mieliśmy z tym problemy – odparł Hunt. – Topnienie lodu było wtedy obfite. Aby zapobiec ryzyku, o którym pan wspomniał, pracowano się tu w skafandrach, w atmosferze argonowej. Teraz, kiedy system wentylacyjny zdał egzamin, ryzyko jest niewielkie, możemy więc poruszać się swobodniej. Zasłony zimnego powietrza też robią swoje; ulatnianie się gazów z lodu jest zredukowane praktycznie do zera, a jeśli nawet coś się wydziela, zostaje wyrzucone na zewnątrz wraz z tłoczonym powietrzem. Groźba wybuchu tu na dole jest prawdopodobnie niższa niż trafienie nadszybia przez zabłąkany meteoryt.

– Jesteśmy na miejscu – zawołał idący z przodu Mills.

Zatrzymali się u stóp wyrastającej z posadzki szerokiej, płytkiej metalowej rampy, prowadzącej pośród płątaniny kabli do wnętrza statku przez wycięty w powłoce duży otwór. Ponad ich głowami kontur boku statku wybrzuszał się olbrzymim łukiem w górę i nikał z oczu patrzącym. Poczuli się nagle jak myszki, stojące u stóp walca drogowego.

– Wejdzmy – powiedział Hunt.

W ciągu dwóch godzin metr po metrze przemierzali labirynt chodników i pomostów, zbudowanych wewnątrz statku, który spoczywając na boku, nie zawierał prawie nadających się do chodzenia poziomych płaszczyzn. Olbrzymi kierowali się wzdłuż przewodów i duktów, jakby doskonale wiedzieli, czego szukają. Często zatrzymywali się, by zręcznie wyjąć tu i ówdzie jakieś urządzenie lub zbadać jego połączenie z innymi częściami lub urządzeniami; sprawdzali każdy detal dostarczonych przez uczonych SKONZ planów, gdzie znalazło się wszystko, co ziemianie zdołali zrozumieć z konstrukcji statku.

Kiedy skończyli, Jassilane po długich naradach z ZORAKIEM oznajmił:

– Jesteśmy dobrej myśli. Są szansę na doprowadzenie „Szapierona” do stanu pełnej funkcjonalności. Chcielibyśmy jednak dokładniej zbadać niektóre partie statku i musimy sprowadzić jeszcze kilku ekspertów z Bazy Głównej. Czy znalazłoby się tu miejsce dla grupki naszych ludzi na jakieś dwa, trzy tygodnie?

Ostatnie słowa skierowane były do Millsa. Kapitan wzruszył ramionami, rozkładając ręce zapraszającym gestem.

– Jesteśmy do waszej dyspozycji. Załatwione.

Nie minęła godzina od powrotu grupy uczonych na powierzchnię na przerwę obiadową, a już z Bazy Głównej wyleciał na północ inny transportowiec z dodatkowymi specjalistami ganimedzkimi oraz niezbędnymi do badań narzędziami i instrumentami, zabranymi z „Szapierona”.

Po obiedzie przeszli do części bazy mieszczącej laboratoria biologiczne, gdzie podziwiali oranżerię Dancheckera. Ganimedzi stwierdzili, że znają dobrze rośliny wyhodowane przez uczonego i że były one rozpowszechnione na terenach równikowych Minerwy. Profesor zaproponował, by zabrali ze sobą sadzonki i zasadzili na „Szapieronie” jako wspomnienie z ojczyzny. Goście byli głęboko poruszeni tym gestem.

Następnie Danchecker sprowadził ich na dół, do obszernego magazynu, wydrążonego w lodowej skale poniżej laboratorium. Znaleźli się w przestronnym, dobrze oświetlonym pomieszczeniu. Na półkach umieszczonych wzdłuż ścian znajdowała się zbieranina różnych materiałów i instrumentów; stały tam rzędy szaf pomalowanych na zielono, maszyny przykryte pokrowcami, a miejscami stopy nie otwartych pak, ustawionych jedna na drugiej aż pod sam sufit. Ale oczy wszystkich przyciągała olbrzymia bestia, stojąca naprzeciwko nich w odległości sześciu metrów od wejścia.

Wsparte na czterech nogach przypominających grube pnie drzewne zwierzę miało wysokość prawie sześć metrów, a jego masywny tułów przechodził z przodu w długą, silną szyję, zakończoną stosunkowo małym, nieforemnym łbem, podanym mocno do przodu. Szarawa skóra wydawała się szorstka i zrogowaciała; u podstawy szyi i w dole łba, poniżej krótkich sterczących uszu, skręcała się w grube fałdy. Sponad ogromnych, rozdętych nozdrzy i rozwartej, podobnej do dzioba papugi paszczy patrzyły uporczywie szeroko otwarte oczy, których wyraz podkreślały dwie fałdy brwiowe. Głowę zwierzęcia celowo ustawiono tak, by wpatrywało się ono we wchodzących do pomieszczenia.

– To jeden z moich ulubieńców – powiedział jowialnie Danchecker, podchodząc do bestii i klepiąc ją pieszczotliwie po przedniej łapie. – To *baluchitherium*, żyjący w późnym oligocenie i wczesnym miocenie azjatycki przodek dzisiejszego nosorożca. Gatunek ten utracił już czwarty palec u przedniej nogi, tak że struktura stopy przedniej zrównała się z budową stopy tylnej; jest to typowa tendencja ewolucyjna okresu oligoceńskiego. Widzimy też, że szczęka górna jest dobrze rozwinięta, jakkolwiek u tego gatunku, jak państwo widzą, nie przybrała ona jeszcze postaci rogu. Inną ciekawostką stanowią zęby, które...

Tu Danchecker przerwał nagle, gdyż obejrzawszy się na słuchaczy zobaczył, że w grupie, która weszła za nim do pokoju i obstała ciekawy eksponat, są tylko ziemianie. Ganimedzi zatrzymali się zbitą gromadką w drzwiach i w milczeniu spoglądali na przedpotopowego olbrzyma. W ich szeroko otwartych oczach malowało się zdumienie. Wprawdzie nie uciekli

na widok potwora, ale ich spłoszone twarze i zastygłe w bezruchu sylwetki świadczyły o niepewności i lęku.

– Czy coś się stało? – spytał ze zdziwieniem Danchecker, a nie otrzymawszy odpowiedzi, począł uspokajać gości: – Zapewniam państwa, że jest zupełnie niegroźny i bardzo, bardzo martwy... To jeden z okazów, jakie zachowały się w dużych pojemnikach znalezionych na statku. Nie żyje od co najmniej dwudziestu pięciu milionów lat.

Ganimedzi ożywili się. Milczeli nadal, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, ale zbliżyli się ostrożnie do grupki ziemian, otaczających półkolem profesora i jego ulubieńca. Przez dłuższą chwilę przyglądali się w milczeniu stojącemu przed nimi monstrum i zdjęci lękiem i podziwem studiowali szczegóły jego budowy.

– ZORAK – rzekł cicho Hunt, podczas gdy reszta ziemian czekała, aż ganimedzi znów przemówią, nie bardzo wiedząc, co właściwie tak mocno poruszyło gości.

– Słucham, Vic – usłyszał głos komputera.

– O co chodzi?

– Ganimedzi nigdy dotąd nie widzieli zwierzęcia porównywalnego z *baluchitherium*. To dla nich nowe i niespodziewane doświadczenie.

– Ty też jesteś tym zaskoczony? – spytał Hunt.

– Nie. Od razu poznałem, że ten okaz jest bardzo podobny do innych gatunków ziemskich, na temat których mam dokładne dane w moim archiwum. Informacje te zebrała ekspedycja ganimedzka, która wylądowała na Ziemi jakiś czas przed odlotem „Szapierona” z Minerwy. Ale żaden z ganimedów, którzy znajdują się w Bazie Nadszybia, nie był na Ziemi.

– Ale chyba muszą znać szczegóły ekspedycji – nie dawał za wygraną Hunt. – Na pewno opublikowano materiały z wyprawy.

– To prawda – przyznał ZORAK. – Ale przeczytać raport, a stanąć niespodziewanie oko w oko z takim potworem to dwie zupełnie różne rzeczy. Przypuszczam, że gdybym ja był inteligencją organiczną, pochodzącą z procesu ewolucji opartego na zasadzie doboru naturalnego i gdybym w związku z tym był zdolny do odruchów warunkowych – zapewne również doznałbym szoku.

Nim Hunt zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odezwała się Szilohin.

– A więc... to jest okaz zwierzęcia ziemskiego – zaczęła z wahaniem, jakby słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

– Nie do wiary! – westchnął Jassilane, nie mogąc oderwać oczu od potężnej bestii. – Czy to naprawdę kiedyś żyło?...

– A to co takiego? – zawołał kolejny gość, wskazując na zwierza, stojącego za *baluchitherium*. Okaz był wprawdzie mniejszy, lecz dzięki agresywnej postawie sprawiał groźniejsze wrażenie; jedna łapa wisiała uniesiona, a cofnięte wargi odsłaniały dwa rzędy straszliwych, ostrych zębów. Jassilane spojrział we wskazanym kierunku.

– To *cynodictis* – odparł Danchecker, wzduszając ramionami. – Ciekawa mieszanka cech kocich i psich; przodek wszystkich współczesnych rodzin kotowatych i psowatych. A ten obok to *mesohippus*, przodek współczesnego konia. Jeśli przyjrzeć mu się dokładniej, można zauważyć... – przerwał w pół zdania, widocznie uderzony nową myślą. – Ale dlaczego wydają się wam takie dziwne? Na pewno widzieliście już przedtem zwierzęta... Przecież na Minerwie były zwierzęta, prawda?

Przyglądający się pilnie ganimedom Hunt doszedł do wniosku, że jak na swój stopień rozwoju cywilizacyjnego zachowują się raczej dziwnie, zwłaszcza że do tej pory dali się poznać jako istoty wypowiadające się i postępujące racjonalnie.

Szilohin wzięła na siebie trud odpowiedzi.

– Owszem... były tam zwierzęta – zaczęła, spoglądając to na jednego, to na drugiego ganimeda, jakby szukając pomocy w wybrnięciu z trudnej sytuacji. – Ale one były... inne... – zakończyła niejasno.

– Inne? – powtórzył zaintrygowany Danchecker. – To ciekawe. Pod jakim względem? Czy były na przykład mniejsze niż to tutaj?

Szilohin zdawała się coraz bardziej zakłopotana. Podobnie jak przedtem, przejawiała niezrozumiałą niechęć do poruszania spraw Ziemi z okresu oligoceńskiego. Sytuacja stała się nieprzyjemna, czego Danchecker, zaaferowany wykładem, zdawał się nie dostrzegać. Hunt odwrócił głowę i powiedział półgłosem:

– ZORAK, daj mi prywatny kanał do Chrisa Dancheckera.

– Gotowe – odparł komputer, a w tonie jego głosu zabrzmiała ulga.

– Chris – szepnął Hunt – tu Vic. Oni nie chcą o tym rozmawiać – mówił dalej, widząc zmianę w jego twarzy.

– Może czują się nieswojo z powodu naszego pokrewieństwa z selenitami. Nie wiem, co się dzieje, ale coś im wyraźnie przeszkadza. Skończ to i wyjdźmy stąd.

Danchecker pochwycił spojrzenie Hunta, zamrugał oczami bez przekonania, jednak skinął głową i zmienił temat.

– Zresztą nie warto teraz tego roztrząsać, znajdzie się stosowniejsza chwila. Proponuję, żebyśmy poszli na górę. Prowadzimy w naszych laboratoriach jeszcze inne badania, które z pewnością państwa zainteresują.

Grupka uczonych zaczęła się wycofywać ku drzwiom. Za ich plecami Danchecker i Hunt wymienili zdziwione spojrzenia.

– O co w tym wszystkim chodzi, jeśli wolno spytać? – zagadnął profesor.

– Nie mam pojęcia – odparł Hunt. – Chodź, bo się zgubimy.

Tymczasem setki milionów kilometrów od Bazy Nadszybia wiadomość o spotkaniu z inteligentnymi istotami pozaziemskimi zbulwersowała Ziemię. Gdy na ekranach całego świata zostały wyświetlone filmy z pierwszego spotkania obu ras na „Szapieronie” oraz z

późniejszego lądowania ganimedów w Bazie Głównej, planetę obiegła fala entuzjazmu i zdumienia, przewyższająca nawet emocje, wywołane odkryciem Charliego i statku ganimedów. Reakcje były łatwe do przewidzenia – od podziwu do niechęci i epizodów komicznych.

Zwołano nadzwyczajną sesję Organizacji Narodów Zjednoczonych. Frederick James McClusky, szef delegacji Stanów Zjednoczonych, odchylił się w fotelu i rozejrzał po wypełnionych rzędach uformowanej półkuli sali. Tymczasem reprezentujący Stany Zjednoczone Europy Charles Winters ze Zjednoczonego Królestwa kończył swoje czterdziestominutowe wystąpienie:

– Podsumowując wyrażamy przekonanie, że pierwsze lądowanie istot pozaziemskich powinno mieć miejsce w granicach Wysp Brytyjskich. Język angielski stał się oficjalnie standardowym środkiem porozumienia w kwestiach społecznych, gospodarczych, naukowych i politycznych między wszystkimi rasami i populacjami na Ziemi. Symbolizuje on zniknięcie dzielących nas niegdyś barier i powstanie nowego ładu – harmonijnego współzycia, wzajemnego zaufania i kooperacji na całym globie ziemskim. Dlatego też jest rzeczą ze wszech miar właściwą, że właśnie w języku angielskim zamieniliśmy pierwsze słowa z istotami pozaziemskimi. Proszę także pamiętać o tym, że język Wysp Brytyjskich jest jedynym językiem, jaki dotąd poznał ganimedzki komputer. A więc, panowie, czy pierwszy ganimed, który postawi stopę na naszej planecie, nie powinien uczynić tego pod niebem kraju, który jest ojczyzną języka angielskiego?

Winters skończył mówić i powiódłszy błagalnym spojrzeniem po audytorium, usiadł przy akompaniamencie prowadzonych półgłosem rozmów i szelestu kartek. McClusky zanotował coś w swoim bloczku, po czym przejrzał dotychczasowe notatki.

Z rzadko spotykaną jednogłośnieścią rządy Ziemi wydały wspólne oświadczenie, w którym stwierdzały, że jeśli bezdomni przybysze z przeszłości zechcą, mogą osiedlić się na planecie. Po złożeniu tego oświadczenia zwołano dzisiejsze posiedzenie ONZ; szybko przerodziło się w gorączkową walkę przy drzwiach zamkniętych o to, któremu narodowi przypadnie w udziale zaszczyt przyjęcia istot pozaziemskich.

Na początku konferencji McClusky, zgodnie z instrukcjami Prezydenckiego Komitetu Doradczego i Departamentu Stanu w Waszyngtonie, upomniał się o prawa Stanów Zjednoczonych, wskazując na dominujący wkład Amerykanów w badania SKONZ wokół Jowisza. To Amerykanie odkryli istoty pozaziemskie – twierdził – i powinni je zatrzymać. Z kolei delegat sowiecki przez dwie godziny udowadniał, że skoro jego naród zajmuje większą powierzchnię niż jakikolwiek inny, reprezentuje tym samym całą planetę. Chińczycy natychmiast skontrolowali to stanowisko, zwracając uwagę, że to oni są najliczniejszym narodem Ziemi i wobec tego w myśl zasad demokracji bardziej zasługują na miano „większości”. Z kolei Izrael podniósł kwestię, że jego naród stanowi symbol bezdomnych grup mniejszościowych, co najlepiej oddaje sytuację ganimedów. Irak upomniał się o

pierwszeństwo, motywując swoje roszczenia faktem, że na terenie ich kraju mieszka najstarszy ze znanych ludów, podczas gdy jeden z delegatów afrykańskich, na odwrót, chlubił się tym, że jego naród jest najmłodszy.

W tym momencie McClusky miał tego wszystkiego zdecydowanie dość. Zdenerwowany rzucił długopis na bloczek i nacisnął guzik, wpisując się na listę chętnych do wystąpienia. W kilka minut później zapaliło się na jego pulpicie światelko, oznaczające, że przewodniczący udziela mu głosu. Wtedy McClusky powiedział do mikrofonu:

– Jak na razie ganimedzi nie wyrazili chęci przybycia na Ziemię, nie mówiąc o osiedleniu się na niej. Czy nie byłoby dobrze najpierw ich o to zapytać, zamiast tracić czas na kłótnie?

Uwaga wywołała dalszą dyskusję, w trakcie której nie udało się uniknąć dyplomatycznej rozwlekłości. W końcu sprawę odłożono do czasu otrzymania dodatkowych informacji.

Delegaci uzgodnili jednak pewną drobną kwestię, dotyczącą niedostatecznego przygotowania dyplomatycznej załogi SKONZ, oficerów, naukowców i pozostałego personelu przebywającego na Ganimedesie. Podkreślali wysokie ryzyko związane z przymusową rolą przedstawicieli i ambasadorów całej Ziemi, jaką musieli odgrywać ci ludzie. Ustalono tedy szereg wytycznych dla personelu SKONZ, podkreślając wagę ich odpowiedzialności; w szczególności przestrzegano załogę „przed wszelkimi nieprzemyślanymi i spontanicznymi wypowiedziami oraz działaniami, które istoty pozaziemskie o niewiadomej mentalności i zamiarach mogłyby odebrać jako prowokację...” Gdy wiadomość ta dotarła na miejsce i zgodnie z zaleceniami została przekazana całej załodze SKONZ, wywołała powszechną wesołość. Ziemianie tak mało wiedzieli o „mentalności i zamiarach” przybyszów, że odczytali im instrukcję z Ziemi.

Ganimedzi uznali to za żart.

Rozdział jedenasty

Warunki w Nadszybiu w porównaniu z Bazą Główną były spartańskie – mało kwater i tylko nieliczne udogodnienia. W ciągu kilku następnych dni, kiedy ganimedzcy eksperci prowadzili szczegółowe badania wraku statku, przedstawiciele obu ras przemierzali się, co dało im możliwość lepszego poznania. Hunt wykorzystywał każdą nadarzającą się sposobność, by przyglądać się istotom pozaziemskim i zdobywać głębszy pogląd na ich sposób bycia oraz typy usposobień.

Najbardziej zmienną, różniącą ich od ziemian cechą, o czym już zdążył się dowiedzieć, stanowiło to, że nie znali w ogóle pojęcia wojny oraz żadnej formy stosowania przemocy. W czasie pobytu w Nadszybiu Hunt utwierdził się w przekonaniu, że wynika to z jakiegoś wspólnego im wszystkim czynnika; doszedł do wniosku, że ich umysł musi być zasadniczo inaczej zorganizowany. Ani razu nie dostrzegł u ganimeda choćby śladu agresywności. Nigdy się o nic nie spierali, nie okazywali oznak zniecierpliwienia; wszystko wskazywało na to, że w ogóle nie są w stanie odczuwać złości. Nie zdziwiło go to zbytnio, spodziewał się bowiem takiego opanowania po rasie znajdującej się tak daleko w rozwoju cywilizacji. Ale uderzył go ich zupełny brak reakcji emocjonalnych, które mogłyby uchodzić za społecznie akceptowalny sposób wyładowania bardziej pierwotnych instynktów. Ganimedzi pozbawieni byli zupełnie zmysłu współzawodnictwa i nie rywalizowali ze sobą, nawet w łagodnej i przyjaznej formie, która przyjęta jest wśród ziemian i stanowi dla nich urozmaicenie życia.

Dla ganimeda pojęcie „utruty twarzy” nic nie znaczyło. Jeśli mu udowodniono, że nie ma racji, przyjmował to spokojnie; jeśli okazywało się, że ma rację, nie odczuwał satysfakcji. Ganimed potrafił w milczeniu przyglądać się z boku, jak ktoś wykonuje nieudolnie coś, co on potrafiłby zrobić sto razy lepiej; większość ziemian jest do tego niezdolna. W odwrotnej sytuacji ganimed bez skrzepowania prosi o pomoc. Nigdy nie bywa arogancki, autorytatywny, nie okazuje nikomu pogardy, a przy tym sam nigdy się nie poniża, nie bywa służalczy ani nie usprawiedliwia się; nigdy nie próbuje nikogo onieśmielić i sam nie bywa onieśmielony. Po prostu w tym, co ganimedzi mówili lub robili, czy też w sposobie, w jaki to mówili lub robili, nigdy nie było podświadomej chęci podkreślenia własnej pozycji lub wyższości. Tego rodzaju

zachowania ludzi wielu psychologów uważa za rytuał zastępczy, pozwalający rozładować instynktowną agresywność, którą wymogi życia społecznego nakazują tłumić. Jeśli to prawda, to wniosek z tych obserwacji mógł być tylko jeden: ganimedzi z niewyjaśnionych powodów byli wolni od tego rodzaju instynktów. Nie byli jednak istotami zimnymi, pozbawionymi całkowicie emocji. Jak wykazała ich reakcja na wiadomość o zniszczeniu Minerwy, mieli gorący temperament, byli zdolni do przyjaźni i głęboko uczuciowi – czasem w stopniu, który ziemianin „starej daty” uznałby za nie do przyjęcia. Ponadto obdarzeni byli wybitnym poczuciem humoru, zarazem bardzo subtelnym i wyrafinowanym, który można było dostrzec choćby w planie programowym ZORAKA. Jak już stwierdziła Szilohin, byli z natury ostrożni, co nie oznaczało jednak bojaźliwości – po prostu nie wykonywali nieprzemyślanych ruchów. Nigdy nie przystępowali do robienia czegokolwiek, jeśli nie wiedzieli dokładnie, co chcą przez to osiągnąć, dlaczego chcą to osiągnąć, w jaki sposób mogą to osiągnąć i co zrobią, jeśli działanie nie da spodziewanych wyników. Dla przeciętnego inżyniera z Ziemi katastrofa Iscarisa należała do kategorii spraw, o których albo należy jak najszybciej zapomnieć, albo podjąć jeszcze raz, licząc że tym razem się poszczęści. Dla ganimeda było niewybaczalne, że coś takiego mogło się wydarzyć; nawet teraz, po dwudziestu latach, jeszcze się z tym nie pogodzili.

Hunt uznał, że jest to rasa dumna i szlachetna, umiarkowana w mowie i wielkoduszna w zachowaniu, a mimo to towarzyska i przystępna. Ganimedzi nie okazywali podejrzliwości i braku zaufania, tak typowych dla obcych w społeczeństwach ziemskich. Byli spokojni, powściągliwi, pewni siebie, a nade wszystko rozumni.

– Jestem pewien, że gdyby cały wszechświat zwariował i wysadził się w powietrze, pozostałoby ganimedzi, by go na nowo poskładać – powiedział któregoś dnia w barze Danchecker w rozmowie z Huntem.

Bar w Bazie Nadszybia był głównym ośrodkiem życia towarzyskiego grupki przebywających tam ziemian i ganimedów. Co wieczór po kolacji przedstawiciele obu ras schodzili się dwójkami i trójkami, aż bar zaczynał pękać w szwach, a każdy metr kwadratowy powierzchni, nie wyłączając podłogi, zajęty był przez rozpartych w fotelach gości i porozstawiane szklanki i kieliszki. Rozmówcy przeskakiwali z tematu na temat i bezładne dyskusje trwały do białego rana; dla tych, którzy źle się czuli w samotności, był to jedyny możliwy sposób spędzania wolnego czasu w Bazie Nadszybia.

Ganimedzi spośród mocniejszych napojów upodobali sobie szkocką, przy czym najbardziej odpowiadała im czysta, którą pili całymi kubkami. Odwzajemniali się ziemianom własnym trunkiem, sprowadzanym z „Szapierona”. Niektórzy dawali się skusić; rektyfikat smakował nieźle, rozgrzewał mocno, był słodkawy i piekielnie mocny, a skutki odczuwało się dopiero po upływie dwóch godzin od wypicia. Ci, którzy tego doświadczyli, nazywali trunk GBZ – Ganimedzka Bomba Zegarowa.

W czasie jednego z takich wieczorów Hunt postanowił wreszcie poruszyć temat, który od pewnego czasu nie dawał spokoju wielu ziemianom. W barze zjawiała się Szilohin, przyszedł również Monczar, zastępca Garutha, a także czterech innych ganimedów; ze strony ziemian obecni byli Danchecker, elektronik Carizan i piątka innych.

– Jest coś, co nie daje nam spokoju – zaczął Hunt, który zdążył już poznać skłonność ganimedów do mówienia wszystkiego otwarcie. – Zdajecie sobie na pewno sprawę z tego, że my, mając obok siebie istoty, które widziały Ziemię taką, jaka była dawno temu, chcielibyśmy ich o wszystko wypytać, a tymczasem wy unikacie tego rodzaju rozmów. Dlaczego?

Jego słowa spotkały się z pomrukiem aprobaty kilku ziemian. W sali zapanowała nagła cisza. Ganimedzi znów sprawiali wrażenie zaniepokojonych i popatrywali po sobie, jakby mając nadzieję, że ktoś inny zdejmie z nich ten ciężar.

Wreszcie ciszę przerwała Szilohin.

– Niewiele wiemy o waszym świecie. To delikatna sprawa. Wasza kultura i historia są dla nas czymś zupełnie obcym... – mówiła, wykonując gest odpowiadający u ludzi wzruszeniu ramion. – Zwyczaje, system wartości, formy zachowania... przyjęty sposób wypowiedzania poglądów. Boimy się dotknąć kogoś niechcący i dlatego wolimy o tym nie rozmawiać.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco.

– Uważamy, że postępujecie tak z głębszych powodów – rzekł otwarcie Hunt. – My wszyscy, mimo różnicy pochodzenia, jesteśmy uczonymi. Naszym celem jest prawda i nie powinniśmy bać się faktów. Spotkaliśmy się na gruncie towarzyskim, znamy się dobrze. Chcielibyśmy, żebyście odpowiedzieli szczerze na to pytanie. Jesteśmy bardzo ciekawi.

Atmosfera stała się napięta. Szilohin znów zerknęła na Monczara, który spokojnie skinął głową, pozwalając jej mówić. Ganimedka, zbierając myśli, sączyła wolno resztkę szkockiej, po czym odstawiała szklanke i powiodła spojrzeniem po obecnych.

– A więc dobrze – powiedziała. – Może rzeczywiście lepiej będzie powiedzieć całą prawdę. Otóż istniała zasadnicza różnica między procesem ewolucyjnym u was i u nas. Na Minerwie nie rozwinęły się zwierzęta mięsożerne.

Tu przerwała w oczekiwaniu na uwagi, ale ziemianie milczeli; wątpliwości były bezpodstawne. Nagle poczuła ulgę. Być może niepotrzebnie obawiali się gwałtownych reakcji tej nieobliczalnej, agresywnej rasy.

– Najważniejszą przyczyną tych różnic ewolucyjnych, możecie w to wierzyć lub nie, był fakt większego oddalenia Minerwy od Słońca – stwierdziła i zaczęła wyjaśniać: – Gdyby nie efekt cieplarniany, o którym już wiecie, życie na Minerwie w ogóle by się nie rozwinęło. Mimo wszystko była to chłodna planeta, w każdym razie w porównaniu z Ziemią.

Ale efekt cieplarniany utrzymywał oceany minerwańskie w stanie ciekłym; podobnie jak na Ziemi, życie powstało w strefie przybrzeżnej. Panujące na Minerwie warunki nie sprzyjały rozwojowi wyższych form życia, tak jak na Ziemi. Proces ewolucyjny przebiegał tu wolniej.

– Ale przecież istoty inteligentne pojawiły się na Minerwie dużo wcześniej niż na Ziemi – wtrącił ktoś. – Trochę to dziwne.

– To z powodu oddalenia od Słońca – odparła Szilohin. – Po prostu Minerwa szybciej ostygła i życie powstało tam wcześniej.

– Rozumiem.

– Schematy ewolucji naszych dwóch światów były na początku zdumiewająco do siebie podobne – podjęła Szilohin. – Powstały złożone białka, które następnie przekształciły się w samoreprodukujące się cząsteczki, a te dały początek żywym komórkom. Najpierw pojawiły się formy jednokomórkowe, potem kolonie komórek, a wreszcie wielokomórkowe organizmy o wyspecjalizowanych organach. Były to formy bezkręgowców żyjących w środowisku wodnym.

Punktem zwrotnym, w którym w wyniku różnic środowiskowych te dwie linie ewolucyjne rozeszły się, było pojawienie się kręgowców morskich – ryb kostnych. Osiągnąwszy tę fazę rozwoju, gatunki minerwańskie nie mogły rozwijać się dalej, póki nie rozwiązały podstawowego problemu, z jakim nie zetknęły się pokrewne gatunki na Ziemi. Problemem tym było po prostu chłodniejsze środowisko.

Otóż gdy minerwańskie ryby zaczęły się doskonalić, bardziej złożone procesy życiowe oraz wyżej rozwinięte organy wymagały większych ilości tlenu. A ze względu na niską temperaturę środowiska to zapotrzebowanie już i tak było znaczne. Prymitywne układy krążenia wczesnych ryb minerwańskich nie mogły sobie poradzić z problemem dostarczania do komórek dużych ilości tlenu przy jednoczesnym usuwaniu z nich produktów przemiany materii i toksyn. W każdym razie było to nie do pogodzenia z dalszym doskonaleniem się tych organizmów.

Tu znów przerwała, by umożliwić słuchaczom stawianie pytań. Ale wszyscy byli tak zafascynowani wykładem, że woleli jej nie przerywać.

– Jak to zwykle bywa w takich sytuacjach – podjęła przerwany wątek – natura próbowała alternatywnych rozwiązań. Najefektywniejszy okazał się system podwójnego układu krążenia; układ wtórny rozwinął się analogicznie do pierwotnego i wszystkie przewody i naczynia krwionośne tego pierwszego zostały zduplikowane. Układ prymarny zajmował się odtąd wyłącznie rozprowadzaniem krwi i tlenu w organizmie, układ wtórny zaś przejął funkcję usuwania toksyn.

– Ależ to nadzwyczajne! – nie mógł się powstrzymać Danchecker.

– Tak, profesorze, w porównaniu z tym, do czego pan przywykł, to rzeczywiście niezwykła rzecz.

– Jedna sprawa – w jaki sposób różne substancje znajdowały drogę do właściwego układu?

– Membrany osmotyczne. Chce pan, żebym to wyjaśniła szczegółowo?

– Nie, dziękuję – podniósł dłoń Danchecker. – Może innym razem. Proszę mówić dalej.

– Dobrze. No cóż, gdy ten schemat budowy dostatecznie się udoskonalił i utrwalił, nic już nie stało na przeszkodzie rozwojowi wyższych form życia. Pojawiły się mutacje, środowisko narzucało zasady doboru naturalnego, i życie w oceanach minerwańskich różnicowało się stopniowo, przybierając formy różnych gatunków. Po jakimś czasie, jak państwo się domyślają, powstały gatunki mięsożerne...

– Przecież mówiła pani, że na Minerwie ich nie było – zaproponował ktoś z sali.

– To nastąpiło później. Ja mówię o początkach.

– Rozumiem.

– Doskonale. A więc na scenie zjawiły się ryby drapieżne i natura – tego też się państwo domyślają – zatroszczyła się o ochronę ofiar. Ryby, które dążąc do wyższego rozwoju, wytworzyły podwójny układ krążeniowy, zastosowały bardzo efektywny sposób obrony. Otóż w wyniku absolutnego odizolowania wzajemnego obu układów, stężenie toksyn w układzie wtórnym osiągnęło poziom śmiertelności. Innymi słowy ryby te stały się trujące. Oddzielenie systemu wtórnego od prymarnego uniemożliwiało przedostanie się toksyn do krwi, co musiałoby się skończyć fatalnie dla właściciela.

Carizan zmarszczył czoło, zastanawiając się nad czymś. Pochwyciwszy spojrzenie Szilohin, podniósł rękę prosząc, by zatrzymała się na chwilę w tym miejscu.

– Nie bardzo widzę, na czym by tu miała polegać obrona – powiedział. – Co mi przyjdzie z zatrucia drapieżnika, kiedy on już zdążył mnie zjeść? Na wszystko byłoby za późno.

– Z punktu widzenia osobnika, który miał pecha natknąć się na drapieżnika, jeszcze tego nieświadomego – zgoda – przyznała Szilohin. – Ale proszę nie zapominać, że natura hojnie tworzy poszczególne osobniki; chodzi jej wyłącznie o zachowanie gatunku. Proszę zwrócić uwagę na to, że przeżycie lub wyginięcie gatunku może zależeć od tego, czy powstanie mocna linia drapieżników, dla których ten właśnie gatunek będzie podstawowym pokarmem. W sytuacji, o jakiej mowa, nie było możliwości rozwoju odpowiednich drapieżników; gdyby powstała mutacja o takich właśnie upodobaniach, cały gatunek uległby zagładzie po pierwszych próbach pofolgowania swym instynktom. Osobniki takie nie miałyby najmniejszej szansy przekazania potomstwu cechy powstałej w wyniku mutacji, tak że nie mogłaby się ona wzmocnić w następnych pokoleniach.

– Jest jeszcze jedna sprawa – zawołał jeden z biologów SKONZ. – Młode osobniki naśladują formy żerowania rodziców... przynajmniej na Ziemi. Jeśli tak samo było na Minerwie, to młode, jeśli zdołało się urodzić, naśladowało zachowania rodziców, którzy unikali trujących ryb. Musiało tak być, gdyż żaden mutant, który ich nie unikał, nie mógł przeżyć tak długo, by stać się rodzicem.

– To samo można obserwować u owadów ziemskich – wtrącił Danchecker. – Niektóre gatunki naśladują barwy os i pszczoł i choć są zupełnie niegroźne, drapieżniki je omijają. Tu działa ta sama zasada.

– W porządku, to jasne – zawołał Carizan, dając ręką znak Szilohin, by mówiła dalej.

– Tak więc ostatecznie na Minerwie rozwinęły się trzy grupy zwierząt wodnych: typ mięsożerny, niemięsożerne nietrujące, które rozwinęły inne mechanizmy obronne, i wreszcie niemięsożerne trujące. Te ostatnie miały najlepszy system obronny i, pozostawione w spokoju, rozwijały się dalej, mając już i tak uprzywilejowaną pozycję.

– A więc to nie zmniejszyło ich odporności na zimno? – padło pytanie.

– Nie, wtórny układ krążeniowy u tych gatunków spełniał nadal swą zasadniczą funkcję. Jak już mówiłam, jedyna różnica w stosunku do punktu wyjścia polegała na tym, że w układzie wtórnym wzrosło stężenie toksyn i został on całkowicie odizolowany od układu prymarnego.

– Wszystko jasne.

– Świetnie. Idźmy dalej. Obie grupy niemięsożernych musiały zdobywać pokarm, konkurowały więc ze sobą, żywiąc się czym popadło: roślinami, prymitywnymi bezkręgowcami, substancjami organicznymi pochodzenia wodnego i tak dalej. Ale Minerwa była zimna i nie obfitowała w tego typu pokarm, jak to ma miejsce choćby na Ziemi. Gatunki trujące były lepiej przystosowane i stopniowo wzięły górę. Populacja nietrujących niemięsożernych zmniejszała się, a tym samym zmniejszała się populacja mięsożernych, które się nimi żywiły. W końcu wykształciły się dwie odrębne grupy zwierząt: gatunki nietrujące, ustępując pola trującym, przeniosły się na pełne morze, a w ślad za nimi poszły mięsożerne. Obie te grupy ewoluowały następnie w kierunku ryb głębinowych i prawdopodobnie osiągnęły w końcu stan równowagi biologicznej. Ryby trujące pozostały wyłącznymi panami wód płytszych, przybrzeżnych; z nich to rozwinęły się później zwierzęta lądowe.

– Chce pani powiedzieć, że wszystkie zwierzęta lądowe, które powstały w wyniku ewolucji, zachowały podwójny układ krążenia? – nie posiadał się ze zdumienia Danchecker.

– Wszystkie były trujące?

– Właśnie tak – odparła ganimedka. – W tym czasie cecha ta utrwaliła się jako zasadniczy element ich budowy – podobnie ma się rzecz u wielu gatunków kręgowców na Ziemi. Była to cecha dominująca, która dziedziczyła się w prawie nie zmienionej postaci...

Szilohin przerwała, gdyż na sali podniósł się stłumiony gwar; dały się słyszeć pojedyncze zdumione okrzyki. Słuchacze poczęli sobie uświadamiać implikacje tego faktu. Po chwili ktoś z końca sali wyraził to głośno:

– To wyjaśnia w zupełności to, o czym wspomniała pani na początku: że na Minerwie nie było później mięsożernych. Nie mogły przetrwać, nawet gdyby od czasu do czasu pojawiały się takie osobniki.

– Właśnie – potwierdziła Szilohin. – Prawdopodobnie zdarzały się pojedyncze mutanty tego rodzaju, ale, jak pan słusznie zauważył, osobniki takie nie mogły przetrwać. Toteż na Minerwie rozwinęły się wyłącznie lądowe zwierzęta roślinożerne. Ich linia rozwojowa jest inna od ewolucji zwierząt ziemskich, gdyż warunki doboru na Minerwie były inne niż na

Ziemi. Nie ewoluowały według zasady „walcz lub uciekaj”, gdyż nie istniało tam nic, przed czym trzeba się było bronić lub uciekać. Dlatego też u zwierząt tych nie rozwinęły się wzorce zachowania oparte na strachu, złości czy agresji, gdyż emocje takie z punktu widzenia możliwości przeżycia były bezwartościowe; cechy te nie były więc wzmacniane drogą dziedziczenia. Nie rozwinęły się gatunki szybkobiegaczy, gdyż nie było drapieżników, przed którymi należało uciekać; nie było też potrzeby rozwijania kamuflażu. Nie było ptaków, gdyż nie istniał czynnik, który stymulowałby ich powstanie.

– Te obrazki na ścianach! – zawołał Hunt, odwracając się gwałtownie do Dancheckera, gdyż nagle rozjaśniło mu się w głowie. – To nie są obrazki dla dzieci, Chris. To prawdziwe zwierzęta!

– Na Boga, Vic – profesor gapił się na niego i mrugał oczami dziwiąc się, dlaczego sam na to nie wpadł – masz rację! Oczywiście masz absolutną rację... To nadzwyczajne, musimy im się przyjrzeć dokładnie...

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz nagle przerwał, jakby uderzyła go jakaś inna myśl. Pociągając zmarszczone czoło czekał, aż sala się uspokoi, a gdy to nastąpiło, powiedział:

– Przepraszam, jest jeszcze jedna kwestia... Jeśli nie było w ogóle drapieżników, jaki czynnik regulował liczbę roślinożernych? Nie widzę żadnego mechanizmu zachowania równowagi.

– Właśnie zamierzałam o tym mówić – odparła Szilohin. – Odpowiedź jest prosta: przypadek. Najmniejsza rana czy zadrapanie powodowały przedostanie się trucizny z układu wtórnego do pierwotnego. Większość takich wypadków kończyła się dla zwierząt minierwańskich fatalnie. Dobór naturalny zapewnił też naturalną ochronę. Przeżyły gatunki, które miały lepszą ochronę: grubą skórę, gęste futro, łuski i tak dalej.

Ganimedka uniosła w górę dłoń, ukazując wydatne paznokcie i fałdy skórne na knykciach, po czym odchyliła kołnierzyk, odsłaniając biegnące wzdłuż ramienia delikatne, zachodzące na siebie łuski.

– Oto pozostałości dawnego systemu ochronnego – wyjaśniła.

Teraz Hunt nareszcie zrozumiał, dlaczego ganimedzi mieli taki pokojowy temperament. Po prostu już od samego zarania inteligencja pojawiła się nie z potrzeby wytwarzania broni, przechytrzenia wroga lub ofiary, lecz jako środek przewidywania i unikania fizycznego unicestwienia. Wśród pierwotnych ganimedów przyswajanie i przekazywanie wiedzy przybrało nadzwyczajny sens przetrwania. Ostrożność i rozwaga we wszystkim, zdolność analizowania wszelkich możliwych skutków jakiegoś działania wzmacniały się drogą doboru naturalnego; pośpiech i gwałtowność kończyły się źle.

Wywodząc się od takich przodków, mogli stać się jedynie pozbawionymi agresji, współdziałającymi istotami. Nie wiedzieli, co to współzawodnictwo i użycie siły przeciwko drugiemu. I dlatego nie rozwinęli żadnego z tych złożonych wzorców zachowań, jakie na wyższym szczeblu rozwoju stanowią „normalny” wyraz atawistycznych instynktów. Tu Hunt

zaczął się zastanawiać, co dla nich jest „normalne”. Jakby czytając w jego myślach, Szilohin sformułowała definicję normalności w pojęciu ganimedów.

– Możecie sobie teraz wyobrazić sposób, w jaki – na początku rozwoju naszej cywilizacji – pierwsi ganimedzcy myśliciele patrzyli na otaczający świat. Byli pełni uznania dla natury, która w swej nieskończonej mądrości wprowadziła naturalny porządek pomiędzy wszystkimi organizmami żywymi: słońce żywiło rośliny, a rośliny żywiły zwierzęta. Ganimedzi zaakceptowali ten naturalny porządek wszechświata.

– Jako boski plan stworzenia – odpowiedział ktoś z sali. – Brzmi to jak religijny punkt widzenia.

– Ma pan rację – odparła Szilohin, zwracając się ku mówiącemu. – W początkach naszej historii przeważały religijne poglądy na świat. Zanim lepiej poznano prawdy naukowe, wiele tajemnic, których nasz lud nie rozumiał, przypisywano działaniu jakiejś wszechmogącej instancji, czegoś podobnego do waszego Boga. W myśl dawnych nauk naturalny porządek życia jest wyrazem kierującej światem mądrości... Wy powiedzielibyście: wolą bożą.

– Z wyjątkiem głębin morskich – wtrącił Hunt.

– To również było zgodne z całą ideą – odparła Szilohin. – Myśliciele religijni naszej rasy widzieli w tym karę za grzechy. Na początku świata mieszkańcy głębin morskich sprzeciwili się prawu. Karą za grzechy dla tych, którzy łamali prawo, było zesłanie do najgłębszych i najciemniejszych zakątków oceanu, co na zawsze pozbawiało ich widoku słońca.

– To coś jak wypędzenie z raju – szepnęła Danchecker, nachylając się do Hunta. – Ciekawa paralela, nie wydaje ci się?

– Mhm... z kotлетem schabowym zamiast jabłka – mruknął Hunt.

Szilohin zamilkła i podsunęła barmanowi szklanekę, by ją napełnił. W barze było cicho; ziemianie musieli przetrwać wszystko, co powiedziała. Wreszcie ganimedka pociągnęła łyk szkockiej i wróciła do przerwane go wykładu.

– A więc jak widzicie, ganimedzi uważali naturę za doskonałą w jej harmonii i piękną w tej doskonałości. Nawet wtedy, gdy rozwinęła się nauka i zaczęli poznawać prawdę o wszechświecie, nie zapomnieli o harmonii, istniejącej w naturze. Choćby wiedza zaprowadziła ich do najdalszych krańców uniwersum, nigdy nie porzucą poglądu, że prawa natury rządzą wszędzie doskonale. Czyż mieli jakikolwiek powód, by sądzić inaczej?

Zamilkła i wolno powiodła wzrokiem wokoło, jakby badając wyraz twarzy swych słuchaczy.

– Chcieliście, żebym odpowiedziała szczerze – powiedziała wreszcie i znów urwała na chwilę. – Pewnego dnia zrealizowaliśmy swoje odwieczne marzenie: wyruszyliśmy w przestrzeń kosmiczną, by poznać cuda innych światów. I gdy wreszcie, wciąż przepelnieni swymi idyllicznymi poglądami, przybyliśmy na Ziemię i zobaczyliśmy, ile na niej barbarzyństwa i jaką jest dżunglą – doznaliśmy szoku. Nazwaliśmy Ziemię Planetą-Zmorą.

Rozdział dwunasty

Inżynierowie ganimedzcy stwierdzili, że wrak statku dostarczy części potrzebnych do naprawy napędu głównego „Szapierona” i że prace remontowe potrwać dwa do trzech tygodni. Między Bazą Nadszybia a Bazą Główną uruchomiono stałe połączenie promowe, a technicy i uczeni obu ras połączyli swe wysiłki, by sprostać zadaniu. Rzecz jasna, stroną techniczną przedsięwzięcia zajęli się ganimedzi, ziemianie natomiast odpowiadali za transport, logistykę i warunki zakwaterowania. Grupy ekspertów SKONZ zapraszane były na „Szapierona” w charakterze obserwatorów prowadzonych prac; ziemianie przysłuchiwali się w niemym zdumieniu, gdy wyjaśniano im tajniki i zawiłości ganimedzkiej nauki. Wybitny nukleonik z Jowisza Pięć orzekł, że czuł się przy tym jak „pomocnik hydraulika, któremu pokazują reaktor syntezy jądrowej”.

W tym czasie w Bazie Głównej zespół specjalistów SKONZ przygotował dla ZORAKA przyspieszony kurs teorii i technologii komputerów ziemskich. Rezultatem tych wysiłków był program konwersji kodu oraz system interfejsów – przy czym większość pracy wykonał sam ZORAK – które umożliwiły komputerowi ganimedzkiemu włączenie się w sieć komunikacyjną Bazy, a tym samym w kompleks komputerowy Jowisza Pięć. Pozwoliło to ZORAKOWI, a przez niego wszystkim ganimedom, wchodzić do banków danych na J5, będących kopalnią wiadomości dotyczących wielu aspektów życia ludzi, historii, geografii i ziemskiej nauki, a apetyty ganimedów w tym względzie były nienasycone.

Któregoś dnia w sali łączności Centrum Kontroli Misji Kwatery Głównej Sztabu Operacyjnego SKONZ w Galveston zapanowała konsternacja, gdy w głośnikach rozległ się nagle jakiś obcy głos. Był to jeden z dowcipów ZORAKA, który opracował swoje osobiste przesłanie do ziemian i przekazał komunikat za pośrednictwem łącza laserowego między Jowiszem i Ziemią.

Ziemia domagała się, rzecz jasna, coraz to nowych informacji o ganimedach. Na konferencji prasowej zwołanej specjalnie dla światowej sieci agencyjnej grupa ganimedów odpowiadała na pytania uczonych i reporterów należących do misji Jowisza Pięć.

Spodziewano się licznej publiczności, a ponieważ żadne z pomieszczeń Bazy Głównej nie było dość obszerne, ganimedzi zgodzili się odbyć konferencję na „Szapieronie”. Hunt wraz z grupą innych osób przyleciał w tym celu z Bazy Nadszybia.

Pierwsze pytania dotyczyły zaplecza naukowego oraz zasad działania „Szapierona”, zwłaszcza jego systemu napędowego. Odpowiadając na nie ganimedzi stwierdzili, że domysły uczonych SKONZ były w zasadzie prawidłowe, choć nie ujmowały całej prawdy. System masywnych terroidów zawierających miniaturowe czarne dziury wirujące po zamkniętym obwodzie rzeczywiście generował znaczne zmiany potencjału grawitacyjnego, dzięki czemu powstawała strefa intensywnych zaburzeń czasoprzestrzeni; ale nie była to jeszcze właściwa siła napędowa statku. Ruch wirowy czarnych dziur wytwarzał punkt skupienia w centrum terroidów, w którym podlegała anihilacji drobina materii; uwalniająca się energia grawitacyjna była proporcjonalna do masy zanihilowanej materii. Zjawisko to nie jest jednak tak proste jak klasyczna zasada siły przyłożonej do punktu centralnego. Ganimedzi opisali obrazowo uzyskany efekt jako przypominający „naprężenie w strukturze czasoprzestrzeni otaczającej statek...” To właśnie owa fala naprężenia, rozchodząc się w przestrzeni, pociągała za sobą statek.

To, że ganimedzi potrafili na życzenie powodować anihilację materii, było zdumiewające, rewelacją dla ziemian był również fakt, że anihilacja prowadzi do sztucznych zjawisk grawitacyjnych. A już prawdziwym objawieniem okazało się stwierdzenie, że technika ta stanowiła jedynie sposób kontrolowania naturalnych procesów, które przebiegają zawsze i wszędzie w całym uniwersum. Bo takie było prawdziwe źródło grawitacji w przyrodzie; wszelkie formy materii nieustannie ulegają unicestwieniu – jakkolwiek jest to proces niesłychanie powolny – a źródłem efektu grawitacyjnego masy jest nieprzerwana anihilacja cząsteczek podstawowych. Akt anihilacji pojedynczej cząsteczki generuje mikroskopijny, krótkotrwały puls grawitacyjny; efekt sumaryczny przebiegających w każdej sekundzie milionów takich anihilacji daje na płaszczyźnie makroskopowej wrażenie stałego pola. Okazało się więc, że grawitacja nie jest zjawiskiem stałym i pasywnym, zachodzącym gdy zaistnieje odpowiednia masa; przestawszy być zjawiskiem wyjątkowym i nie pasującym do reszty obrazu, grawitacja podporządkowała się ogólnym zasadom pól fizycznych i okazało się, że jej wielkość zależy od wielkości zmiany czegoś – w tym wypadku wielkości zmiany masy. Zasada ta w połączeniu z odkryciem środków kontroli procesu naturalnego stała się fundamentem ganimedzkiej inżynierii grawitacyjnej.

Rewelacje te wprawiły w zdumienie uczestniczących w konferencji uczonych z Ziemi. Hunt stał się wyrazicielem ich wątpliwości pytając, w jaki sposób można pogodzić podstawowe zasady fizyki – na przykład prawo zachowania masy oraz momentu mechanicznego – z zasadą mówiącą, iż cząsteczki mogą ulegać anihilacji w dowolnym momencie. Te pieczołowicie hołubione podstawowe prawa okazały się ani nie podstawowe, ani w ogóle prawami. Tak jak dawniej mechanika Newtonowska, wobec precyzyjniejszych

modeli teoretycznych i udoskonalonych technik pomiarowych były jedynie aproksymacjami. Podobnie precyzyjne doświadczenia z falami świetlnymi podważyły prawa fizyki klasycznej i doprowadziły do sformułowania szczegółowej teorii względności. Ganimedzi zilustrowali ten problem następującym przykładem: tempo samounicestwienia się materii jest takiego rzędu, że kropla wody potrzebowałaby dziesięciu bilionów lat, by zniknąć całkowicie – jest to więc proces niewykrywalny przy możliwościach eksperymentalnych nauki ziemskiej. Dlatego też prawa, o których wspominał Hunt, mimo istnienia procesu anihilacji materii, okazują się całkowicie wystarczające, gdyż wynikające z nich błędy nie dają obserwowalnych różnic. Również zasady mechaniki Newtonowskiej odpowiadają potrzebom życia codziennego, choć teoria względności dokładniej opisuje rzeczywistość. Historia nauki minerwańskiej ukazała taki sam schemat własnego rozwoju; kiedy nauka ziemską osiągnie wyższy poziom, dokona takich samych odkryć i wysnuje podobne wnioski, poddając rewizji podstawowe prawa.

W ten sposób dyskusja zeszła na problem trwałości wszechświata. Hunt spytał, jak to możliwe, że wszechświat w ogóle jeszcze istnieje, a nawet ewoluuje, skoro cała materia, z jakiej się składa, permanentnie ginie w tempie wcale w wymiarze kosmicznym nie tak znów powolnym; do tej pory powinno było niewiele pozostać z całego uniwersum. Kosmos trwa wiecznie – brzmiała odpowiedź. Przez cały czas, jak przestrzeń kosmiczna długa i szeroka, powstają samoistnie nowe cząsteczki, podobnie jak inne samoistnie giną. Przy czym, co oczywiste, ten ostatni proces dokonuje się głównie w zwartych masach materii, gdzie cząstek jest najwięcej. Tak więc ewolucja w kierunku coraz to bardziej złożonych mechanizmów porządkowania chaosu – powstawanie cząsteczek podstawowych, obłoków międzygwiazdowych, gwiazd, planet, związków organicznych, a wreszcie życia i inteligencji – tworzy nie kończący się cykl, odwieczną scenę, na której nieprzerwanie rozgrywa się widowisko, choć poszczególni aktorzy przychodzą i odchodzą. U podłoża tego wszystkiego tkwi jednokierunkowa siła nacisku, powodująca nieustanne zastępowanie niższych poziomów organizacji wyższymi. Uniwersum jest rezultatem ścierania się dwóch przeciwstawnych podstawowych tendencji. Pierwsza z nich, którą ujmuje druga zasada termodynamiki, to tendencja wzrastania chaosu; druga, ujęta przez zasadę ewolucji, powoduje lokalne odwracanie procesu wzrostu entropii. W rozumieniu ganimedów pojęcie ewolucji nie odnosi się tylko do organizmów żywych, lecz obejmuje wszystkie procesy wzrastania uporządkowania, od powstania z plazmy międzygwiazdowej jąder atomów aż po umiejętność zbudowania superkomputera; w ramach powszechnego procesu coraz wyższej organizacji pojawienie się życia stanowi po prostu jeden z kamieni milowych na tej drodze. Zasadę ewolucji ganimedzi porównali do ryby płynącej pod prąd entropii; ryba i ów prąd symbolizowały w ich ujęciu owe dwie przeciwstawne siły, działające w kosmosie. Ewolucja zachodzi, ponieważ zachodzi dobór; dobór ma miejsce, gdyż w określony sposób działa zasada prawdopodobieństwa. Poddany ostatecznej analizie, wszechświat okazuje się kwestią statystyki.

Tak więc cząsteczki pojawiają się, przeżywają właściwy sobie okres i giną. Ale skąd przychodzą i dokąd odchodzą? Oto pytanie, jakie stawiała sobie nauka ganimedzka w chwili, gdy „Szapieron” opuszczał Minerwę. Cały postrzegalny zmysłami wszechświat porównywano do płaszczyzny geometrycznej, przez którą przesuwa się cząsteczka, obserwowalna w tym okresie swego bytu, kiedy bierze udział w historii ewolucji galaktyk. Ale w jakiego rodzaju superuniwersum zanurzona jest owa płaszczyzna? Jaka jest prawdziwsza natura wszystkiego, co obserwujemy jedynie jako blady i niejasny cień? Oto były zagadki, z którymi pasowali się uczeni na Minerwie, a których rozwiązanie – byli o tym przekonani – przyniesie im klucz nie tylko do problemu podróży międzygalaktycznych, ale i do poznania takich obszarów bytu, których nawet oni nie potrafili sobie wyobrazić. Naukowcy z „Szapierona” zastanawiali się, ile z tych problemów zdołali rozwiązać pokolenia uczonych w ciągu milionów lat, jakie minęły od chwili, gdy „Szapieron” opuścił Minerwę. Czy nagłe zniknięcie całej cywilizacji wiązało się z odkryciem jakiejś prawdy o wszechświecie, o której nikomu się nie śniło?

Reporterzy interesowali się pragmatycznymi podstawami cywilizacji minerwańskiej, zwłaszcza środkami prowadzenia wymiany handlowej między poszczególnymi osobami i całymi organizacjami. Gospodarka wolnorynkowa oparta na systemie monetarnym w wypadku istot tak pozbawionych ducha współzawodnictwa jak ganimedzi była nie do pomyślenia. Zachodziło więc pytanie, jakimi sposobami istoty pozaziemskie posługiwały się przy ocenie i kontroli zobowiązań jednostki względem reszty społeczeństwa.

Ganimedzi stwierdzili, że ich system funkcjonował bez pomocy sił motywacyjnych związanych z zyskiem i nie wymagał żadnej formy płatności. Była to jeszcze jedna dziedziną, w której zasadniczo odmienna psychologia i uwarunkowania ganimedów uniemożliwiały płynny dialog, gdyż goście nie mogli zrozumieć wielu przejawów życia, które na Ziemi były czymś oczywistym. Myśl, że potrzebny jest jakiś system gwarancji, że jednostka musi wkładać do puli społecznej przynajmniej tyle samo, ile z niej bierze, wydała im się niezrozumiała, podobnie jak ustalanie standardu „normalnej” relacji typu daje-bierze; jak twierdzili, każda jednostka ma swój własny miernik w tym względzie, pozwalający jej funkcjonować optymalnie w społeczeństwie, i wybór modelu należy do jej podstawowych praw. Pojęcie konieczności materialnej lub jakiegokolwiek formy przymusu sprawiającego, że jednostka żyje nie tak, jakby tego pragnęła, wydało się ganimedom groteskowym naruszeniem zasad wolności i godności osobistej. Nie mogli zrozumieć, dlaczego miałyby być rzeczą konieczną organizowanie życia społecznego w oparciu o takie zasady.

Ale – argumentowali ziemianie – czy istnieje inny sposób zapobieżenia temu, by jednostka stała się wyłącznie biorcą, nie dając nic w zamian? A jeśli nie, to czy społeczność ma jakiegokolwiek szansę przetrwania?

I tym razem ganimedzi zdawali się nie rozumieć, na czym polega problem. Przecież jednostka ma instynktowną potrzebę dawania i zaspokajanie tej potrzeby jest jednym z

podstawowych wymogów życia. Dlaczego – dziwili się – ktoś miałby dobrowolnie pozbawiać się satysfakcji płynącej ze świadomości, że jest potrzebny innym? Ten właśnie instykt przydatności, miast pobudek finansowych, stanowił siłę motywacyjną ganimeda – on po prostu nie mógłby żyć bez poczucia, że jest komuś potrzebny. Ganimed taki po prostu jest. Najgorsze, co mogłoby mu się przydarzyć, to żyć na koszt społeczeństwa, nie mogąc mu nic dać w zamian. Każdy, kto wybierał ten sposób życia, traktowany był na Minerwie jako anomalia społeczna, jak ktoś, kto potrzebuje pomocy psychiatry, osobnik, któremu należy współczuć jak upośledzonemu umysłowo dziecku. To, że taki model życia na Ziemi dość powszechnie uważany jest za spełnienie marzeń, utwierdziło ganimedów w przekonaniu, że gatunek homo sapiens odziedziczył po selenitach wiele przykrych ułomności. Wyrazili przy tym optymistyczny pogląd, do jakiego doszli po zapoznaniu się z kilkoma ostatnimi dziesięcioleciaми historii rodzaju ludzkiego, że natura powoli naprawia te błędy.

Gdy konferencja dobiegła końca, Hunt stwierdził, że zaschło mu w gardle i chętnie by się czegoś napił. Zapytał ZORAKA, czy gdzieś w pobliżu można dostać coś do picia, po czym zgodnie z jego instrukcją wyszedł przez główne drzwi pomieszczenia, w którym się znajdował, i skręciwszy w prawo, doszedł korytarzem do holu, gdzie podawano napoje orzeźwiające. Zamówił GBZ z coca-colą – najnowszy hit fuzji dwu kultur; automatyczne urządzenia obsługi zawirowały i po chwili odebrał żądany trunek w jednostce dystrybucyjnej.

Rozglądając się w poszukiwaniu wolnego miejsca, odnotował mimochodem fakt, że jest tu jedynym ziemianinem. Było kilku pojedynczych gości, siedzieli również małymi grupkami, lecz większość miejsc była wolna. Upatrzywszy sobie stolik z paroma wolnymi fotelami, podszedł i usiadł. Poza jednym czy dwoma zdawkowymi skinieniami głową, nie zauważył, by któryś z ganimedów zainteresował się nim; gospodarze przyzwyczaili się już do widoku obcych na statku. Spojrzał na popielniczkę i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Na moment zastygł w niedokończonym geście; uświadomił sobie nagle, że ganimedzi nie palą. Przyjrząwszy się jej bliżej, stwierdził, że należy do standardowego wyposażenia SKONZ. Rozejrzał się – na większości stolików popielniczki umieszczono. Jak zwykle ganimedzi pomyśleli o wszystkim – spodziewali się gości-ziemian z okazji konferencji. Westchnął, potrząsając głową w niemym podziwieniu, po czym zapadł w ogromną, luksusową tapicerkę, starając się o niczym nie myśleć.

Nie zauważył stojącej obok Szilohin i z zadumy wyrwał go dopiero brzmiały w tonacji ganimedki głos ZORAKA:

– Doktor Hunt, o ile się nie mylę? Dobry wieczór.

Podniósł szybko głowę. Poznał ją natychmiast. Skwitowawszy uśmiechem jej słowa, wskazał ręką wolny fotel. Szilohin usiadła, stawiając na stoliku szklaneczkę z napojem.

– Widzę, że wpadliśmy na ten sam pomysł – odezwała się. – To zajęcie pobudza pragnienie.

– Jeszcze jak!

– No... a jak było pana zdaniem?

– Wspaniale. Słuchali z otwartymi ustami... Pewnie teraz dyskutują zażarcie.

Szilohin wahała się przez chwilę, wreszcie spytała:

– Czy sądzi pan, że Monczar posunął się za daleko... że zbyt otwarcie krytykował wasz styl życia i system wartości? Na przykład to porównanie z selenitami...

Pałac papierosa, zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Nie, nie sądzę – odparł wreszcie. – Jeśli ganimedzi widzą nas w ten sposób, lepiej powiedzieć to otwarcie. Jeśli o mnie chodzi, uważam, że dawno już trzeba było wszystko wyjaśnić. Może ludzie zaczną się wreszcie nad sobą zastanawiać. Dobrze by było...

– Wolałam się upewnić – odparła z ulgą w głosie. – Trochę się już martwiłam.

– Nie sądzę, żeby to kogoś dotknęło – mówił dalej Hunt. – Na pewno nie uczonych; tych martwi raczej to, że zawalił się ich śliczny porządek praw fizyki. Chyba nie zdajecie sobie w pełni sprawy z tego, jaką wywołaliście burzę. Musimy przemyśleć wszystko na nowo – od samego początku. Wydawało nam się, że trzeba będzie dopisać tylko kilka dodatkowych stron, a tymczasem musimy całą książkę pisać od nowa.

– Chyba ma pan rację – przyznała. – Ale przynajmniej nie będziecie musieli cofać się tak daleko jak ganimedzi – i widząc jego zdziwione spojrzenie, wyjaśniła: – o tak, doktorze, proszę mi wierzyć, my przeszliśmy przez to samo. Odkrycie teorii względności oraz mechaniki kwantowej wywróciło nasze zasady fizyki klasycznej, tak samo jak w początkach dwudziestego wieku u was. A gdy już sobie wszystko na powrót poukładaliśmy, przeżyliśmy kolejne naukowe trzęsienie ziemi. Pojęcia, które przetrwały pierwszą rewolucję i uznane zostały za prawdy absolutne, okazały się fałszywe – trzeba było porzucić głęboko zakorzenione poglądy.

Spojrzała na swego rozmówcę, wykonując ganimedzki gest rezygnacji, i mówiła dalej:

– Wasi naukowcy i bez nas doszliby do wszystkiego, i to w niedługim czasie. Ale przy obecnym stanie waszego poznania możecie łatwiej odbić się od dna, gdyż my nauczymy was najważniejszych rzeczy. Za pięćdziesiąt lat będziecie latać takimi samymi statkami jak my.

– Wątpię – rzekł Hunt w zamyśleniu.

Wydawało mu się to nieprawdopodobne, lecz przypomniał sobie historię awiacji. Ile spośród kolonii w latach dwudziestych dwudziestego wieku spodziewało się, że za pięćdziesiąt lat będą niepodległymi państwami, dysponującymi własnymi odrzutowcami? A ilu Amerykanów mogło wtedy przypuszczać, że tyleż lat dzieli ich drewniane dwupłatowce od misji Apollo?

– A co będzie potem? – mruknął na wpuł do siebie. – Czy przyjdą następne rewolucje naukowe... poznamy rzeczy, które nawet dla was stanowią niewiadomą?

– Być może – odparła Szilohin. – Nakreśliłam obraz stanu wiedzy, do jakiej doszliśmy w czasach, gdy opuszczaliśmy Minerwę; potem wszystko mogło się zdarzyć. Ale popełniłby pan błąd myśląc, że my wiemy wszystko, że bodaj na tym poziomie rozwoju nauki wyczerpaliśmy

wszelkie możliwości. Nas też, odkąd przybyliśmy na Ganimesesa, spotykają niespodzianki. Ziemianie nauczyli nas rzeczy, których dotąd nie znaliśmy.

– Co pani ma na myśli? – spytał żywo zaskoczony Hunt. – Jakich rzeczy?

Ganimedka sączyła napój, zbierając myśli.

– No, choćby sprawa zwierząt mięsożernych. Jak pan wie, na Minerwie nie mieliśmy z tym do czynienia. Owszem, istniały jakieś gatunki ryb głębinowych, ale poza wąskimi specjalistami nikt się tym problemem nie interesował. Woleliśmy udawać, że nie istnieje.

– Tak, wiem o tym.

– Rzecz jasna, biolodzy ganimedzcy poznali zasady ewolucji i zrekonstruowali pochodzenie własnego gatunku. Przeciętny ganimed, jak już mówiłam, wierzył w jakiś boski porządek świata. Ale wielu uczonych zdawało sobie sprawę z jego przypadkowości. Z czysto naukowego punktu widzenia rzeczy wcale nie musiały być takie, jakie były. Naukowcy zaczęli się więc zastanawiać, co by było, gdyby wszystko potoczyło się inaczej... gdyby na przykład ryby mięsożerne nie wyemigrowały w głąb oceanów, lecz pozostały w wodach przybrzeżnych.

– Czyli, gdyby rozwinęły się wodno-łądowe i lądowe zwierzęta mięsożerne? – domyślił się Hunt.

– Właśnie. Niektórzy utrzymywali, że Minerwa jest taka, jaka jest, dzięki ślepemu przypadkowi, nie na mocy boskiego prawa. Zaczęli więc konstruować hipotetyczne modele systemów ekologicznych uwzględniających drapieżniki... Jako rodzaj zabawy intelektualnej, jak przypuszczam.

– Hm, ciekawe. I co z tego wyszło?

– Modele te były najzupełniej fałszywe – odparła Szilohin, wyraźnie podekscytowana. – Większość z nich prognozowała zwolnienie procesu ewolucji, jego degenerację i utknięcie na martwym punkcie, tak jak miało to miejsce w przypadku naszych ryb oceanicznych. Uczeni nie uwzględnili ograniczeń, jakie stwarza środowisko wodne, lecz wiązali taki smutny koniec z destrukcyjną naturą trybu życia tych zwierząt. Może pan sobie wyobrazić zdumienie, jakie ogarnęło członków pierwszej ganimedzkiej wyprawy na Ziemię, kiedy ujrzeli na własne oczy kwitnącą ekosferę lądową zwierząt mięsożernych. Nie wierzyli własnym oczom, jak rozwinięte i wysoce wyspecjalizowane organizmy się tam pojawiły. A poza tym ptaki! O czymś takim nawet im się nie śniło. Teraz pan już rozumie nasze zdziwienie na widok zwierząt, które nam pokazaliście w Bazie Nadszybia. Większość z nas słyszała o ich istnieniu, lecz nikt ich nie widział.

Hunt kiwał głową powoli. Wreszcie zaczynał rozumieć. Dla istot wzrastających w otoczeniu stworów wyobrażonych na rysunkach ściennych widok trilophodona, istnego chodzącego czołgu uzbrojonego w cztery olbrzymie kły, czy też szablozębej śmiercionośnej maszyny – smilodona, musiał być czymś okropnym. Zastanawiał się, jaki obraz wyrobili sobie ganimedzi o przerażającej arenie, która uformowała takich gladiatorów.

– A więc i na ten temat musieli na gwałt zmieniać zdanie – zauważył.

– I zmienili... Zrewidowali swoje teorie i uwzględniając dane z Ziemi, wypracowali zupełnie nowy model. Ale obawiam się, że i tym razem nie mieli racji.

Hunt nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

– Naprawdę? A co tym razem nie pasuje?

– Wasz poziom cywilizacji, rozwoju naukowo-technicznego – odparła Szilohin. – Wszyscy nasi uczeni byli zgodni co do tego, że model życia, jaki ujrzeli na Ziemi dwadzieścia pięć milionów lat temu, nie zaowocuje nigdy wysoko rozwiniętym gatunkiem. Twierdzili, że w takim środowisku inteligencja w jakiegokolwiek trwałej formie nie może się pojawić, a gdyby nawet, to zniszczy sama siebie, gdy tylko zdobędzie do tego środki. Wykluczona była jakakolwiek forma życia stadnego czy wykształcenia się społeczeństwa; podobnie niemożliwy miał być rozwój nauk, gdyż zakłada on system komunikacji i współpracy.

– A nasze istnienie dowiodło, że wszystko to było stekiem nonsensów, czy tak?

– Wprost nie do wiary! – entuzjazmowała się Szilohin. – Wszystkie nasze modele przewidywały, że dalszy rozwój form życia z okresu miocenu w stronę wyższej inteligencji uzależniony będzie od sprytu oraz coraz wymyślniejszych form przemocy; na takich podstawach powstanie jakiegokolwiek koherentnej cywilizacji nie jest możliwe. A jednak... to, co zastaliśmy po powrocie, było nie tylko po prostu cywilizowaną i rozwiniętą technologicznie cywilizacją, ale cywilizacją, mającą stałe przyspieszenie w swoim rozwoju. Wydawało nam się to niemożliwe, dlatego chcieliśmy się upewnić, czy rzeczywiście pochodzicie z trzeciej planety krążącej wokół Słońca – z Planety-Zmory.

Huntowi pochlebiały te uwagi. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, jak bliskie prawdy były mimo wszystko prorocтва ganimedów.

– Ale w gruncie rzeczy nie myliliście się tak bardzo, zauważył trzeźwo. – Proszę pamiętać o selenitach. Oni się rzeczywiście sami unicestwili w sposób, jaki przewidziały wasze modele, jakkolwiek wygląda na to, że rozwinęli się bardziej, niż wynikało z tych przewidywań. A my istniejemy tylko dlatego, że garstka ich przetrwała, choć szansa przeżycia była jedna na milion – to mówiąc potrząsnął głową i wypuścił kłęb dymu. – Osobiście nie miałbym takiego złego zdania o jakości waszych modeli. Były aż za bardzo bliskie prawdy, jeśli o mnie chodzi, nie ma co... aż za bardzo... Gdyby cecha, która sprawiła, że selenici byli tacy, jacy byli, nie uległa z biegiem czasu modyfikacji i osłabieniu, poszlibyśmy tą samą drogą i wasz model sprawdziłby się po raz drugi. Na szczęście mamy to już za sobą.

– I to jest właśnie najbardziej zdumiewające – zapaliła się Szilohin. – To, co jak sądziliśmy, stworzy nieprzekraczalne bariery dla postępu, okazało się waszym największym atutem.

– Co pani ma na myśli?

– Agresywność, determinację – to, że nigdy się nie poddajecie. Wszystko to jest głęboko wbudowane w charakter człowieka i stanowi zmodyfikowany, uszlachetniony i przystosowany do innych celów relikw zamierzchłych czasów. Ale to się właśnie stąd bierze. Może wy sami tego nie dostrzegacie, ale dla nas to jest oczywiste. Nie możemy wyjść z podziwu. Proszę zrozumieć, nigdy przedtem czegoś takiego nie widzieliśmy ani sobie nie wyobrażaliśmy.

– Danchecker mówił coś takiego – mruknął Hunt, lecz Szilohin, nie zwracając uwagi na jego słowa, ciągnęła dalej:

– My instynktownie unikamy niebezpieczeństwa – wynika to z naszej ewolucji... nie lubimy narażać się świadomie. Jesteśmy ostrożną rasą. Co innego ziemianie! Zdobywają góry, opływają samotnie w maleńkich łupinkach kulę ziemską, skaczą dla przyjemności z samolotów. Wszystkie wasze gry i zabawy są symulacją walki; w tym, co wy nazywacie „biznesem”, odżywa walka o przetrwanie – cecha procesu ewolucyjnego – i wojenna pasja; wasza „polityka” kieruje się zasadą odpowiadania siłą na siłę. – Tu zastanowiła się przez chwilę, po czym ciągnęła dalej: – To wszystko jest dla nas czymś nieznanym. Myśl, że może istnieć rasa, która na zagrożenia odpowiada wyzwaniem... nam nie mieści się w głowie. Przystudiowaliśmy dość dokładnie waszą historię. Wiele jest w niej rzeczy strasznych, ale na dnie tych wydarzeń tkwi coś głębszego, uderzającego. Człowiek napotykał potworne trudności, ale sposób, w jaki brał się z nimi za bary i w końcu zawsze zwyciężał... wyznaję, że jest w tym jakaś dziwna wielkość.

– Właściwie dlaczego? – spytał Hunt. – Dlaczego ganimedzi mieliby myśleć, że my, ziemianie, posiadamy jakąś niepowtarzalną zaletę, zwłaszcza że sami są inni? Osiągnęliście wszak to samo, a nawet więcej...

– Chodzi o czas, w jakim to osiągnęliście – odparła Szilohin.

– Czas?

– Wasz poziom rozwoju. To zdumiewające! Czy wy, ziemianie, zdajecie sobie z tego sprawę? Nie, nie sądzę, żeby wam to przyszło do głowy – znów spojrzała na niego bezradnie i po chwili ciągnęła: – Kiedy człowiek zaprzęgał do pracy siłę pary wodnej? Od pierwszego wzniesienia się w powietrze do lądowania na Księżycu upłynęło niecałe siedemdziesiąt lat! Już w dwadzieścia lat po wynalezieniu tranzystora połowa świata była skomputeryzowana...

– I to jest takie osiągnięcie w porównaniu z Minerwą?

– Osiągnięcie? To wprost cudowne! Nasz rozwój po prostu błędnie przy tym. A postęp jest coraz szybszy! Dlatego, że atakujecie przyrodę z taką samą furją, z jaką rzucacie się na wszystko, co staje wam na drodze. Nie ćwiartujecie się już tak jak dawniej, nie ścieracie z powierzchni ziemi całych miast, ale waszymi uczonymi, inżynierami, biznesmenami, politykami kieruje ten sam instynkt... Oni wszyscy lubią walczyć. Czują się w tym jak ryba w wodzie. Na tym polega różnica między nami. Ganimed uczy się dla samej wiedzy i rozwiązuje problemy niejako na marginesie; ziemianin stawia sobie jakiś problem i gdy go

rozwiąże, stwierdza, że się czegoś nauczył, ale tak naprawdę dla niego liczy się tylko dreszczyk walki. Garuth to świetnie podsumował, kiedy z nim rozmawiałam wczoraj. Zapytałam go, czy sądzi, że ziemianie wierzą w Boga, o którym mówią. I wie pan, co mi odpowiedział?

– Co takiego?

– „Kiedys uwierzą, skoro Go sami stworzyli”.

Hunt nie mógł powstrzymać uśmiešku; osłupienie Garutha było komplementem dla ziemian. Chciał już coś odrzec, gdy usłyszał w słuchawce głos ZORAKA:

– Przepraszam, doktorze Hunt.

– Słucham.

– Jakiś sierżant Bruchow prosi o chwilę rozmowy. Przełączyć?

– Przepraszam na moment – zwrócił się Hunt do Szilohin, po czym poprosił ZORAKA o przełączenie.

– Doktor Hunt? – głos jednego z pilotów SKONZ dobiegł wyraźnie do jego uszu.

– We własnej osobie.

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale zbieramy wszystkich, którzy wracają do Bazy Nadszybia. Za pół godziny odlatuję jednym z naszych transportowców i mam jeszcze wolne miejsca. W pół godziny po mnie leci też statek ganimedów i paru naszych chce się z nimi zabrać. Jest pan na liście wracających; proszę się zdecydować, z kim pan leci.

– Wie pan może, kto leci z ganimedami?

– Nie znam ich, ale stoją tu koło mnie; jesteśmy w wielkiej sali, gdzie odbywała się konferencja.

– Mógłby mi ich pan pokazać? – spytał Hunt.

Nacisnął guzik i w umieszczonym na jego przegubie monitoru pojawił się obraz, przekazany przez kamerę w opasce Bruchowa. Hunt od razu poznał znajome twarze ludzi z laboratoriów Bazy Nadszybia, wśród których byli Carizan i Frank Towers.

– Dziękuję za propozycję – powiedział Hunt – ale lecę z nimi.

– W porządku... zaraz, proszę się nie wyłączać... – jakieś szumy, po czym znów głos Bruchowa: – Jeden z nich pyta, gdzie pan jest.

– Proszę mu powiedzieć, że znalazłem bar.

Znów szumy i trzaski.

– Chce wiedzieć, gdzie to, u diabła, jest?

– Dobrze, niech pan spojrzy na tę ścianę – odparł Hunt. – A teraz proszę zwrócić głowę w lewo... jeszcze trochę... – mówił, śledząc przesuwający się na ekranie obraz. – Proszę się zatrzymać. Na wprost pana jest główne wyjście.

– Zgadza się.

– Po wyjściu tymi drzwiami trzeba skrócić w prawo i pójść korytarzem. Na pewno trafią. Trunki są na miejscu. Zamówienia za pośrednictwem ZORAKA.

- Zrozumiałem. Mówią, że będą tam za parę minut. Koniec, bez odbioru.
- Kanał wolny – oznajmił ZORAK.
- Przepraszam – zwrócił się Hunt do Szilohin. – Będziemy mieć towarzystwo.
- Ziemianie?
- Banda pijaków z Bazy. Zrobiłem błąd mówiąc im, gdzie jesteście.

Roześmiała się – teraz już umiał rozpoznać śmiech ganimedów – ale po chwili znów spoważniała.

– Sprawia pan na mnie wrażenie rozsądnego i zrównoważonego. Jest jedna rzecz, o której dotąd nie wspominaliśmy, obawiając się waszej reakcji, ale wydaje mi się, że teraz moglibyśmy o tym pomówić.

- Proszę bardzo.

Miał wrażenie, że gdy rozmawiał z pilotem, ganimedka myślała o tym. Jej zachowanie się zmieniło; dawała mu do zrozumienia, że to, co ma do powiedzenia, nie jest ściśle tajne, ale jego rozwadze pozostawia, jak wykorzysta te informacje. Zna przecież lepiej swoją rasę niż ona.

– Był jeden przypadek, gdy ganimedzi uciekli się do użycia przemocy... umyślnego zniszczenia życia.

Hunt milczał, nie wiedząc, jak na to zareagować.

– Zna pan problem Minerwy – podjęła Szilohin – który polegał na niebezpiecznym wzroście poziomu dwutlenku węgla. Najprostsze rozwiązanie stanowiłaby emigracja na inną planetę. Ale było to w czasach, gdy nie mieliśmy jeszcze takich statków jak „Szapieron”... zanim mogliśmy podróżować na inne gwiazdy. Pozostawał Układ Słoneczny. Oprócz Minerwy tylko jedna planeta wchodziła w grę.

Hunt zamrugał oczami; nie docierał do niego sens jej słów.

- Ziemia – powiedział wreszcie, wzruszając ramionami.

– Tak. Ziemia. Mogliśmy się przenieść na Ziemię. Jak pan wie, wysłaliśmy na Ziemię ekspedycję badawczą. Ale gdy przekazali nam wiadomość o środowisku, jakie tam zastali, wiedzieliśmy już, że nie rozwiążemy tak łatwo problemu migracji. Ganimedzi nie mieli szans przetrwania w dżungli, jaką stanowiła Ziemia.

- A więc zarzuciliście ten pomysł? – spytał Hunt.

– Nie, niezupełnie... Widzi pan, cała ziemiska ekosfera, zwierzęta ziemskie wydawały się wielu ganimedom czymś nienaturalnym, wprost przeciwieństwem życia; skazą na doskonałym wszechświecie, którą powinno się usunąć – mówiła, a Hunt, w miarę jak zaczynał pojmować sens jej słów, wlepił w nią coraz bardziej gorączkowe spojrzenie. – Powstał pomysł oczyszczenia planety z choroby, która ją opanowała. Należało wytępić życie ziemskie i przenieść na Ziemię organizmy minerwańskie. Ostatecznie – argumentowali zwolennicy tego pomysłu – byłoby to zgodne z ziemskimi regułami gry.

Hunt siedział osłupiały. Po wszystkim, czego się dowiedział o ganimedach, ma uwierzyć, że byli zdolni do zaplanowania czegoś takiego? Szilohin patrzyła na niego i zdawała się czytać w jego myślach.

– Większość ganimedów wystąpiła przeciw temu pomysłowi; był to sprzeciw instynktowny, absolutny i bezwarunkowy. Było to bowiem wbrew ich naturze. Fala protestów, jaka przetoczyła się przez Minerwę, nie miała sobie równych w całej naszej historii.

Ale wisiała nad nami groźba, że życie na Minerwie stanie się niemożliwe, i część naszego rządu uznała, że należy sprawdzić każdą możliwość. Wysłano na Ziemię sekretną misję, która miała wykonać eksperyment na małą skalę. – Widząc, że Huntowi cisną się na usta pytania, przerwała mu ruchem ręki. – Proszę mnie nie pytać, w jakim miejscu Ziemi założono kolonię i jakie stosowano metody, by osiągnąć zamierzony cel; już samo poruszenie tego tematu przychodzi mi z trudem. W niektórych rejonach w wyniku tych działań nastąpiło całkowite załamanie ekosystemu i w okresie, który wy nazywacie oligocenem, wiele gatunków zwierząt ziemskich wyginęło. Niektóre z tych obszarów do dziś pozostały pustyniami.

Hunt milczał, nie wiedząc co powiedzieć. Rewelacje, które usłyszał, zaszokowały go nie z powodu środków i celów, gdyż te dla ludzi nie były niczym nowym, lecz dlatego, że dowiedział się o tym tak niespodziewanie. Fakt był wstrząsający, ale nic poza tym. Dla ganimedów stanowił natomiast trwały uraz.

Szilohin, uspokojona brakiem gwałtownej reakcji ze strony słuchacza, ciągnęła dalej:

– Jak łatwo sobie wyobrazić, efekt psychologiczny wśród samych kolonistów był równie fatalny. Położono po cichu kres tej żalosalnej sprawie, która należy do najciemniejszych stron naszej historii. Chcielibyśmy o tym zapomnieć.

Z korytarza dobiegł gwar rozmów przerywanych donośnym śmiechem. Gdy Hunt z ulgą odwrócił głowę w kierunku drzwi, Szilohin dotknęła jego ramienia i zakończyła:

– Oto prawdziwy powód, doktorze Hunt, który powstrzymuje nas od mówienia o Ziemi z okresu oligocenu oraz o ówczesnych zwierzętach ziemskich.

Rozdział trzynasty

Zakończono wreszcie remont „Szapierona” i ganimedzi oznajmili, że mają zamiar odbyć próbny lot do najdalszych krańców Układu Słonecznego. Przewidywali, że podróż zajmie im około tygodnia.

W mesie w Bazie Nadszybia zebrało się towarzystwo uczonych, inżynierów i innych członków załogi SKONZ, by obserwować start, transmitowany z Bazy Głównej i wyświetlany na ekranie ściennym. Hunt, Carizan i Towers siedzieli przy stoliku w głębi sali, popijając kawę. W miarę jak odliczanie zbliżało się do zera, milkł gwar rozmów, aż wreszcie w sali zapanowała pełna napięcia cisza.

– Wszystkie statki SKONZ opuściły teren. Startujecie zgodnie z planem – dobiegło z głośnika wieży kontrolnej Bazy Głównej.

– Przyjąłem – rozległ się znajomy głos ZORAKA. – Wszystkie urządzenia w porządku. Startujemy. Au rewir za tydzień, ziemianie.

– Czekamy. Tymczasem.

Jeszcze przez kilka sekund olbrzymia, majestatyczna sylwetka statku z wciągniętą rufą i zamkniętymi wnękami ładowniczymi trwała nieruchomo, wznosząc się ponad nieregularnymi zabudowaniami widocznej na pierwszym planie bazy. Potem statek uniósł się wolno i prowadzony przez kamerę, sunął płynnie na dziewiczym tle gwiazd, póki na dole ekranu nie zniknęły ostatnie lodowe szczyty. Niemal natychmiast zaczął się zmniejszać, widoczny teraz w perspektywnym skrócie, zmieniając kąt nachylenia wraz z gwałtownym wzrostem prędkości.

– Rany, popatrz tylko na niego! – odezwał się jakiś głos w Bazie Głównej. – J5, macie go jeszcze na radarach?

– Smaruje jak błyskawica – odpowiedział mu inny. – Zaczynamy tracić go z oczu. Wizja się urwała. Musieli włączyć główny ciąg – ich pole naprężenia zamazuje echo. Obraz na skanerach optycznych też się zaciera... – i po chwili: – Koniec, odlecieli. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Fantastyczne!

I już było po wszystkim. Ten i ów w mesie Nadszybia gwizdnął przez zęby ze zdumienia, w ciszę wdarły się okrzyki, pomruki podziwu, aż wreszcie rozmowy zlały się w jednostajny, niezrozumiały szum. Na ekranie pojawił się znów widok Bazy Głównej, pusty jakiś i niepełny bez sterczącej w tle olbrzymiej sylwetki. Wystarczyło kilka tygodni, by życie na Ganimesdesie bez kosmicznych wielkoludów wydało się czymś nienaturalnym.

– No, muszę już iść – odezwał się Hunt wstając. – Chris chciał ze mną porozmawiać. – Zobaczymy się później.

Tamci dwaj podnieśli głowy.

– Dobrze. Tymczasem.

– Na razie, Vic.

Hunt ruszył do drzwi. Zauważył, że i w Nadszybiu odczuwa się brak ganimedów. Dziwne, że wszyscy musieli polecieć w próbny rejs; ale ziemianin na próżno suszyłoby sobie głowę, dlaczego... Uświadomił sobie też, że brak mu ZORAKA. Przyzwyczał się już do tego, że o dowolnej porze dnia i nocy, bez względu na to, gdzie się akurat znajduje, może porozumieć się z każdym, także z samym komputerem. ZORAK stał się jego przewodnikiem, nauczycielem i doradcą w jednej osobie – wszechwiedzącym i wszechobecnym towarzyszem. Poczul się nagle samotny. Ganimedzi mogli wprawdzie, dla utrzymania łączności z ZORAKIEM, zainstalować specjalną stację przekaźnikową, ale różnice w upływie czasu spowodowane prędkością „Szapierona”, jak również olbrzymia odległość statku i tak wkrótce uniemożliwiłyby porozumienie się z nimi. Hunt pomyślał, że najbliższy tydzień będzie mu się bardzo dłużył.

Zastał Danchekkera w laboratorium. Profesor zajęty był doglądaniem swej hodowli minerwańskich roślin, które zajmowały już każdy kąt pokoju i zdawały się szykować do ataku na korytarz. Okazało się, że pragnie omówić z Huntem teorię, jaką sformułowali wspólnie jeszcze przed przylotem ganimedów; teorię niskiej tolerancji wszystkich gatunków lądowych Minerwy na dwutlenek węgla. Zgodnie z teorią cecha ta, wraz z podstawowym systemem metabolizmu, była przejmowana od bardzo dawnych, żyjących w środowisku wodnym przodków. Po przedyskutowaniu tej tezy za pośrednictwem ZORAKA z wieloma uczonymi ganimedzkimi Danchekker uznał, że ich teoria była fałszywa.

– Prawda jest taka – mówił – że gdy na Minerwie pojawiły się zwierzęta lądowe, wypracowały one bardzo skuteczny system odporności na wysoki poziom dwutlenku węgla w atmosferze i system ten, jak widać z perspektywy czasu, był bardzo prosty i oczywisty.

Tu Danchekker przestał na chwilę przebierać w obfitym ulistnieniu swych roślin i spoglądając na Hunta czekał, aż ten oswoi się z rewelacją. A Hunt, siedząc niedbale na taborecie, wsparty łokciem o brzeg blatu roboczego, czekał w milczeniu na dalsze wynurzenia uczonego.

– Zwierzęta te przystosowały wtórny system krążenia do absorpcji nadmiaru dwutlenku węgla – podjął profesor. – System, którego funkcją prymarną, jak wiemy, było usuwanie toksyn z organizmu. Istniał więc gotowy mechanizm, idealnie nadający się do przejęcia nowej funkcji.

Hunt obracał w myślach te słowa, trąc czoło w zamyśleniu.

– Czyli – zaczął po chwili – nasze założenie, że wszystkie te zwierzęta były nieodporne na dwutlenek węgla, okazało się kompletną bzdurą?

– Dokładnie.

– I te cechy się utrwały, tak? Czyli wszystkie późniejsze gatunki posiadały ten sam mechanizm... były dobrze przystosowane do warunków środowiska?

– Tak, doskonale przystosowane.

– Czegoś tu jednak nie rozumiem – zmarszczył brwi Hunt. – Jeśli to, co powiedziałeś, jest prawdą, to ganimedzi odziedziczyliby również tę odporność. A jeśli tak, to nie powinni mieć problemów z dwutlenkiem węgla. A przecież potwierdzili, że je mieli.

Danchecker odwrócił się do niego, ocierając ręce o kitel, i odsłonił zęby w uśmiechu; oczy za okularami błysnęły.

– Odziedziczyli go... ten mechanizm odpornościowy. A mimo to mieli problemy. Ale to nie były problemy naturalne, lecz sztuczne. Sami sobie napytali biedy, a stało się to później, gdy byli już na wysokim szczeblu rozwoju.

– Mówisz zagadkami, Chris. Wyłumacz mi wszystko po kolei.

– No dobrze – zaczął Danchecker, wycierając narzędzia, których przed chwilą używał, i wkładając je do szuflady. – Jak już mówiłem, gdy na Minerwie pojawiły się zwierzęta lądowe, wtórny system krążenia, który już wcześniej posiadały wszystkie gatunki – dzięki czemu wszystkie były trujące – przystosował się do absorpcji nadmiaru dwutlenku węgla. Tak więc, jakkolwiek powietrze minerwańskie zawierało o wiele więcej dwutlenku węgla niż ziemskie, życie na Minerwie kwitło, bowiem wszystkie gatunki były doskonale przystosowane do środowiska. Zresztą jest to normalne w przyrodzie... Kiedy wreszcie, po upływie setek milionów lat, na planecie pojawiły się istoty rozumne – praganimedzi, miały mniej więcej takie samo wyposażenie genetyczne. Czy dotąd wszystko jasne?

– Istoty te były trujące i odporne na dwutlenek węgla – podsumował Hunt.

– Właśnie.

– I co było dalej?

– Potem zdarzyło się coś bardzo ciekawego. Pojawili się właściwi ganimedzi, którzy przeszli wszystkie stadia rozwoju – od prymitywnej kultury do wysoko rozwiniętej cywilizacji; produkowali narzędzia, wytwarzali żywność, budowali domy i tak dalej. I wtedy, jak łatwo sobie wyobrazić, prastary system ochronny, odziedziczony po żyjących w środowisku wodnym przodkach, a służący obronie przed rybami mięsożernymi, okazał się raczej uciążliwą przeszkodą aniżeli pomocą. Nie było już zwierząt mięsożernych i jest rzeczą

oczywistą, że nie miały one szans się rozwinąć. Z drugiej strony podatność na nieszczęśliwe wypadki związane z możliwością samozatrucia była dotkliwym upośledzeniem – tu Danchekker pokazał owinięty plastrem palec. – Wczoraj zaciąłem się skalpelem – wyjaśnił. – Gdybym był jednym z tych pierwotnych ganimedów, najprawdopodobniej umarłbym w ciągu godziny.

– W porządku, rozumiem – zgodził się Hunt. – Ale co mogli na to poradzić?

– Gdzieś w początkach cywilizacji przodkowie dzisiejszych ganimedów odkryli, że wprowadzając do pożywienia pewne rośliny oraz pleśniaki, można zneutralizować toksyny, gromadzące się we wtórnym układzie krążenia. Stwierdzono to na podstawie obserwacji trybu życia zwierząt, których odporność na normalnie powodujące śmierć uszkodzenia ciała była dobrze znana. Odkrycie to stanowiło najważniejsze wydarzenie na drodze postępu ich cywilizacji. Dzięki swej inteligencji ganimedzi zdominowali wkrótce wszystkie formy życia na planecie. Odkrycie to dało też początek rozwojowi medycyny. Neutralizacja toksyn w organizmie umożliwiła zabiegi chirurgiczne. W późniejszych stadiach rozwoju ganimedzi wypracowali prostą metodę chirurgiczną stałej neutralizacji wtórnego systemu bez konieczności uciekania się do środków farmakologicznych. Stało się powszechną praktyką poddawanie każdego ganimedzkiego noworodka takiej właśnie operacji. Jeszcze później, gdy przewyższyli nas stopniem rozwoju cywilizacji, wyizolowali geny odpowiedzialne za rozwój wtórnego systemu krążeniowego w płodzie i usunęli je. Dosłownie usunęli ze swych organizmów tę cechę. Wszyscy ganimedzi, których spotkaliśmy, urodzili się bez wtórnego układu krążenia, i tak jest już od kilku pokoleń. Eleganckie rozwiązanie, nie uważasz?

– Wprost nie do wiary! – przyznał Hunt. – Jak dotąd, nie miałem okazji rozmawiać z żadnym z nich na ten temat.

– O tak – pokiwał głową Danchekker. – Nasi ganimedzcy przyjaciele byli wyjątkowo zręcznymi specjalistami inżynierii genetycznej, bardzo zręcznymi...

Hunt namyślał się przez chwilę, po czym strzelił palcami w nagłym olśnieniu.

– Ależ tak! Eliminując wtórny układ krążenia, zlikwidowali jednocześnie swoją odporność na dwutlenek węgla!

– Dokładnie, Vic. Wszystkie pozostałe zwierzęta na Minerwie zachowały swą wysoką naturalną odporność. Tylko ganimedzi byli inni; poświęcili ją za cenę odporności na nieszczęśliwe wypadki.

– A jednak nie rozumiem, jak mogli to zrobić – zastanawiał się Hunt, marszcząc czoło. – To znaczy, rozumiem, jak tego dokonali, ale nie pojmuję, jak mogli się pozbyć tej osłony. Tolerancja na dwutlenek węgla była im niezbędna, skoro przejęli jej mechanizm w procesie ewolucji. Przecież musieli być tego świadomi; nie byli głupi.

Danchekker skinął głową na znak, że wie, co Hunt ma na myśli.

– Prawdopodobnie wtedy nie było to takie oczywiste – powiedział. – Widzisz, skład atmosfery minerwańskiej w ciągu wieków podlegał fluktuacjom, podobnie jak skład

atmosfery ziemskiej. Badania wykazały, że w okresie powstawania życia na Minerwie aktywność wulkaniczna osiągnęła punkt szczytowy, a poziom dwutlenku węgla w atmosferze był bardzo wysoki; dlatego też pierwsze formy życia na planecie rozwinęły odpowiedni system ochronny. Później poziom dwutlenku węgla zaczął spadać, aż utrwalił się na określonym poziomie mniej więcej wtedy, gdy na Minerwie pojawili się ganimedzi. Uznali oni swój mechanizm odpornościowy za relikw przeszłości, nie przystający już do aktualnych warunków środowiskowych; doświadczenie wskazywało na to, że mogą się obejść bez tej dodatkowej osłony. Margines ich tolerancji był wprawdzie niewielki – w porównaniu z warunkami ziemskimi poziom dwutlenku węgla w atmosferze minerwańskiej był nader wysoki – ale do normalnego życia wystarczał. I dlatego ganimedzi zdecydowali się usunąć całkowicie mechanizm kontroli, odziedziczony po przodkach.

– Rozumiem. A potem poziom dwutlenku węgla znów zaczął się podnosić – domyślił się Hunt.

– W zastraszającym tempie – powiedział Danchecker – przynajmniej w skali okresów geologicznych. Bezpośrednie zagrożenie jeszcze nie istniało, ale pomiary i obliczenia wskazywały, że jeśli tempo wzrostu się utrzyma, któregoś dnia oni lub ich potomkowie popadną w tarapaty. Bez mechanizmu ochronnego, którego sami się pozbawili, nie będą mieli szansy przeżycia. Pozostałe gatunki będą istnieć normalnie, tylko ganimedzi znajdą się w ślepej uliczce.

Hunt pojął wreszcie wagę problemu, jaki miliony lat temu stanął przed ganimedami. Kupili bilet w jedną stronę, uciekając z pola walki, ale okazało się, że droga wiedzie ku nieuchronnej śmierci.

– Co mogli zrobić? – spytał Danchecker i zaczął odpowiadać na postawione przez siebie pytanie: – Po pierwsze, mogli zastosować środki techniczne, jakimi dysponowali, by w sposób sztuczny utrzymać tolerowany przez nich poziom dwutlenku węgla. Przemyśleli tę możliwość, ale modele naukowe nie dawały gwarancji właściwego kierowania tym procesem. Istniało ryzyko, że sztuczna regulacja atmosfery może spowodować zamrożenie planety; jako ostrożna rasa woleli więc nie próbować tego środka – chyba że nie znalazłby się żaden inny.

Po drugie, mogli zredukować poziom dwutlenku węgla, podobnie jak w pierwszym przypadku, mając jednak opracowany sposób podgrzania Słońca w celu zastąpienia efektu cieplarnianego, gdyby proces regulacji atmosfery wymknął im się spod kontroli. Wykonali odpowiedni eksperyment na Iscarisie, ale się nie udał; załoga „Szapierona”, nim opuściła miejsce eksperymentu, przesłała odpowiednie sprawozdanie na Minerwę.

Hunt słuchał w napięciu i najwidoczniej nie miał zamiaru przerywać Dancheckerowi, toteż ten po chwili ciągnął dalej:

– Po trzecie, mogli wyemigrować na Ziemię. Przeprowadzili pilotażowy eksperyment, ale i ta próba się nie powiodła.

Tu Danchecker uniósł ramiona, dając do zrozumienia, że innych możliwości nie widzi. Hunt milczał, lecz profesor najwidoczniej nie miał nic więcej do dodania.

– Więc co u diabła, zrobili? – spytał wreszcie Hunt.

– Nie wiem. Ganimedzi też tego nie wiedzą. Jeśli bowiem wymyślono jakieś inne rozwiązanie, stało się to po opuszczeniu przez nich Minerwy. Chcieliby to wiedzieć, tak samo jak my, a nawet bardziej, jak przypuszczam. W końcu to była ich ojczyzna.

– A te zwierzęta ziemskie – upierał się Hunt. – Sprowadzono je później na Minerwę. Może to mieć związek z jakimś wyjściem, które znaleźli.

– Na pewno ma związek, tylko nie przychodzi mi do głowy, jaki. Ganimedzi również nie mają żadnych koncepcji. W jednym jesteśmy zgodni: z pewnością nie chodziło o zastosowanie ekosystemu ziemskiego w celu absorpcji dwutlenku węgla. Takie przedsięwzięcie było z góry skazane na niepowodzenie.

– W ogóle nie wchodziło w grę?

– W ogóle – odparł stanowczo Danchecker. – Dlaczego sprowadzali z Ziemi zwierzęta i czy miało to coś wspólnego z problemami atmosferycznymi – pozostaje nadal niewiadomą...

– tu profesor przerwał i przyglądając się rozmówcy sponad okularów, dodał: – Jest jeszcze jedna zagadka, nie mająca żadnego związku z tym, o czym mówiliśmy dotychczas.

– Jeszcze jedna? – spytał zaciekawiony Hunt. – Jaka?

– Zwierzęta minerwańskie – odparł powoli Danchecker – Skoro wszystkie miały efektywny mechanizm, zabezpieczający je przed skutkami zmian atmosferycznych na Minerwie, to zmiany owe nie mogły być powodem ich wyginięcia. A jeśli to nie zmiany atmosferyczne były powodem katastrofy, to w takim razie co?

Rozdział czternasty

Monotonna, lekko sfałdowana płaszczyzna lodowa rozciągała się na wszystkie strony, ginąc w ciemnościach wiecznej nocy. W górze niewiele jaśniejsze od gwiazdy pierwszej wielkości Słońce rzucało niepewne promienie, pograżając wszystko wokół w niesamowitym półmroku, w którym czaił się lęk.

Potężna widmowa sylwetka statku sterczała pionowo w górę, a jej wierzchołek ginął w czarnej płachcie nieba. Lampy łukowe, umieszczone wysoko na kadłubie, rzucały z góry jaskrawobiały stożek światła, który wycinał wokół statku ogromny, jasny krąg lodowy. Wzdłuż skrajnej granicy świetlnego kręgu stało czwórkami kilkaset wysokich istot w skafandrach kosmicznych; trwały nieruchomo z lekko pochylonymi głowami i rękoma splecionymi przed sobą. Cały oświetlony obszar podzielony był na kilka koncentrycznych kręgów. Wzdłuż każdego z nich, w regularnych odstępach, wykuto w lodzie prostokątne otwory. Obok każdego otworu leżała metalowa skrzynia długości około dwustu osiemdziesięciu centymetrów i ponad studwudziesięciocentymetrowej szerokości.

Spośród stojących wyłoniła się niewielka grupka, która weszła w środek oświetlonej przestrzeni, gdzie ruszyła wzdłuż wewnętrznego kręgu i zatrzymując się przy każdym z dołów, w milczeniu opuszczała weń metalową skrzynię, po czym przechodziła do następnego otworu. Za nimi posuwała się inna grupa, która napełniała doły wodą wylewaną z podgrzewanego węża; woda zamarzała w ciągu kilku sekund. Gdy skończono z pierwszym kręgiem, zabrano się do następnego i tak aż do końca.

Kiedy obie grupy po skończonej pracy dołączyły do nieruchomych szeregów współtowarzyszy, wszyscy długo jeszcze patrzyli na prosty pomnik wzniesiony pośrodku koła. Był to złoty obelisk z napisem wrytym na każdej ścianie, oświetlony lampą, która miała się palić setki lat. Stali tak, wracając wspomnieniami do przyjaciół oraz znanych niegdyś twarzy, do wszystkich, po których pozostała tylko pamięć.

Wreszcie nadszedł czas i szeregi nieruchomych postaci ożywiły się i ruszyły w kierunku statku. Gdy wyłączono reflektory na zewnątrz, jedynie światełka obelisku trzymały w szachu ponurą noc.

Spełnili ślubowanie, któremu pozostali wierni do końca, a które przywiodło ich tutaj z innego krańca wszechświata, z innego czasu.

Pod lodami Plutona ukryta była ziemia Minerwy.

Ganimedzi wrócili do domu, by pogrzebać swoich umarłych.

Rozdział piętnasty

„Szapieron” wychynął z pustki kosmosu równie nagle, jak się w nią zapadł. Radary dalekiego zasięgu odebrały w pewnym momencie niewyraźne echo dochodzących skądś z przestrzeni sygnałów, które potężniały i krystalizowały się z nieprawdopodobną prędkością. Zaledwie zdołano wycelować skanery optyczne, a już pojazd orbitował wokół Ganimedesa jak za pierwszym razem. Ale tym razem zjawieniu się statku towarzyszyły zgoła inne uczucia ziemian.

Jak świadczą zapisy w dzienniku pokładowym centrum dowodzenia Jowisza Pięć, powitanie było niezwykle przyjazne i radosne.

„Szapieron”: Dzień dobry.

J5: Cześć. Jak się udała podróż?

Szap.: Wspaniale. Jaką mieliście pogodę?

J5: Jak zawsze. Jak się sprawowały silniki?

Szap.: Nie mogło być lepiej. Zatrzymaliście dla nas pokoje?

J5: Te same co przedtem. Siadacie?

Szap.: Dziękujemy. Znamy drogę.

W pięć godzin po wylądowaniu „Szapierona” w Bazie Głównej w Nadszybiu znów zaroilo się od znajomych wysokich postaci.

Rozmowa z Dancheckerem wzmogła zainteresowanie Hunta biologicznym mechanizmem zwalczania obecności toksyn i zanieczyszczeń w organizmie. Kilka następných dni spędził na przeglądaniu banku danych Jowisza Pięć w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące go pytania. Szilohin wspomniała, że gatunki ziemskie pochodzą od żyjących w środowisku wodnym, które nie miały wtórnego systemu krążenia, gdyż go nie potrzebowały; z uwagi na cieplejsze środowisko na Ziemi organizmy nie pobierały takich ilości tlenu, których dostarczeniu nie mógłby podolać jeden układ krążenia. Ale właśnie ten dodatkowy posiadany przez ryby minierwańskie układ posłużył potem zwierzętom lądowym

jako mechanizm adaptacyjny, podnoszący ich tolerancję na dwutlenek węgla. Przywiezione na Minerwę zwierzęta ziemskie pozbawione były takiego mechanizmu, a jednak potrafiły się zaadaptować do nowego środowiska. Hunt szukał odpowiedzi na pytanie, jak to było możliwe. Nie znalazł jednak niczego, co rzucałoby światło na tę zagadkę. W każdym z dwu światów miała miejsce odrębna ewolucja organizmów żywych i procesy biochemiczne właściwe organizmom obu linii nie pokrywały się ze sobą. Równowaga biochemiczna w organizmach minerwańskich była bardzo stabilna, jak to już Danhekker odkrył o wiele wcześniej przy badaniu ryb zachowanych w szczątkach księżycowej bazy selenitów. Organizmy te wykazywały wielką wrażliwość na pewne toksyny, między innymi na dwutlenek węgla, dlatego też potrzebowały dodatkowej ochrony, zwiększającej ich możliwości tolerancyjne w ekstremalnych warunkach środowiskowych. Stąd wzięła się adaptacja do tego celu wtórnego systemu krążenia u pierwszych zwierząt lądowych. Chemia zwierząt ziemskich była natomiast prostsza i elastyczniejsza, zdolna znieść o wiele większy zakres zmian nawet bez dodatkowego wsparcia. To wszystko, czego udało się Huntowi dowiedzieć.

Pewnego popołudnia siedział przed monitorem przy jednej z konsoli komputerowych w Bazie Nadszybia, próbując wycisnąć z banku danych coś więcej na interesujący go temat. Nie mając nikogo innego pod ręką, uruchomił kanał i zaczął dyskutować z ZORAKIEM. Komputer powstrzymywał się od komentarzy, i dopiero gdy Hunt skończył mówić, oznajmił lakonicznie:

- Nie mam nic do dodania, Vic. Widzę, że poradziłeś sobie doskonale z tym problemem.
- Nie widzisz żadnej luki w moim rozumowaniu? – spytał Hunt.

Pytanie było dość dziwne, jeśli zważyć, że zadano je maszynie, ale Hunt znał dobrze niesamowite zdolności ZORAKA do wyłapywania słabych punktów w pozornie bezbłędnym ciągu myślowym.

– Nie. Wszystkie dane potwierdzają twoje wnioski: organizmy minerwańskie potrzebowały wtórnego układu krążenia, by się zaadaptować do warunków środowiskowych, a organizmy ziemskie takiej pomocy nie potrzebowały. To są fakty obserwowalne, nie zaś dedukcja. Dlatego niewiele tu można dodać.

– Chyba nie – westchnął Hunt i wyłączywszy terminal, opadł wygodnie na fotel. – Zresztą to nie było takie ważne – powiedział po chwili w roztargnieniu. – Chciałem się po prostu przekonać, czy różnice między planem biochemicznym zwierząt minerwańskich i ziemskich naprowadzą mnie na jakąś sensowną myśl. Wygląda na to, że nie.

– A czego chciałeś się dowiedzieć? – spytał ZORAK.

– Och, czy ja wiem... – powiedział Hunt, wzruszając odruchowo ramionami. – Chciałem znaleźć coś, co by rzuciło światło na problemy, z którymi się borykamy... Na przykład, co się stało z wszystkimi minerwańskimi zwierzętami lądowymi, co takiego zaszło, czego nie mogły

przeżyć, a zwierzęta ziemskie przeżyły... Wiemy przecież, że na pewno nie był to problem stężenia dwutlenku węgla... O takie rzeczy mi chodziło.

– To rzeczywiście niezwykle – przyznał ZORAK.

– Uhm, chyba tak.

Minęło kilka sekund, nim komputer się odezwał. Hunt miał niesamowite wrażenie, że maszyna roztrząsa w myślach całą kwestię. Wreszcie komputer powiedział rzeczowo:

– Może pytanie było źle postawione?

Hunt nie od razu zrozumiał sens tych słów. Przez chwilę siedział nieruchomo, lecz nagle pochylił się gwałtownie do przodu i wyrwijąc papierosa z ust zawołał:

– Co chcesz przez to powiedzieć? Dlaczego pytanie miało być źle postawione?

– Zastanawiałeś się nad tym, dlaczego formy życia na Ziemi i na Minerwie różniły się między sobą, i zadowolileś się odpowiedzią: dlatego, że się różniły. To stwierdzenie jest oczywiście prawdziwe, ale niczego nie wnosi. To tak, jakbyś spytał: „Dlaczego sól rozpuszcza się w wodzie, a piasek nie?” i odpowiedział na to: „Dlatego, że sól rozpuszcza się w wodzie, a piasek nie”. To szczerą prawdą, ale co z tego? I ty postawiłeś sobie właśnie tego typu pytanie.

– Chcesz powiedzieć, że wpadłem w błędne koło? – spytał Hunt, choć już w chwili gdy to mówił, wiedział doskonale, że komputer ma rację.

– Bardzo wymyślne błędne koło, ale jeśli prześledzić strukturę logiczną twego rozumowania – to tak – potwierdził ZORAK.

Hunt strzepnął popiół do popielniczki, kiwając głową, jakby odpowiadał własnym myślom.

– W porządku. A jak według ciebie powinienem postawić pytanie?

– Zapomnij na chwilę o porównaniu życia na Minerwie z życiem na Ziemi i skoncentruj się tylko na życiu ziemskim – zaproponował ZORAK. – A teraz postaw pytanie, dlaczego człowiek jest tak różny od pozostałych gatunków.

– Myślałem, że to oczywiste – zauważył Hunt. – Większy mózg, przeciwstawny kciuk, doskonały wzrok – wszystkie te cechy razem u jednego gatunku pobudzają ciekawość i potrzebę uczenia się. Co w tym nowego?

– Wiem, na czym polegają różnice – zareplikował ZORAK. – Ale ja pytałem, dlaczego one występują.

Hunt tarł przez chwilę czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Myślisz, że to takie ważne? – spytał wreszcie.

– Bardzo.

– No dobrze, kupuję to. A więc dlaczego człowiek jest tak bardzo różny od innych gatunków?

– Nie wiem.

– Wspaniale! – zawołał Hunt, wypuszczając kłąb dymu. – Ciekaw jestem, w jaki sposób to pytanie powie nam więcej niż moje odpowiedzi?

– Nie powie – przyznał ZORAK. – Ale jest to przynajmniej pytanie, które wymaga odpowiedzi. Jeśli szukasz czegoś niezwykłego, to pytanie może być dobrym początkiem. Człowiek to nadzwyczajna istota.

– W jakim sensie?

– Ponieważ zgodnie z prawami natury nie powinien istnieć. Nie powinna być możliwa ewolucja, która doprowadziła do jego powstania. Coś takiego jak człowiek po prostu nie mogło się zdarzyć, a jednak się zdarzyło. Dla mnie to wprost zadziwiające.

Hunt kręcił głową zaintrygowany. Komputer mówił zagadkami.

– Nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego człowiek nie powinien istnieć?

– Ułożyłem macierz, opisującą reakcje neuronalnych potencjałów wyładowczych w systemach nerwowych wyższych kręgowców ziemskich. Niektóre wskaźniki reakcji są powiązane w wysokim stopniu ze stężeniem i dystrybucją pewnych substancji mikrochemicznych. Koherentne wzorce reakcji w kluczowych obszarach kory mózgowej nie mogłyby się ustalić na takim poziomie, jaki występuje u wszystkich gatunków z wyjątkiem człowieka.

Komputer zamilkł.

– O czym ty mówisz, ZORAK?

– Nie wyrażam się jasno?

– Szczerze mówiąc, nie.

– No dobrze – powiedział ZORAK i przez chwilę panowała cisza, tak jakby maszyna zbierała myśli. – Czy znasz ostatnie prace Kaufmanna i Randalla z Uniwersytetu Utrechckiego w Holandii? Znalazłem je w bankach danych Jowisza Pięc.

– Tak, natknąłem się na wzmianki o ich pracach. Mógłbyś odświeżyć moją pamięć?

– Kaufmann i Randall badali szczegółowo systemy ochronne kręgowców ziemskich przed czynnikami toksycznymi i szkodliwymi drobnoustrojami, które dostają się do organizmu – wyjaśnił ZORAK. – Poszczególne gatunki różnią się szczegółami rozwiązań, ale podstawowy mechanizm jest zawsze taki sam; został prawdopodobnie odziedziczony po odległych przodkach i odpowiednio zmodyfikowany.

– Ach tak, przypominam sobie skinął głową Hunt. – Rodzaj naturalnego procesu autoimmunizacyjnego.

I streścił odkrycia uczonych utrechckich, którzy udowodnili, że zwierzęta ziemskie produkują w małych ilościach zanieczyszczenia i toksyny, które są następnie wprowadzane do krwiobiegu w ilościach wystarczających do wytworzenia specyficznych antytoksyn. „Matryca” do wytwarzania tych antytoksyn jest więc ustawicznie przekazywana do systemu biochemicznego organizmu, tak że ich produkcja może gwałtownie wzrosnąć, gdyby zatrucie organizmu było wyjątkowo duże.

– Doskonale – skwitował te wywody ZORAK. – To wyjaśnia, dlaczego niezdrowe środowisko, zakażone pożywienie itd. stanowi dla zwierząt mniejsze zagrożenie niż dla człowieka.

– Ponieważ człowiek jest inny; jego organizm funkcjonuje na innej zasadzie, czy tak?

– Tak.

Hunt wpatrywał się w pusty ekran monitora, przy którym siedział, i marszcząc czoło, próbował zrozumieć, do czego zmierza maszyna. Ale nic nie przychodziło mu do głowy.

– Wciąż nie rozumiem, co nam to daje – odezwał się wreszcie. – Człowiek jest inny, ponieważ jest inny. To rozważania równie bezsensowne jak poprzednio.

– Niezupelnie – powiedział ZORAK. – Problem w tym, że człowiek nie mógł mieć możliwości stania się innym. To bardzo ciekawa kwestia.

– Niby jak? Nie nadążam.

– Pozwól, że przedstawię ci kilka równań, które rozwiązałem – zaproponował ZORAK.

– Proszę bardzo.

– Wpisz polecenie aktywizacji kanału, a ja wyświetlę dane na dużym ekranie za pośrednictwem węzła łącznościowego SKONZ.

Hunt wystukał szybko na klawiaturze serię symboli i w chwilę później ekran nad jego głową rozjarzył się kalejdoskopową feerią barw. Obraz ustalił się i Hunt ujrzał gęsto zapisane rzędkie formuł matematycznych. Przyglądał im się przez kilka sekund, wreszcie potrząsnął głową z rezygnacją.

– Co to wszystko oznacza? – spytał.

– Te formuły – zaczął skwapliwie wyjaśniać ZORAK – ujmują ilościowo pewne aspekty zachowania uogólnionego centralnego układu nerwowego ziemskich kręgowców. W szczególności modelują one reakcję podstawowego systemu nerwowego na obecność określonych stężeń i mieszanek czynników chemicznych we krwi. Współczynniki wyróżnione czerwonym kolorem to modyfikatory, których wartość jest różna u różnych gatunków. Czynniki dominujące, uniwersalne, wyróżnione zostały kolorem zielonym.

– No więc?

– Równania te ujawniają podstawową wadę metody obrony przed środowiskiem chemicznym, jaką rozwinęły zwierzęta ziemskie. Wada ta polega na tym, że substancje wprowadzone do krwi w wyniku procesu autoimmunizacji zakłócają funkcje układu nerwowego. Powstrzymują zwłaszcza rozwój wyższych czynności mózgowych.

I nagle Hunt zrozumiał, do czego ZORAK zmierza. Ale maszyna nie dała mu dojść do słowa.

– W szczególności nie może się pojawić inteligencja. Większe i bardziej złożone mózgi wymagają zwiększonego dopływu krwi; zwiększony dopływ krwi doprowadza do mózgu więcej zanieczyszczeń, które zatrzymują się w komórkach nerwowych; zanieczyszczone

komórki nerwowe nie są w stanie koordynować czynności na wyższych poziomach złożoności, stanowiących właśnie inteligencję.

Innymi słowy, w trakcie ewolucji ziemskich kręgowców inteligencja nie mogła się pojawić. Te liczby dowodzą, że ewolucja życia na ziemi powinna była utknąć na martwym punkcie.

Hunt długo wpatrywał się w zastygłe na ekranie cyfry, zastanawiając się nad ich wymową. A więc architektura biochemiczna, jaką wypracowali odlegli przodkowie setki milionów lat temu, spełniła zadania krótkofalowe, lecz nie udało jej się uwzględnić długofalowych konsekwencji procesu ewolucyjnego. Tymczasem człowiek w jakimś momencie ewolucji pozbył się systemu autoimmunizacji. Wystawił się na zagrożenia środowiskowe, dzięki czemu rozwinął wspaniałą inteligencję, wynagradzającą mu zawiązką początkowe straty.

Narzucano się frapujące pytanie: jak i kiedy człowiek tego dokonał? Zgodnie z teorią utrechckich naukowców miało to miejsce w czasie przymusowego exodusu przodków człowieka na Minerwę, w okresie, który trwał od dwudziestu pięciu milionów do pięćdziesięciu tysięcy lat temu. Dwadzieścia pięć milionów lat temu wywieziono na Minerwę wiele typowych form życia ziemskiego; mniej więcej po upływie tego czasu powrócił na Ziemię tylko jeden gatunek, ale za to niezwykle. To homo sapiens pod postacią selenitów – najstraszliwszy przeciwnik w walce o przetrwanie, jakiego kiedykolwiek widziały oba światy. Opanował on Minerwę w czasie, gdy na Ziemi w półmroku budzącej się świadomości błądziły po omacku antropoidy. A gdy zniszczył tamten świat, powrócił na Ziemię, do swej kolebki, i wytępił bezlitośnie swych kuzynów.

Danchecker był zdania, że w procesie wykształcania się linii człękoksztalnych na Minerwie miała miejsce potężna mutacja. Najnowsze badania zlokalizowały miejsce w organizmie, gdzie zaszła owa mutacja, lecz nie wyjaśniały przyczyn jej wystąpienia. Ale w końcu mutacje mają charakter przypadkowy; nie było powodu pytać o przyczynę owych zmian.

Fakty łączące się z powstaniem rodzimej inteligencji minerwańskiej doskonale zgadzały się z tą teorią. W strukturze organizmów zwierząt lądowych na Minerwie system krążenia toksyn został oddzielony od systemu krążenia krwi. Tak więc, gdy zaczęły się pojawiać większe mózgi, otworzyła się droga do rozwoju mózgu, który pobierał większą ilość krwi bez nadmiaru toksyn. Stężenie toksyn w jednym układzie wzrastało, lecz nie miało to wpływu na drugi układ, dlatego też wyższe czynności mózgowie mogły rozwijać się bez przeszkód. Inteligencja ganimedów była naturalnym i logicznym skutkiem ewolucji życia na Minerwie; człowiek niejako ją wyludził.

– No, cóż – rzekł w końcu Hunt – to rzeczywiście ciekawe. Ale skąd wiesz, że to się nie mogło stać? Mutacje mają charakter przypadkowy. Zmiana, o której mówimy, nastąpiła w

drodze mutacji na Minerwie i objęła linię ewolucyjną selenitów, a od nich przeniosła się na ludzi. Co w tym dziwnego?

– Wiedziałem, że to powiesz – zauważył ZORAK, nadając swemu głosowi brzmienie zdradzające zadowolenie z siebie. – To oczywista pierwsza reakcja.

– Czy coś przeoczyłem?

– Otóż to nie było możliwe. Z tego, co powiedziałeś, wynika, że gdzieś w początkach ewolucji naczelnych na Minerwie pojawiła się mutacja, która zneutralizowała system autoimmunizacyjny.

– Właśnie – zgodził się Hunt.

– Ale jest jeden problem – zauważył komputer. – Widzisz, przeprowadziłem inne obliczenia na danych dostarczonych przez J5 – danych, dotyczących kodu genetycznego chromosomów kręgowców. U wszystkich gatunków w kodzie genetycznym odpowiedzialnym za rozwój systemu autoimmunizacji w płodzie jest specjalny podkod zawiadujący absorpcją nadmiaru dwutlenku węgla. Innymi słowy, neutralizacja systemu autoimmunizacji oznacza utratę tolerancji na nadmiar dwutlenku węgla w środowisku...

– A na Minerwie wzrastał poziom stężenia dwutlenku węgla – dokończył Hunt.

– Właśnie. Gdyby u jakiegoś gatunku zaszła tego rodzaju mutacja, gatunek ten nie mógłby na Minerwie przetrwać. Stąd też przodkowie selenitów nie mogli podlegać tego rodzaju mutacji. Gdyby to nastąpiło, wymarliby i nie byłoby ani selenitów, ani was.

– Ale ja jestem – zauważył z satysfakcją Hunt.

– Wiem, ale nie powinieneś istnieć, i tego właśnie dotyczy moje pytanie – zakończył ZORAK.

Hunt zgasił papierosa i zamyślił się.

– Co to było z tym dziwnym enzymem, o którym bez przerwy mówił Danchecker? – odezwał się po chwili. – Znalazł go we wszystkich zachowanych na statku zwierzętach oligoceńskich, prawda? Odmianę tego enzymu stwierdzono również u Charliego. Myślisz, że to ma coś wspólnego z naszym problemem? Może coś w środowisku minerwańskim zadziało w tak skomplikowany sposób i w wyniku tego pojawił się ten enzym. To by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego współczesne zwierzęta ziemskie go nie mają – po prostu ich przodkowie nie byli na Minerwie. Może to dlatego współczesny człowiek też go nie posiada? Jest już bowiem na Ziemi od bardzo dawna, z dala od środowiska, które stymulowało istnienie owego enzymu. Co na to powiesz?

– Teza nie da się potwierdzić – oznajmił ZORAK. – Na razie nie ma właściwych danych o enzymie. Za bardzo spekulatywne. Poza tym nie wyjaśnia to jednego.

– Czego?

– Śladów rozpadu pierwiastków promieniotwórczych. Dlaczego enzymy znalezione w zwierzętach oligoceńskich są zbudowane z radioizotopów, a enzym Charliego nie?

– Nie wiem – przyznał Hunt. – To nie ma sensu. Nie jestem biologiem. Porozmawiam o tym z Chrisem – zakończył i zmienił temat rozmowy: – Chciałbym cię spytać o te wszystkie równania, ZORAK...

– Słucham.

– Dlaczego robiłeś te obliczenia? To znaczy... czy ty robisz takie rzeczy spontanicznie, na własną rękę?

– Nie. Szilohin i inni ganimedzi prosili mnie o to.

– Wiesz dlaczego?

– Rutynowe działania. Wyliczenia były potrzebne do jakichś ich badań.

– Jakie to badania? – zapytał Hunt.

– Dotyczą tych spraw, o których mówiliśmy. Pytanie, które postawiłem kilka minut temu, nie pochodziło ode mnie; to ganimedzi je sobie postawili. Bardzo się interesują tą sprawą. Chcą zrozumieć, w jaki sposób powstał człowiek, skoro wszystkie dane wskazują, że nie powinien być powstać; a ich modele przewidują, że gdyby nawet – to zniszczyłby sam siebie.

Hunta zaintrygowała wiadomość, że ganimedzi z takim zaciekawieniem studiują ten sam problem, co i on, zwłaszcza że, jak się wydawało, poszli już o wiele dalej od uczonych SKONZ. Zdziwiło go też, że ZORAK tak łatwo zdradził coś, co mogło być przecież poufne.

– Dziwię się, że nie masz żadnych ograniczeń w wypowiedaniu się na te tematy – powiedział.

– Dlaczego?

Hunt nie był przygotowany na to pytanie.

– No, nie wiem – odparł. – Przypuszczam, że na Ziemi takie informacje przeznaczone są tylko dla wtajemniczonych... W każdym razie nie przekazuje się ich każdemu, komu przyjdzie do głowy o to spytać. Myślałem, że u was jest tak samo.

– To, że ziemianie są neurastenikami, to nie powód, by ganimedzi mieli być skryci – powiedział prosto z mostu ZORAK.

Hunt uśmiechnął się szeroko i potrząsnął głową.

– Zdaje się, że sam tego chciałem – westchnął.

Rozdział szesnasty

Pierwsze i najważniejsze zadanie, przed jakim stanęli ganimedzi – naprawa statku – zostało wykonane. Goście skupili teraz całą uwagę na Bazie Nadszybia, stawiając sobie kolejny cel – chcieli dostać się do systemu komputerowego wraku. Wciąż jeszcze nie znali odpowiedzi na pytanie, czy rasa ganimedzka wyemigrowała na inną gwiazdę, a jeśli tak, to na jaką. Było wielce prawdopodobne, że wiadomość czeka sobie spokojnie, ukryta gdzieś w obwodach molekularnych, zakodowana w pamięci stałej systemu komputerowego statku, który został zbudowany w czasach, kiedy odpowiedź na to pytanie była już znana. Kto wie, może statek należał nawet do konwoju migracyjnego?

Ale to nowe zadanie, w przeciwieństwie do pierwszego, okazało się niewykonalne. Jakkolwiek konstrukcja statku z Nadszybia była nowocześniejsza niż „Szapierona”, to jednak jego napęd główny działał na tej samej zasadzie, a części silnika, mimo późniejszych modyfikacji i udoskonaleń, spełniały te same funkcje, co we wcześniejszych modelach statków. Konstrukcja napędu okazała się więc najwyższym stadium rozwoju technicznego w tym względzie i w czasie dzielącym powstanie obu statków nie zmieniła się zasadniczo. Dlatego możliwa była naprawa „Szapierona”.

Inaczej było z systemem komputerowym. Po tygodniu intensywnych prób i analiz uczeni ganimedzcy przyznali, że nie posunęli się naprzód. Problem polegał na tym, że elementy systemu, które próbowali rozszyfrować, były po większej części zupełnie inne niż te, do jakich byli przyzwyczajeni. Procesory składały się z kryształowych bloków, wewnątrz których zatopiona była trójwymiarowa sieć milionów elementów logicznych wielkości cząstek molekularnych o niewyobrażalnym stopniu złożoności. Tylko ktoś wprowadzony w arkana logicznej i fizycznej budowy tych systemów byłby w stanie dostać się do zaszyfrowanego wewnątrz tych elementów kodu.

Niektóre z większych procesorów zdawały się opierać na tak rewolucyjnych zasadach, że nawet ganimedzi stawali zdumieni; było to jak gdyby połączenie elektroniki z grawitetyką, przy czym cechy obu rodzajów wiązały się w integralną całość, gdzie połączenia fizyczne między komórkami zawierającymi dane elektroniczne mogły być zmieniane za

pośrednictwem zmiennych ogniw grawitacyjnych. Zestaw sprzętowy był również programowalny i mógł być przełączany w przeciągu nanosekundy na jeden z dwu trybów pracy, tak iż każda komórka funkcjonowała raz jako pamięć, a raz jako element operacyjny; przetwarzanie danych mogło się dokonywać praktycznie w całym systemie – było to ostatnie słowo w zakresie paralelizmu funkcjonalnego. Jeden z inżynierów SKONZ, zaciekawiony i oszołomiony zarazem, nazwał ten system „soft hardware – bilion razy szybszy od mózgu...” Każdy z podsystemów informacyjnych statku – komunikacyjny, nawigacyjny, obliczeniowy, kontroli napędu i lotu oraz setki innych – składał się z sieci wzajemnie połączonych węzłów procesorowych tego właśnie rodzaju i wszystkie te sieci tworzyły niesamowitą pajęczynę, którą statek był pokryty wszerek i wzdłuż.

Bez szczegółowej dokumentacji i planów technicznych nie można było rozwiązać tego problemu. Ale dokumentacja nie istniała. Wszystkie informacje zamknięte były w tym samym systemie, do którego chcieli się dostać przy pomocy owych informacji. To tak, jakby mieć konserwę z urządzeniem do otwierania zamkniętym w środku.

Podczas najbliższego posiedzenia roboczego na pokładzie „Szapierona” główny elektronik ganimedzki oświadczył, że się poddaje. Gdy zwrócono mu uwagę, że ziemianie nie zrezygnowaliby tak łatwo, zastanowił się nad tym, przyznał oponentowi rację i wrócił do Nadszybia. Po tygodniu kolejnych prób znów zjawił się na statku i oświadczył ostatecznie i z emfazą, że jeśli ziemianie uważają, iż zrobiliby to lepiej, niech pokażą, co potrafią. On się poddaje.

Na tym sprawa się zakończyła.

Na Ganimedesie nie było nic więcej do roboty. Toteż przybysze obwieścili wreszcie z dawna oczekiwaną decyzję – przyjmują zaproszenie rządów ziemskich do wylądowania na planecie. Nie jest to równoznaczne z decyzją osiedlenia się na Ziemi. To prawda, że w promieniu wielu lat świetlnych nie ma dla nich w kosmosie miejsca; tym niemniej wielu ganimedów nadal nie miało pewności, co ich czeka na Planecie-Zmorze. Ale jako istoty na wskroś racjonalne postanowili zrobić najbardziej racjonalną rzecz w tej sytuacji – nie przesądzać niczego z góry, obejrzeć Ziemię. Jakąkolwiek decyzję co do swych dalszych losów postanowili odłożyć do czasu, gdy zdobędą dość konkretnych informacji, na których będą mogli ją oprzeć.

Części załogi obu misji kończyły się kontrakty i ludzie mieli wracać na Ziemię w ramach rozkładu lotów, tak jak na to pozwalały możliwości. Wtedy to ganimedzi przedstawili propozycję, że zabiorą na Ziemię każdego, kto planował wyjazd, i zostali zasypani prośbami.

Szczęściem Hunt otrzymał w tym czasie wiadomość od swego bezpośredniego szefa Gregga Caldwell, dyrektora Oddziału Nawkomu z SKONZ, który donosił, że jego misja na Ganimedesie dobiegła końca i że w Houston czekają na niego nowe zadania. Poczyniono już przygotowania do sprowadzenia go na Ziemię. Hunt nie miał specjalnych trudności ze

skreśleniem swego nazwiska z listy pasażerów SKONZ; bez trudu też przeniósł się na listę „Szapierona”.

Jeśli chodzi o Dancheckera, głównym powodem jego przybycia na Ganimesesa były badania nad oligoceńskimi zwierzętami ziemskimi, znalezionymi na wraku statku ganimesedzkiego w Bazie Nadszybia. Profesor namówił Monczara, zastępcę dowódcy ekspedycji ganimesedzkiej, do zabrania interesujących okazów, gdyż na „Szapieronie”, jak dowodził, było dość miejsca. Następnie przekonał swego dyrektora z Instytutu Biologii Westwood w Houston, że dalsze badania łatwiej będzie prowadzić na Ziemi, gdzie uczone może mieć wszystko, czego dusza zapagnie. Osiągnął zamierzony skutek – również wracał na Ziemię.

Nadszedł czas wyjazdu. Hunt spakował się i rozejrzawszy się po raz ostatni po maleńkim pomieszczeniu, które przez tak długi czas było jego domem, ruszył znajomym, mocno wydeptanym korytarzem prowadzącym do kopuły mieszkalnej, by dołączyć do reszty odlatujących. Po wypiciu strzeżennego z przyjaciółmi pozostającymi w bazie i wymianie zapewnień, że pozostaną w kontakcie i kiedyś na pewno się spotkają, grupa odlatujących przeszła do budynku nadzoru prac terenowych. W przedsionku służy czekał dowódca bazy z kilkoma swymi ludźmi, by ich oficjalnie pożegnać. Następnie przeszli rękawem do kabiny ślizgacza lodowego, który miał ich zawieźć na pas startowy. Stamtąd transportowcem polecą do Bazy Głównej.

Siedząc w ślizgaczu Hunt z mieszanymi uczuciami spoglądał przez jeden z wizjerów na mijane budynki i konstrukcje Nadszybia, majaczące w lekko zamglonej, migotliwej, odwiecznej metanowo-amoniakalnej atmosferze. Oczywiście, przyjemnie jest wracać do domu po tak długim czasie, lecz będzie mu brakowało takiego życia, do jakiego przywykł tu, w tej maleńkiej społeczności załogi SKONZ, gdzie wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli i gdzie słowo „obcy” było nieznane. Duch koleżeństwa, poczucie przynależności grupowej, świadomość wspólnych celów – wszystko to składało się na intymną atmosferę maleńkiej zbawczej oazy życia, wydartej przez człowieka wrogiej pustyni Ganimesesa. A przecież uczucia, których w tej chwili doświadczał z taką mocą, zatrać się szybko w pamięci, skoro tylko powróci na Ziemię, gdzie co dnia będzie się ocierał o miliony anonimowych istot żyjących własnym życiem i dążących do własnych celów. Tam, na Ziemi, zwyczajne i sztuczne bariery społeczne stanowiły linie demarkacyjne, jakich człowiek potrzebuje, by zaspokoić psychologiczną potrzebę identyfikacji z określoną kulturą. Tu, na Ganimesesie, mała kolonia nie potrzebowała wznosić sztucznych barier, by odgrodzić się od reszty gatunku; wystarczyła sama natura, setki milionów kilometrów pustki wszechświata.

Może to dlatego, myślał, ludzie rozbijają namioty na południowej ścianie Everestu, odbywają samotne rejsy dookoła świata i spotykają się co rok, by wspominać z nostalgią lata szkoły lub służby wojskowej. Wyzwania i trudy, z jakimi się stykają w tych sytuacjach, cementują więzi, które nie mogłyby się rozwinąć w ochronnym kokonie normalnego

społeczeństwa, i sprawiają, że ludzie odkrywają w sobie i w innych wartości, jakich nigdy by się nie spodziewali. Hunt wiedział, że, podobnie jak samotny żeglarz czy alpinista, nieraz będzie wspominał to, co przeżył na Ganimedesie.

Danchecker był mniej romantycznie usposobiony.

– Nie obchodzi mnie, czy odkryją siedmiogłowe potwory na Saturnie – powiedział, gdy znaleźli się na pokładzie transportowca. – Kiedy wrócę do domu, już się stamtąd nie ruszę. Dość czasu spędziłem pośród tych piekielnych machin.

– Jestem pewien, że gdy znajdziesz się na Ziemi, zaczniesz cierpieć na agorafobię – zażartował Hunt.

W Bazie Głównej przeszli kolejną rundę pożegnań. Potem zawieziono ich, ubranych w skafandry kosmiczne, do „Szapierona”, którego opuszczona część rufowa umożliwiała wejście na pokład; nie mogli polecieć bezpośrednio do jednej z wnęk ładowniczych statku, gdyż rękawy wysuwające się z budynku odlotowego bazy nie pasowały do śluz statków filialnych „Szapierona”. Kilku członków załogi, po przywitaniu u stóp rampy wejściowej, wprowadziło ich do części rufowej statku, gdzie czekała winda, którą dostali się do części głównej.

W trzy godziny później zakończono załadunek i ostatnie przygotowania do odlotu. Garuth w asyście kilku innych ganimedów oraz dowódca bazy, który przyjechał z kilkoma swymi oficerami, wymienili przy rampie oficjalne słowa pożegnania. Po ceremonii ziemianie wsiedli do pojazdu i wrócili do bazy, a ganimedzi znikli we wnętrzu statku, po czym rufa „Szapierona” podniosła się do góry do pozycji startowej.

Hunt był sam w przydzielonej kabinie, i gdy żegnał spojrzeniem widoczne na ekranie ściennym budynki bazy, usłyszał ZORAKA oznajmiającego, że za chwilę nastąpi start. Nie odczuł najsłabszego nawet drgnięcia; jedyna zmiana, którą zauważył, to gwałtowne zmniejszanie się i spłaszczanie obrazu bazy, gdy grunt zaczął uciekać w dół. Od krawędzi ku środkowi ekranu wdzierał się lodowy pejzaż Ganimedesa, który w miarę jak statek nabierał prędkości, rozlewał się w monotony ocean białej zmarzliny. Wkrótce Baza Główna była już tylko świetlistym punktem w tle krajobrazu, a od dołu ekranu jął posuwać się w górę ciemny łuk nie oświetlonej strony księżyca. U góry ukazała się jaskrawo oświetlona krzywizna satelity otoczonego chmurą gwiazd. Jasna wstęga pośrodku ekranu zwiężała się coraz bardziej, aż wreszcie jej końce zwinęły się i na tle czarnego nieba ukazał się jaskrawy sierp, kurczący się w oczach. Po chwili i półksiężyc, i gwiazdy rozpląły się w jasne smugi światła, które zlały się w końcu w jedno i cały ekran wypełniła jednolita, nieokreślona opalizująca mgła. Hunt zrozumiał, że statek idzie pełnym ciągiem, przejściowo odcięty od reszty wszechświata; a w każdym razie niedostępny dla informacji przesyłanych za pomocą fal elektromagnetycznych. Był ciekaw systemu informacyjnego, jakim w takiej sytuacji

posługują się ganimedzi, choćby dla celów nawigacyjnych. Będzie musiał porozmawiać o tym z ZORAKIEM.

Ale to może poczekać. W tej chwili pragnął odpocząć i przygotować się do nowej sytuacji. Powrót na Ziemię, w przeciwieństwie do podróży z Ziemi na Ganimedesa, miał potrwać tylko kilka dni.

Rozdział siedemnasty

Ganimedzi przybyli wreszcie na Ziemię.

Kiedy rządowi Ziemi nie udało się osiągnąć porozumienia co do miejsca przyjęcia istot pozaziemskich, parlament Stanów Zjednoczonych opowiedział się za podjęciem przygotowań na własną rękę – na wszelki wypadek. Wybór padł na przyjemne dla oka otwarte tereny na szwajcarskim brzegu Jeziora Genewskiego, które, jak się spodziewano, spełnią wymagania klimatyczne ganimedów; miejsce to było też szczególnie odpowiednie ze względu na tradycyjne nieuczestnictwo Szwajcarii w wojnach.

Mniej więcej w połowie drogi między Genewą a Lozanną ogrodzono liczący około dwóch kilometrów kwadratowych teren nadbrzeżny, gdzie wzniesiono całą kolonię domków przeznaczonych na mieszkania dla gości; pomieszczenia były wysokie, drzwi duże, masywne łóżka i lekko przyciemnione okna. Była tam też wspólna kuchnia, stołówka, pokoje wypoczynkowe, terminale podłączone do światowej sieci programów rozrywkowych, encyklopedycznych oraz informacyjnych, basen na wolnym powietrzu, teren rekreacyjny i wiele innych umilających życie rzeczy, które można było zorganizować w tak krótkim czasie. Olbrzymi betonowy plac przeznaczony był na lądowisko dla „Szapierona” oraz parking dla pojazdów i statków filialnych; osobny budynek miał służyć przyjmowaniu delegacji ziemian, konferencjom i życiu towarzyskiemu.

Gdy z Jowisza nadeszła wieść, że istoty pozaziemskie przybywają za kilka tygodni na Ziemię i że podróż potrwa tylko kilka dni, sprawa miejsca lądowania została tym samym rozstrzygnięta. W czasie gdy „Szapieron”, wychynawszy z przestrzeni kosmicznej, wchodził na orbitę okołoziemską, nad Genewą zaroilo się od suborbitalnych pojazdów, wiozących dostojników i głowy państw z każdego zakątka Ziemi; wszyscy pragnęli wziąć udział w przygotowanych pospiesznie uroczystościach powitalnych. Chmary brzęczących odrzutowców kursowały bez przerwy pomiędzy Międzynarodowym Portem Lotniczym w Genewie a osadą, zwaną obecnie na cześć przybyszów Ganyville, dowożąc dygnitarzy na miejsce przeznaczenia. Tymczasem na trasie Genewa-Lozanna zapanował nieopisany ścisk, gdyż pojazdy prywatne nie miały wstępu na teren zarezerwowany dla ganimedów. Górujące

nad Ganyville zbocza z godziny na godzinę pokrywały się coraz gęstszą pstrokacizną kolorów, gdy pierwsi gapie poczeli rozkładać się tu obozem, rozbijając namioty, rozkładając na trawie śpiwory, koce, ustawiając kochery; gotowi bronić do upadłego miejsc, skąd spodziewali się doskonale wszystko widzieć. Kordon uprzejmych, choć przepracowanych policjantów, wśród których było wielu Włochów, Francuzów i Niemców, gdyż policji szwajcarskiej było po prostu za mało, oddzielał dwustumetrową strefę ochronną między ogrodzeniem terenów ganimedzkich a stale wzbierającym tłumem widzów. Na przybrzeżnym pasie wody uwijała się flotylla policyjnych patrolówek, próbująca utrzymać w ryzach całą armadę łodzi, jachtów i wszelkiego rodzaju pływającego sprzętu. Wzdłuż szos kwitł handel, gdyż co bardziej przedsiębiorczy członkowie kupieckiego bractwa z pobliskich miast ładowali towary na ciężarówki i dowozili je do klienta. Tego dnia wielu z nich dorobiło się małych fortun; sprzedawali wszystko co się dało – od gotowych dań i wełnianych swetrów po buty turystyczne i duże teleskopy.

Niedaleko stąd, zaledwie kilka tysięcy kilometrów nad powierzchnią Ziemi, orbitował „Szapieron”. Wraz z otaczającymi go w chaotycznym szyku pojazdami SKONZ, stanowiącymi jego eskortę honorową, okrążał Ziemię, zużywając na każdą rundę półtorej godziny. Na wielu pojazdach ziemskich znajdowały się ekipy reporterów i zespoły filmowe, relacjonujące na żywo oczarowanym abonantom Światowej Sieci Agencyjnej wszystkie wydarzenia. Reporterzy nawiązali łączność z ZORAKIEM, a także z ziemianami przebywającymi na pokładzie „Szapierona” i racyli widzów zdjęciami wnętrza statku istot pozaziemskich, okraszając swój serwis szybko dezaktualizującymi się informacjami o rozwoju sytuacji nad brzegiem Jeziora Genewskiego. Do znudzenia powtarzali, że statek ganimedów pojawił się nad Ganimesem jak grom z jasnego nieba; mówili o wszystkim, co wyszło na jaw od tamtej chwili, o kolebce ganimedów, o celu ich ekspedycji na Iscarisa i o jej losach, słowem, wypełniali wszystkim czym mogli czas oczekiwania na wielkie wydarzenie. Połowa fabryk i urzędów na Ziemi zmuszona była zawiesić pracę i do czasu wylądowania ganimedów zamknąć po prostu swoje bramy, gdyż pracownicy albo przyklejali się do odbiorników prywatnych, albo do opłacanych z pieniędzy firmy. Prezes jednej z firm nowojorskich, poproszony na ulicy o komentarz przez reportera NBC, powiedział:

– Nie mam zamiaru wyrzucać tysięcy tylko po to, by się przekonać o prawdzie wypowiedzianych wiele wieków temu słów – że nie można płynąć pod prąd. Wysłałem moich ludzi do domu – niech oglądają na własnych ekranach. Zdaje się, że w tym roku wypadło nam dodatkowe święto.

A zapytany, co sam zamierza robić, odparł zdziwiony:

– Jak to co? Idę oglądać lądowanie, oczywiście!

Tymczasem na pokładzie „Szapierona” Hunt i Danchecker przebywali wraz z grupą ganimedów i ziemian w centrum dowodzenia. Znajdowali się w tym samym pomieszczeniu,

do którego zaprowadzono ich oraz Storrela podczas pierwszej pamiętnej wizyty delegacji Jowisza Pięć. Z „Szapierona” wysłano kilka owoidów, by zeszyły ku niższym wzniesieniom Ziemi i przekazały istotom pozaziemskim dokładniejsze widoki różnych jej partii; ziemianie wyjaśniali gościom znaczenie niektórych obrazów, przekazywanych przez owoidy. Przybysze patrzyli z niedowierzaniem na rojne i gwarne miasta, takie jak Nowy Jork, Tokio czy Londyn, otwierali oczy ze zdumienia na widok Sahary czy dżungli amazońskiej – obszarów odmiennych od tego, co istniało na Minerwie – i oniemiała z trwogi oglądali w zbliżeniu lwa podkradającego się do samotnej zebry w afrykańskiej sawannie.

Hunta wciągnęły bez reszty znane widoki zielonych kontynentów, spalonych słońcem równin i błękitnych oceanów, tak różne od odwiecznej skalno-lodowej pustyni w czarnej czeluści przestrzeni kosmicznej. W miarę jak na dużym ściennym ekranie ukazywały się i znikwały obrazy z różnych stron świata, wyczuwał zmianę w nastawieniu ganimedów. Początkowa nieufność i lęk, jaki przejawiali niektórzy z nich, ustąpił miejsca rosnącemu z minuty na minutę, udzielającemu się wszystkim podziwowi. Podnieceni nie mogli nasycić oczu widokiem nieprawdopodobnego świata, dokąd rzucił ich ślepy los.

Unoszący się na wysokości pięciu kilometrów ponad Jeziorem Genewskim owoid przekazał na „Szapierona” teleskopowy obraz tłumów, gromadzących się bez końca na stokach wznoszących się nad Ganyville wzgórz oraz na otaczających je halach. Ganimedzi byli mile zaskoczeni, a zarazem zdziwieni, że są obiektem tak powszechnego zainteresowania i że ich przybycie wzbudza tyle emocji. Hunt próbował im wyjaśnić, że ludziom nieczęsto zdarza się wizyta pozaziemskiego statku, zwłaszcza takiego, który przybywa z odległej o dwadzieścia pięć milionów lat przeszłości, lecz ganimedzi nie byli w stanie zrozumieć, że jakiegokolwiek wydarzenie na świecie może powodować spontaniczne reakcje emocjonalne na taką skalę. Monczar wyraził przypuszczenie, że ludzie, z którymi do tej pory mieli do czynienia, reprezentują raczej „wąską elitę nie podlegających emocjom, racjonalnie działających ziemian, a nie przeciętnych mieszkańców planety”. Hunt doszedł do wniosku, że nie warto wyprowadzać go z błędu; przyjdzie czas, że Monczar przekona się sam, jak jest naprawdę.

Rozmowy ucichły i wszyscy wpatrywali się z napięciem w ekran, gdy jeden z ganimedów kazał ZORAKOWI skierować owoid nieco niżej i dać większe zbliżenie. Po chwili zobaczyli małe, porośnięte trawą wzgórze, na którym pełno było ludzi w różnym wieku, różniących się wzrostem, zachowaniem i ubiorem. Jedni gotowali strawę, inni pili, jeszcze inni grali, a niektórzy po prostu siedzieli beczynnienie; ludzie ci mogli być widzami na wyścigach, mogli brać udział w zabawie ludowej czy oglądać popisy lotnicze, lub robić wszystkie te rzeczy naraz.

– Czy oni są bezpieczni tam, na tej otwartej przestrzeni? – po chwili milczenia spytał niepewnie jeden z ganimedów.

– Bezpieczni? – nie rozumiał Hunt. – W jakim sensie?

– Dziwię się, że nikt z nich nie ma przy sobie broni. Myślałem, że powinni mieć przy sobie broń.

– Broń? Po co? – nadal nie rozumiał Hunt.

– Drapieżniki – odparł ganimed, jakby to była rzecz oczywista. – Co zrobią, jeśli zostaną zaatakowani przez drapieżniki?

Danchecker wyjaśnił, że tylko kilka gatunków zwierząt jest niebezpiecznych dla człowieka, a te żyją jedynie na ograniczonych obszarach, o tysiące kilometrów oddalonych od Szwajcarii.

– Och, a ja myślałem, że dlatego wokół tego miejsca zbudowany został system ochronny – powiedział ganimed.

– To nie z obawy przed drapieżnikami – roześmiał się Hunt – lecz żeby trzymać ludzi z daleka.

– Czy to znaczy, że mogą nas zaatakować? – przeraził się ganimed.

– Ależ skąd! Chodzi po prostu o to, by nikt wam nie zakłócał spokoju i by ktoś sam sobie nie napytał biedy. Rząd wychodzi z założenia, że nie życzyte sobie tłumów gapiów i turystów kręcących się między wami i wchodzących każdemu w drogę.

– A czy rząd nie mógł po prostu ustanowić prawa, by trzymali się z daleka? – spytała Szilohin z drugiego końca sali. – To by było o wiele prostsze.

Hunt znów się roześmiał, gdyż bliskość domu poprawiła mu humor.

– Zbyt mało jeszcze wiecie o ziemianach – powiedział. – Oni by po prostu nie posłuchali. Nielatwo jest ich poddać, jak wy byście powiedzieli – dyscyplinie...

– Naprawdę? – zawołała wyraźnie zaskoczona Szilohin. – Zawsze myślałam, że jest zupełnie na odwrót. To znaczy... Oglądałam stare ziemskie kroniki filmowe, które znalazłam w archiwach Jowisza Pięc – z czasów, gdy na Ziemi bywały jeszcze wojny. Widziałam tam tysiące ubranych w takie same ubrania ziemian, poruszających się w idealnych sztykach do przodu i w tył, posłusznych komendom wykrzykiwanym przez niektórych z nich. A te wojny... Kiedy otrzymywali rozkaz, by toczyć wojnę i zabijać innych ziemian – wtedy byli posłuszni. Czy to nie jest zdyscyplinowanie?

– No... tak... – odparł Hunt niepewnie, modląc się, by nikt nie zażądał od niego wyjaśnień, gdyż nie zdołałby tego zrobić.

Ale ganimed, który tak się obawiał drapieżników, nie rezygnował.

– To znaczy, że jeśli im się każe zrobić coś w oczywisty sposób nieracjonalnego, wykonają to bez wahania – odezwał się. – A kiedy zażąda się czegoś, co nie tylko ma sens, ale ponadto świadczy o grzeczności – to nie posłuchają?

– Eee... chyba tak – przyznał Hunt słabo. – W każdym razie dość często.

Ktoś z załogi „Szapierona”, siedzący na stanowisku przy jednej z konsol, odwróciwszy głowę rzekł stanowczo:

– Oni wszyscy są obłąkani. Zawsze to mówiłem. To największy dom wariatów w całej Galaktyce.

– Oni są także naszymi gospodarzami – zganił go ostro Garuth. – Uratowali nam życie i przyjęli nas do swych domów. Nie życzę sobie, by mówiono o nich w ten sposób.

– Przepraszam – mruknął ganimed i wrócił do swego zajęcia.

– Proszę wybaczyć tę uwagę, doktorze Hunt – powiedział Garuth.

– Nic nie szkodzi – wzruszył ramionami Hunt. – Sam bym tego lepiej nie wyraził... Dzięki temu pozostajemy przy zdrowych zmysłach – dodał niezbyt jasno, na co ganimedzi wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

W tej samej chwili przerwał im głos ZORAKA.

– Zgłasza się naziemna kontrola lotów w Genewie – oznajmił. – Czy mogę jeszcze raz połączyć z doktorem Huntem?

Hunt podszedł do konsoli łączności, z której korzystał już parokrotnie w czasie lotu. Rzuciwszy się na ogromny fotel, kazał ZORAKOWI dać połączenie. Na ekranie ukazała się znajoma twarz genewskiego kontrolera lotów.

– Halo, doktor Hunt, to jeszcze raz ja. Jak tam na górze?

– Wciąż czekamy – odparł Hunt. – Jest coś nowego?

– Premierzy Australii i Chin przybyć do Genewa. Oni być za pół godzina w Genewa. Mam polecenie wydać pozwolenie na lądowanie dla was za godzinę. Okay?

– Możemy lądować za godzinę – zawołał Hunt do czekających w napięciu osób i spojrzawszy na Garutha, spytał: – Czy mogę potwierdzić?

– Bardzo proszę – odparł Garuth.

– Okay – powiedział Hunt, zwracając się do kontrolera na ekranie. – Za sześćdziesiąt minut wylądujemy.

Wiadomość obiegła świat w ciągu kilku minut. Fala entuzjazmu sięgnęła szczytu.

Rozdział osiemnasty

Hunt w centralnej windzie „Szapierona” wpatrywał się w gładką powierzchnię tarczy umieszczonej przy drzwiach, podczas gdy na zewnątrz przepływał nie kończący się kadłub pojazdu. Za jego plecami tłoczyli się pozostali członkowie personelu SKONZ wracający z Ganimedesa. Wszyscy milczeli, pogrążeni w myślach o domu, do którego powracali po tak długiej nieobecności. Rozpoczęła się końcowa faza lądowania i „Szapieron” opadał rufą ku dołowi. W windzie było też kilku ganimedów. Mieli dołączyć do głównej grupy swoich rodaków, którzy jako pierwsi postawią stopę na powierzchni Ziemi; większość z nich czekała już w holu na rufie.

Pojawiające się i znikające symbole na tarczy indykatora nagle przestały się zmieniać i w chwilę później obszerne drzwi windy rozsunęły się. Wszyscy wysiedli. Znaleźli się w obszernym owalnym korytarzu, oddzielonym cylindryczną ścianą od rdzenia statku. Wzdłuż zewnętrznej ściany w równych odstępach rozmieszczone były wejścia do sześciu dużych śluz. Tłum ganimedów wypełniał korytarz; większość milczała dziwnie. Hunt spostrzegł przy jednej ze śluz Garutha w otoczeniu kilku towarzyszy; po jednej ręce miał Szilohin, po drugiej Monczara, tuż obok stał Jassilane. Wszyscy czworo, podobnie jak reszta ganimedów, spoglądali w górę na olbrzymi ekran, umieszczony na ścianie rdzenia nad wejściem do windy. Hunt począł przeciskać się przez tłum. Gdy znalazł się obok Garutha, także podniósł wzrok.

Na ekranie ukazało się widziane z góry wybrzeże. Obraz dzielił się na dwie niemal równe części – z jednej strony panowały zieleń i brąz wzgórz, z drugiej niebo odbijające się w wodzie. Żywe kolory tylko gdzieś łagodziła biel obłoków, których cienie kładły się na ziemi wyraźnymi plamami; dzień był słoneczny. Z wolna pojawiało się coraz więcej szczegółów terenu, który zaczął uciekać ku brzegom ekranu, w miarę jak statek zbliżał się ku powierzchni.

Z płaskiej mazaniny barw wykwitły chmury, stając się pływającymi na pejzażu wysepkami kłębiącej się bieli; zniknęły wraz ze zmniejszaniem się pola widzenia i zbliżaniem się Ziemi.

Widać już było ciemne plamki domów; rozsypane pojedynczo lub grupkami, stały pośród wzgórz, wzdłuż krętych nitek coraz wyraźniejszych dróg. Dokładnie pośrodku ekranu, pod rufą „Szapierona”, tuż nad brzegiem jeziora, jaśniała biała plama – betonowe lądowisko w Ganyville; nabierały kształtów regularne szeregi domków w obrębie osady. Wąski pas zieleni podkreślał obwód wokół pustej przestrzeni między ogrodzeniem a tłumem widzów. Poza tą linią Ziemia miała wyraźnie jaśniejsze zabarwienie – efekt tysięcy twarzy zwróconych ku niebu.

Hunt zauważył, że Garuth mówi coś cicho do mikrofonu, przerywając co jakiś czas, jakby czekał na odpowiedź. Doszedł do wniosku, że ganimed porozumiewa się z załogą centrum dowodzenia i nie chcąc mu przeszkadzać, uruchomił własny kanał komunikacyjny.

– No, jak tam, ZORAK? – spytał.

– Wysokość dwa tysiące dziewięćset metrów, prędkość sześćdziesiąt metrów na sekundę, wciąż zwalniamy – odparł znajomy głos. – Jesteśmy naprowadzani radarami. Mamy pełną kontrolę, wszystko dobrze.

– Wygląda na to, że to będzie gorące powitanie – zauważył Hunt.

– Powinieneś zobaczyć zdjęcia przesłane przez sondy. W promieniu wielu kilometrów wzgórz są pełne ludzi. Jakies trzysta metrów od brzegu jeziora tłoczą się setki małych łodzi. Przestrzeń nad i wokół lądowiska jest wolna, lecz poza tym niebo roi się od pojazdów. Pół waszej planety musiało się tu zlecieć.

– Co na to ganimedzi? – spytał Hunt.

– Wydają się trochę przestraszeni.

Szilohin dostrzegła Hunta i podeszła.

– To nie do wiary – powiedziała, wskazując ręką ekran nad ich głowami. – Czy my naprawdę jesteśmy aż tak ważni?

– Nieczęsto zdarza im się widzieć istoty pozaziemskie, spadające z gwiazd – uśmiechnął się Hunt. – Korzystają więc z okazji. – Zamilkł, tknięty nagłą myślą, po czym powiedział: – A wie pani, dziwna rzecz... Ludzie na Ziemi od stuleci twierdzili, że ukazują im się UFO, latające spodki i tak dalej, i przez cały ten czas trwała zażarta dyskusja, czy to prawda, czy tylko złudzenie. Słusznie przypuszczano, że kiedy wreszcie ktoś się naprawdę pojawi, nikt nie będzie miał najmniejszych wątpliwości. Teraz wszystko jest jasne.

– Lądowanie za dwadzieścia sekund – oznajmił ZORAK i Hunt wyczuł falę podniecenia, przechodzącego przez otaczających go ganimedów.

Na ekranie widać było teraz tylko siatkę domków i białą przestrzeń betonowego lądowiska. Statek opadał na skraju płyty bliżej jeziora, podczas gdy po przeciwnej stronie, przed domkami, widać było czarne punkciki, które po chwili okazały się postaciami ludzkimi.

– Dziesięć sekund – oznajmił ZORAK.

Ucichł stłumiony gwar rozmów. Słychać było tylko odległy szum powietrza wokół statku i głuchy pomruk silników.

– Wylądowaliśmy na planecie Ziemi. Czekam na dalsze instrukcje.

– Przygotować się do zejścia na ląd – zakomenderował Garuth. – Wyłączyć wszystkie systemy lotu i sporządzić raport z maszynowni.

Mimo iż nie odczuł żadnego ruchu, Hunt wiedział, że część statku, w której się znajdują, opuszcza się w dół, w miarę jak trzy rury wind wysuwają się z trzonu kadłuba. Tymczasem ekran wypełniło widziane z bezpośredniej bliskości betonowe podłoże.

Nie opodał pustej powierzchni, nad którą rozpinały się cztery mosty stateczników, pomiędzy statkiem a domkami, szerokim łukiem rozstawionych było kilkuset ludzi. Wyprężeni na baczność w równych czworobokach, czekali niby żołnierze podczas parady wojskowej. Na czele każdej grupy stał dzierzący flagę narodową swego państwa chorąży. Przed każdą grupą, wysunięte o krok od chorążych, były stanowiska głów państw, otoczonych najbliższymi współpracownikami. Czekali wyprostowani, wszyscy w ciemnych, oficjalnych garniturach. Hunt dostrzegł gwiazdki i pasy flagi Stanów Zjednoczonych, godło Zjednoczonego Królestwa i kilka innych flag – Zjednoczonej Europy, ZSRR, Chin; było ich mnóstwo i większości nie potrafił rozpoznać. Z tyłu i z boków widział barwne, paradne mundury wojskowych; jego oczy chwytaly refleksy słońca, odbijane od wypolerowanych instrumentów orkiestry dętej. Próbował w myślach znaleźć się na miejscu czekających tam ludzi. Żaden z nich nie stał nigdy jeszcze oko w oko z istotą pozaziemską. Hunt próbował wyobrazić sobie, co czują, widząc opuszczającą się z nieba srebrzystą wieżę. Moment był niepowtarzalny; nigdy w historii nie zdarzyło się nic podobnego i taka chwila nigdy się już nie powtórzy.

– Segment wyjściowy na ziemi – zabrzmiał znów głos ZORAKA. – Ciśnienie wyrównane, zewnętrzne drzwi śluzy otwarte, rampy schodowe wysunięte. Gotowi do otwarcia drzwi.

Hunt czuł wzrastające wokół napięcie. Wszystkie głowy odwróciły się w kierunku Garutha. Przywódca ganimedów powiódł wolno spojrzeniem po swym zespole, rzucił okiem na grupkę ziemian stojących wciąż jeszcze przy windzie i zatrzymał wzrok na Huncie.

– Wychodzimy w ustalonej kolejności – powiedział wreszcie. – Ale jesteście tu obcy. Pomiędzy nami są inni, którzy wracają do ojczyzny. Oni nas poprowadzą na Ziemię.

Ganimedom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Nim Garuth skończył mówić, ich szeregi rozdzieliły się; środkiem powstał korytarz wiodący od drzwi windy do Hunta i Garutha. Po chwili ziemianie ruszyli wolno powstałą uliczką. Z przodu szedł Danchecker. Gdy zbliżyli się do śluzy, obok której stał Hunt, ganimedzi usunęli się, zostawiając wolne dojście do drzwi.

– No i co, Chris? – rzucił Hunt, gdy on i Danchecker spojrzeli sobie w oczy. – Jeszcze chwila i będziesz w domu.

– Jeśli o mnie chodzi, mogło się obyć bez tej całej pompy – odparł profesor. – Czuję się jak Mojżesz wiodący swój lud przez pustynię. Ale nie ma rady, trzeba wychodzić.

Hunt stanął obok niego, z twarzą zwróconą do drzwi służby. Zerknął na Garutha i skinął głową.

– ZORAK, otwórz drzwi wewnętrzne, służa nr 5 – zakomenderował Garuth.

Metalowe żebrowane płyty rozsunęły się, znikając Huntowi z pola widzenia. Wszedł do komory służby i ruszył w kierunku otwartych drzwi zewnętrznych; krew pulsowała mu w skroniach, jak przez mgłę docierało do jego świadomości, że obok postępuje Danchecker, a za nimi podąża reszta personelu SKONZ. Od drzwi zewnętrznych schodziła ukośnie na beton płytka rampa. Stanęli u jej szczytu i znaleźli się, niby pod sklepieniem olbrzymiej katedry, pod metalowymi łukami widzianych od spodu stateczników, które wysoko ponad ich głowami doskonałą krzywizną schodziły się z kadłubem. Rampa, jak i cała powierzchnia, na której stał okrakiem statek, znajdowała się w głębokim cieniu, rzucanym przez kadłub i potężne stateczniki. Poza ciemnym kręgiem roztaczał się jasny słoneczny dzień i wszystko wokół tonęło w feerii barw – zieleń pobliskich wzgórz, biel i błękit odległych gór na tle nieba; tęcze kolory rozłożonych na wzgórzach tłumów; pastelowe barwy domków, gdzie dominowały róż, zieleń, czerwień, błękit i oranż; biel betonowej płyty lotniska i śnieżnobiałe koszule stojących nieruchomo osobistości.

A potem rozległy się okrzyki. Było to jak powolny przyływ, zaczynający się gdzieś u szczytów wzgórz i rosnący w siłę w miarę jak schodził coraz niżej; aż zalała ich wezbrana fala, wybuchając w uszach ogłuszającym krzykiem. Zdawało się, że wzgórza ożyły, gdy jak okiem sięgnąć tłum zaczął falować; dziesiątki tysięcy ludzi zerwało się na równe nogi i wrzeszcząc na całe gardło, dawało upust radości. Odreagowując długie oczekiwanie, machali czym popadło – rękoma, czapkami, koszulami, płaszczami. A z tego morza hałasów podnosiło się co chwila, opadało i znów powstawało uparte granie orkiestr dętych.

Po przejściu kilku kroków ziemianie zatrzymali się, odbierając wszystkimi pięcioma zmysłami znajome wrażenia. Po chwili zeszli z rampy i stanęli na stałym lądzie pod kolumnami stateczników „Szapierona”. Potem szli w słońcu, kierując się ku małej grupce reprezentantów Ziemi, która wysunęła się na czoło głównej masy witających osobistości. Poruszali się jak w transie, kręcąc machinalnie głowami na wszystkie strony. Przed oczami migotały im kolorowe wzgórza, błękit jeziora, a ponad wszystkim sterczał wysoko w niebo zastygły w bezruchu statek. Niektórzy zaczęli machać tłumom na wzgórzach, a tłumy odpowiedziały wzmożoną falą okrzyków. Po chwili machali rękoma wszyscy.

Podeszli bliżej i Hunt rozpoznał parę osób w grupie witających. Był tam Samuel K. Wilby, sekretarz generalny ONZ, obok niego Irwin Frenshaw, dyrektor generalny SKONZ z Waszyngtonu, a także generał Bradley Cummings, naczelny dowódca sił mundurowych SKONZ. Wilby wyciągnął rękę na powitanie, uśmiechając się szeroko.

– Doktor Hunt, jeśli się nie mylę – powiedział. – Witamy w domu. Przywieźliście ze sobą przyjaciół? Aha, i pan profesor Danchecker. Witamy.

Gdy wymieniali uściski dłoni, hałas wzmógł się nieopisanie. Spojrzeli w kierunku statku.

Na ziemię zstępowali ganimedzi.

U szczytu rampy ukazała się pierwsza prowadzona przez Garutha grupa. Ganimedzi przystanęli, rozglądając się wokół w całkowitym zaskoczeniu.

– ZORAK – odezwał się Hunt – zdaje się, że czują się trochę niepewni. Powiedz im, żeby zeszli na dół i przywitali się z ludźmi.

– Na pewno zejść – odparła maszyna. – Ale muszą najpierw ochłonąć z wrażenia. Pamiętaj, że od dwudziestu lat nie oddychali naturalnym powietrzem. To ich pierwsze wyjście na zewnątrz po tak długim czasie.

Dokoła rufowej części statku otworzyły się wszystkie śluzy, ukazując kolejnych ganimedów. Ustalony przez Garutha porządek zaczął się chwiać. Część przybyszów, przestępując z nogi na nogę, tłoczyła się w drzwiach śluzy, inni zeszli już do połowy rampy, jeszcze inni stali nieruchomo, wbijając wzrok w przestrzeń.

– Czują się trochę zagubieni – powiedział Hunt do Wilby’ego. – Powinniśmy podejść i dodać im odwagi.

Wilby skinął głową i wraz z towarzyszącą mu grupą ruszył naprzód. Kilku funkcjonariuszy ONZ prowadziło główną grupę wracających ziemian w kierunku oczekujących delegacji narodowych. Hunt i Danchecker wraz z kilkoma innymi zawrócili, by towarzyszyć Wilby’emu.

– ZORAK, połącz mnie z Garuthem – polecił półgłosem Hunt.

– Zrobione.

– Mówi Vic Hunt. No i jak wam się podoba?

– Moi ludzie chwilowo nie mogą się pozbierać – odparł znajomy głos. – Prawdę mówiąc, ja też. Wiedziałem, że nasze pierwsze wyjście pod gołe niebo będzie dużym przeżyciem, ale nie spodziewałem się, że aż tak. I te tłumy... wiwaty... Słów mi brak... – Jestem w grupie zbliżającej się do rampy, na której stoicie – poinformował go Hunt. – Weźcie się w garść i zejście na dół przywitać się.

Gdy znaleźli się u podnóża rampy, Hunt spojrzał w górę i zobaczył, że Garuth, Szilohin, Monczar i Jassilane schodzą na dół. Po obu stronach grupki ziemian poczęli się już gromadzić ganimedzi, którzy zdążyli zejść po pozostałych rampach.

Wreszcie Garuth zeskoczył na ziemię, a za nim jego towarzysze. Ganimed spojrzał z góry na Wilby’ego. Wolno i uroczyście uścisnęli sobie dłonie.

Hunt, pełniąc za pośrednictwem ZORAKA rolę tłumacza, dokonał wzajemnej prezentacji obu grup.

– To jeden z facetów SKONZ, którzy kierują tym całym kramem – powiedział do Garutha, gdy podeszli do Irwina Frenshawa. – Bez tej organizacji nigdy byście nas nie znaleźli.

Obie grupy połączyły się i wszyscy razem zaczęli oddalać się od rampy. Wyniosłe postacie ganimedów zbiegając po rampach dołączały do pochodu, podczas gdy czołowa grupa

weszła w krąg światła słonecznego i zatrzymała się, mając przed sobą delegacje poszczególnych państw. Okoliczne wzgórza znów rozbrzmiały nasilającą się wrzawą.

A potem Garuth wolno podniósł rękę w geście pozdrowienia. Jeden po drugim ganimedzi poszli w jego ślady. I tak stali w milczeniu, nieruchomo, a nad nimi wznosił się las rąk w powszechnie zrozumiałym geście pozdrowienia i przyjaźni dla wszystkich ludów Ziemi.

I nagle ze wzgórz stoczył się znów krzyk z tysiąca gardeł i był teraz jak zalewająca wszystko wysoka fala przyływu. Okrzyki z wielokrotnością się echem w dolinie, tak jakby szwajcarskie góry włączyły się potężnym grzmiotem w te pozdrowienia.

Wilby odwrócił się i krzyknął Huntowi w samo ucho:

– Pańscy przyjaciele zrobili prawdziwą furorę.

– Spodziewałem się zainteresowania – odparł Hunt – ale nie czegoś takiego. Możemy kontynuować?

– Bardzo proszę.

Hunt odwrócił się do Garutha.

– Chodźmy, czas poświęcić trochę uwagi tym ludziom; niektórzy z nich przybyli z bardzo daleka, by się z wami zobaczyć – powiedział.

Wolno, poprzedzani przez mieszaną grupę przywódców, ganimedzi ruszyli ławą w kierunku szefów rządów wszystkich państw świata.

Rozdział dziewiętnasty

W ciągu najbliższej godziny ganimedzi, przesuając się od jednej reprezentacji narodowej do drugiej, wymieniali z ziemianami krótkie formułki grzecznościowe. Gdy tylko przywódcy ganimedzcy przechodzili do następnej grupy, poprzednia rozsypywała się natychmiast i włączała w mieszany tłum ganimedów i ziemian wypełniających całą powierzchnię lądowiska. Ganimedom zgotowano na Ziemi zupełnie inne przyjęcie; w niczym nie przypominało tamtego pierwszego nieśmiałego dotknięcia lodów Ganimesesa w Bazie Głównej.

– Jednego wciąż nie rozumiem – powiedział Jassilane do Hunta, gdy ruszyli ku delegacji Malezji. – Każdego, z kim się witamy, przedstawiacie nam jako członka jakiegoś rządu. A ja bym chciał wiedzieć, gdzie jest właściwy rząd.

– Właściwy rząd? – zdziwił się Hunt. – Ale który?

– Ten, który rządzi planetą – odparł wielkolud, wykonując rozpaczliwy gest ręką. – Który to z nich?

– Żaden – odparł Hunt.

– Tak myślałem. A więc gdzie oni są?

– Nie ma nikogo takiego – odparł Hunt. – Planetą rządzą wszyscy i nikt.

– Powinienem był się tego domyślić – odparł Jassilane, a ZORAK nadał symulacji jego głosu cechy głębokiego westchnienia.

Reszta dnia zeszła na odbywających się w karnawałowej wprost atmosferze uroczystościach. Garuth wraz z pozostałymi przywódcami ganimedzkimi spędził trochę czasu z każdą z delegacji rządowych, nawiązując stosunki i ustalając kalendarz oficjalnych wizyt w poszczególnych krajach. Dla Hunta i ziemian, którzy przylecieli z Ganimesesa, był to pracowity dzień. Ze względu na zażyłość z istotami pozaziemskimi cieszyli się dużym wzięciem jako osoby wprowadzające i pośredniczące w dialogu z gośćmi. Na wniosek rządu europejskiego zorganizowano stałe biuro łączności – reprezentatywne międzynarodowe ciało pod egidą ONZ – z siedzibą w sektorze ziemskim Ganyville. Pod wieczór udało się wreszcie

opracować sensowną kolejność wspólnych problemów, które obie rasy miały zamiar przedyskutować.

Tego wieczoru w Ganyville odbył się wielki bankiet powitalny – potrawy podano oczywiście wyłącznie jarskie – w czasie którego słowa i wino płynęły jak woda. Po okraszonym niezliczonymi mowami posiłku obie rasy przemieszały się i zaczęto nawiązywać znajomości. W pewnej chwili Hunt, z kieliszkiem w ręku, znalazł się w rogu sali w towarzystwie trzech ganimedów. Byli to Walio i Kralom, dwaj oficerowie z „Szapierona”, oraz Strelsya – administratorka. Walio opowiadał o dziwnych rzeczach, jakich dowiedział się tego dnia.

– Na przykład taki Emmanuel Crow, jeśli dobrze zapamiętałem nazwisko – mówił. – To członek delegacji z tego kraju, w którym pan mieszka, Vic – z USA. Mówił, że jest z waszyngtońskiego departamentu stanu czy coś takiego. Jednego tylko nie mogłem zrozumieć – powiedział mi, że jest Indianinem, czerwonoskórym.

Hunt oparł się niedbale o stojący obok stolik i spokojnie sącył szkocką.

– No, i w czym problem? – spytał.

– Ale później spotkaliśmy rzecznika rządu indyjskiego, który nam powiedział, że Indie leżą bardzo daleko od Stanów Zjednoczonych – wyjaśnił Walio. – Więc jak Crow może być Indianinem?

– To inne Indie – odparł Hunt, czując, że za chwilę uwikłają się zupełnie, zwłaszcza że Kralom też miał coś do dodania na ten temat.

– Ja z kolei spotkałem kogoś, kto twierdzi, że jest z Indii Zachodnich, ale pochodzi ze wschodu.

– Są jeszcze Indie Wschodnie... – wtrąciła Strelsya.

– Wiem, ale to jest na zachodzie – bronił się Kralom. Rozbawiony Hunt sięgnął do kieszeni po papierosy, zastanawiając się, co powiedzieć, ale nim zdążył wymyślić jakieś wyjaśnienie, Walio znów zabrał głos:

– Najpierw myślałem, że skoro powiedział, iż jest czerwonoskórym, to może pochodzi z Chin, bo słyszałem, że oni są podobno czerwoni, a Chiny sąsiadują z Indiami. Ale okazało się, że Chińczycy są żółci.

– Może był Rosjaninem – wtrącił Kralom. – Ktoś mi mówił, że oni też są czerwoni.

– Nie, oni są różowi – stwierdziła stanowczo Strelsya, wskazując głową postawnego mężczyznę w czarnym garniturze, który odwrócony do nich plecami stał z inną mieszaną grupą. – Tamten jest Rosjaninem, o ile dobrze pamiętam. Możecie sami zobaczyć, jakiego jest koloru.

– Rozmawiałem z nim – podkreślił Kralom. – To jest biały Rosjanin. Tak mi powiedział, ale wcale nie wygląda na białego.

Tu trzy istoty pozaziemskie spojrzwały na Hunta, ufne, że potrafi im wyjaśnić te zawile sprawy.

– Nie zaprzatajcie sobie tym głowy – płątał się Hunt. – To są relikty przeszłości. W tej chwili ludzie na całym świecie tak się przemieszali, że wkrótce przestaną się nimi interesować.

O brzasku, gdy pogrążone w półcieniu zbocza wciąż skrzyły się tysiącem ogników, wszystko wokół ucichło, czasem tylko słychać było jakąś szamotaninę lub uderzenie czegoś ciężkiego o drewnianą ścianę, gdy w alejkach między domkami wysokie postacie, niepewnie, lecz w różowych humorach, zataczając się zdążyły do łóżek w swych kwaterach.

Tego dnia dostojni goście ze wszystkich zakątków świata poczęli opuszczać Ganyville, aby dać przybyszom tydzień na niezakłócony wypoczynek. Na okres ten przypadał mało forsowny kalendarz spotkań, głównie z uczonymi ziemskimi; nakręcono też kilka filmów informacyjnych, lecz poza tym ganimedzi zażywali swobody, ciesząc się, że mają nareszcie stały ląd pod stopami.

Wielu wylegiwało się po prostu na trawie, grzejąc się w promieniach słońca, które dla nich było wręcz tropikalne. Inni chodzili godzinami po terenie, zatrzymując się od czasu do czasu i głęboko wciągając powietrze w płuca, jakby chcieli się upewnić, że to wszystko nie jest snem; patrzyli z zachwytem na jezioro, zielone wzgórza i śnieżne czapy odległych szczytów alpejskich. Pozostali nie odchodziłi od podłączonych do światowej sieci informacyjnej terminali, nienasytzeni w zdobywaniu wiedzy o każdym przejawie życia na Ziemi, o ludziach, historii, geografii; interesowało ich dosłownie wszystko. Aby ułatwić ganimedom pracę, włączono w system ziemski ZORAKA, co umożliwiło niespotykaną w dziejach wymianę wiedzy dwu cywilizacji.

Ale najciekawszy widok przedstawiały dzieci. Urodzone na „Szapieronie” w czasie sławetnej odysei kosmicznej wiodącej z Iscarisa, nigdy nie widziały niebieskiego nieba, otwartych przestrzeni, gór, nie oddychały naturalnym powietrzem, i aż do tej chwili nie wyobrażały sobie, by mogły opuścić statek bez specjalnych środków ostrożności. Jedynym środowiskiem, jakie znały, była martwa pustka międzygwiazdna.

Początkowo wiele z nich nie chciało w ogóle wyjść ze statku w obawie przed ewentualnymi następstwami; wpajany im przez całe ich krótkie życie strach akceptowały całkowicie, traktując go jak niewzruszoną prawdę. Gdy wreszcie odważniejsze i żądne przygód, podpełzły do otwartych drzwi śluzy przy rampie, wyjrzały na zewnątrz, oniemiały ze zdumienia. Na podstawie relacji rodziców i ZORAKA wyrobiły sobie nader mętny obraz planet; dla nich były to jedynie o wiele większe od „Szapierona” miejsca, na których, zamiast w których, można mieszkać, przy czym nie miały pojęcia, co to właściwie znaczy. Gdy „Szapieron” wylądował na Ganimesie, pomyślały, że takie właśnie są planety.

Ale jakże inne było wszystko, co zobaczyły tutaj! Jak to możliwe, że setki ludzi chodzi sobie swobodnie pod gołym niebem w samych koszulach? Jak oddychają, dlaczego nie

eksplodują z powodu dekompresji? Mówiono im, że przestrzeń jest wszędzie, ale tu jej widocznie nie ma; co się z nią stało? Dlaczego wszechświat rozpadł się nagle na dwie części – jedna „w górze”, a druga „na dole” – choć jeszcze niedawno takie określenia były pozbawione sensu? Dlaczego na dole wszystko jest zielone? I kto zrobił te wszystkie ogromne rzeczy, dlaczego nadał im takie dziwne kształty, ciągnące się dalej niż wzrok sięgał? Dlaczego w górze jest niebiesko i dlaczego nie ma tam gwiazd? A skąd się wzięło światło?

Wreszcie, po łagodnych namowach, ośmieliły się zejść i dotknąć stopami gruntu. Nic im się nie stało. Wkrótce poczuły się pewniej i ruszyły na podbój nowego, cudownego świata. Betonowa płyta obok statku, dalej zielona trawa, drewniane ściany domków – wszystko było dla nich nowe i każde z dzieci odkrywało ten świat na własną rękę. Ale najbardziej zdumiewający był widok ciągnącej się zda się w nieskończoność wody – w całym wszechświecie nie było tyle wody, myślały, ile tu na jednym miejscu.

Wkrótce skakały i baraszkowały w najlepsze, upojone wolnością, jakiej nie zaznały nigdy dotąd. Ukoronowaniem dnia stały się wyścigi motorówek, jakie urządzili dla nich szwajcarscy policjanci; łódki pędziły jak szalone wzdłuż brzegu, to znów wypryskiwały na środek jeziora i wracały szerokim łukiem. Wkrótce stało się oczywiste, że tylko dorośli i ich uprzedzenia stały na drodze do osiedlenia się na Ziemi ich rasy – dzieci zdecydowały się bardzo szybko.

W dwa dni później Hunt popijał kawę w kawiarni miejskiej Ganyville, gdy ciche buczenie urządzenia, które nosił na przegubie, oznajmiło, że ktoś chce z nim rozmawiać. Nacisnął guzik i usłyszał w słuchawkach głos ZORAKA:

– Biuro koordynacyjne chce się z tobą porozumieć. Przyjmujesz?

– Tak.

– Doktor Hunt? – głos dziewczyny brzmiał młodo i przyjemnie.

– Przy aparacie – odparł.

– Tu biuro koordynacyjne. Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mógłby pan przyjść do nas? Potrzebujemy pańskiej pomocy.

– Pod warunkiem, że pani obieca wyjść za mnie – odparł Hunt, wpadając w nastrój, jakiego nie zaznał od dawna.

– Co?... – spytała zaskoczona i speszona dziewczyna. – Ja nie... ależ ja mówię poważnie.

– A skąd pani wie, że ja nie?

– Pan zwariował. No więc jak, przyjdzie pan? Służbowo...

To miłe, że potrafi odzyskać rezon, pomyślał.

– Z kim mam przyjemność? – rzucił lekko.

– Już panu mówiłam – biuro koordynacyjne.

– Nie o biuro mi chodzi, lecz o panią.

– Yvonne... Dlaczego pan pyta?

– Wie pani co, ubijemy interes. Pani potrzebuje mojej pomocy, a ja potrzebuję kogoś, kto mi pokaże Genewę, zanim wrócę do Stanów. No więc jak?

– To nie to samo – odparowała Yvonne i w głosie jej wyczuł śmiech. – Ja pana potrzebuję służbowo, a panu chodzi o prywatną rozrywkę. No więc przyjdzie pan?

– Ubijemy interes?

– Och... może. Zobaczymy. Na razie mamy kłopoty.

– Z czym?

– Mam tu paru pańskich przyjaciół. Chcą wyjść poza teren miasteczka. Pomyśleliśmy, że byłoby dobrze, gdyby pan poszedł z nimi.

Hunt westchnął i potrząsnął z rezygnacją głową.

– W porządku. Proszę im powiedzieć, że zaraz tam będę.

– Zrobione – odparła dziewczyna, po czym zniżając głos, dodała bardziej poufnie: – Mam wolne niedziele, poniedziałki i wtorki.

I wyłączyła się. Hunt skrzywił twarz w uśmiechu, dopił kawę i wstał od stolika. Nagle przyszło mu coś do głowy.

– ZORAK – rzekł z cicha.

– Tak, Vic?

– Czy jesteś podłączony do lokalnej sieci informacyjnej?

– Tak, dlatego mogłem połączyć tę rozmowę.

– Słusznie... Ale chodziło mi o to, czy ona rozmawiała przez standardowy dwukierunkowy wideoterminal?

– Tak.

– Z dekodermem wizji?

– Tak.

Hunt przez chwilę tarł w milczeniu podbródek.

– A nie zarejestrowałeś przypadkiem jej obrazu? – spytał.

– Owszem – odparł ZORAK. – Dać playback?

I nie czekając na odpowiedź maszyna powtórzyła całą rozmowę, ukazując obraz na ekranie ręcznego monitora Hunta. Hunt kiwał głową, gwizdząc przez zęby z uznaniem. Yvonne była atrakcyjną niebieskooką blondynką; doskonale prezentowała się w dopasowanym jasnym żakiecie i białej bluzce – standardowym stroju pracowników ONZ.

– Rejestrujesz wszystkie rozmowy, jakie łączysz? – spytał Hunt kierując się ku drzwiom.

– Nie, nie wszystkie.

– A więc dlaczego tę właśnie zarejestrowałeś?

– Wiedziałem, że się nią zainteresujesz – odparł ZORAK.

– Nie życzę sobie, by ktoś podsłuchiwał moje rozmowy – powiedział Hunt. – Możesz uważać to za upomnienie.

– Sprawdziłem też jej numer wewnętrzny – oznajmił ZORAK, ignorując uwagę Hunta – bo zapomniałeś ją o to spytać.

– Wiesz może, czy jest zamężna?

– Skąd mogę wiedzieć?

– No, nie wiem... Jak cię znam, mógłbyś się nawet włamać do akt osobowych personelu ONZ.

– Mógłbym, ale tego nie zrobię – powiedział ZORAK. – Są rzeczy, które szanujący się komputer może dla ciebie zrobić, i są takie, których nie robi. Dalej radź sobie sam.

Hunt wyłączył kanał. Potrząsając głową wyszedł z kawiarni i ruszył do budynku biura.

W kilka minut później znalazł się na pierwszym piętrze, gdzie czekał na niego Garuth i paru innych ganimedów w towarzystwie kilku pracowników ONZ.

– Pragnęlibyśmy odwzajemnić przyjęcie, jakiego doznaliśmy od ziemian – powiedział Garuth. – Chcemy wyjść poza granice miasteczka, by spotkać się z ludźmi.

– Czy to możliwe? – zwrócił się Hunt do dostojnego siwowłosego mężczyzny, który zdawał się być najwyższy rangą z całej grupy.

– Oczywiście. Są naszymi gośćmi, nie więźniami. Ale pomyśleliśmy, że lepiej będzie, gdy pójdzie z nimi ktoś, kogo dobrze znają.

– Chętnie służę – skinął głową Hunt. – Chodźmy.

Kierując się ku drzwiom, dojrzał w głębi biura siedzącą przy konsoli audiofonicznej Yvonne. Mrugnął do niej szelmowsko i zarumieniona dziewczyna schyliła głowę nad klawiaturą. Po chwili jednak podniosła wzrok, uśmiechnęła się, odpowiedziała mu mrugnięciem i natychmiast wróciła do pracy.

Na zewnątrz przyłączyli się do nich kolejni ganimedzi oraz grupa szwajcarskich policjantów, dowodzona przez wystraszonego oficera. Ruszyli jezdnią, po czym skręcili w lewo i idąc między rzędami domków, doszli do bramy z siatki stalowej. Znaleźli się na otwartej przestrzeni i ruszyli zwirowaną dróżką, schodząc z niewielkiego wzniesienia. Tłumy siedzące na porośniętych trawą zboczach zafalowały. Ludzie zrywali się na równe nogi i stawali, wpatrując się w idących. Poruszenie wzrosło, gdy ganimedzi zatrzymali się przed bramą, którą policjanci natychmiast otworzyli.

Hunt, z Garuthem po jednej ręce i dowódcą oddziału policjantów po drugiej, wyprowadził wszystkich przez bramę. Gwar głosów spotężniał, rozległy się radosne okrzyki. Ludzie poczęli zbiegać ze wzgórz; naciskający tłum zatrzymał się dopiero przed kordonem policji. Machali rękami i wołali do idących ku nim przez wolną strefę ganimedów.

Policjanci rozstąpili się, by przepuścić idących, i nagle stłoczeni po drugiej stronie kordonu ludzie stanęli twarzą w twarz z budzącymi grozę wielkoludami z innego świata. Podczas gdy okrzyki ze wszystkich stron nie słabły, pierwsze szeregi zachwiały się i cofnęły, jakby czując respekt przed obcymi. Garuth zatrzymał się i wolno powiódł spojrzeniem po

twarzach stojących w półokręgu ludzi. Każdy, kto napotkał wzrok ganimeda, odwracał oczy. Hunt rozumiał ich niepewność, lecz zarazem obawiał się, że szlachetny gest Garutha pozostanie bez odzewu.

– Jestem Vic Hunt – zawołał głośno prosto w tłum. – Przyleciałem z tymi istotami aż z Jowisza. To jest Garuth, dowódca statku ganimedzkiego. On i jego towarzysze przyszli tu na własne życzenie, by spotkać się z wami osobiście. Pokażcie im, że są u siebie.

Ale ludzie nadal się cofali. Niektórzy mieli wyraźnie ochotę zrobić powitalny gest, lecz każdy oglądał się na stojących obok, czekając, by kto inny wystąpił z inicjatywą. A wtedy dwunastoletni chłopiec w ciężkich butach do chodzenia po górach i krótkich skórzanych spodenkach w stylu alpejskich górali, wyrwawszy się trzymającej go za rękę matce, podbiegł śmiało do Garutha. Kobieta wyskoczyła za nim, lecz stojący obok mężczyzna powstrzymał ją obejmując ramieniem.

– Mam ich gdzieś, proszę pana – oświadczył głośno chłopak. – Chcę uścisnąć pańską dłoń – i dwunastolatek z gęstą jasną czupryną i piegowatą twarzą ufnie wyciągnął rękę do olbrzyma.

Garuth zdębiał, ale zaraz twarz jego przybrała wyraz, który musiał być ganimedzkim uśmiechem, i wyciągnawszy rękę, potrząsnął serdecznie dłonią małego. Z ludzi opadło napięcie i tłum radośnie rzucił się ku ganimedom.

Hunt rozglądał się, obserwując całkowicie zmieniony obraz. Ganimed otaczał ramieniem roześmianą kobietę w średnim wieku, podczas gdy jej mąż robił im zdjęcie; inny wielkolud pił ofiarowaną filiżankę kawy, jeszcze inny przyglądał się z zaciekawieniem machającemu ogonem owczarkowi, którego przyprowadziła jakaś rodzina. Najpierw poklepał ostrożnie psa, po czym, ośmielony, pochylił się i począł tarmosić pieszczotliwie gęste futro. Owczarek szalał z radości i w nagrodę polizał go w czubek zwężającej się ku górze głowy.

Hunt zapalił papierosa i odszedłszy na bok, stanął obok dowódcy policjantów, który ocierał chustką spocone czoło.

– Widzisz, Heinrich, nie było tak źle – powiedział. – Mówiłem ci, że nie ma się czego obawiać.

– Możliwe, proszę pana – odparł wciąż jeszcze niezbyt zadowolony policjant. – Ale wolałbym, jak to wy Amerykanie mówicie, zmyć się stąd jak najprędzej.

Hunt spędził jeszcze kilka dni w sektorze ziemian Ganyville, pomagając organizować biuro pośrednictwa i wypoczywając. Po czym udzielił sobie urlopu. Korzystając z wolnego Yvonne polecili odrzutowcem do Genewy, żeby się zabawić. W trzy dni później lekko potargani, nieco niepewni i bezgranicznie szczęśliwi wyszli z jadącego na wschód pojazdu naziemnego, który zatrzymał się na głównej drodze, biegnącej wokół ogrodzenia.

Tymczasem – a minął już tydzień od wylądowania „Szapierona” – biuro pośrednictwa uporało się z problemami organizacyjnymi i dzięki jego pomocy grupy ganimedów składały

wizyty i uczestniczyły w konferencjach na całym świecie. Kilka takich grup wyjechało już dość dawno i właśnie zaczęły napływać raporty o ich działalności.

Przechadzające się – zawsze w towarzystwie czujnych policjantów – po Times Square, Placu Czerwonym, Trafalgar Square czy Polach Elizejskich grupki wysokich przybyszów nie wzbudzały już sensacji, choć były wciąż niecodziennym widokiem. W Bostonie wysłuchali z uznaniem koncertu beethovenowskiego, z mocno mieszanymi uczuciami zwiedzili londyńskie zoo, zaszczytli obecnością wystawne przyjęcia, które wydano na ich cześć w Buenos Aires, Canberze, Cape Town i Waszyngtonie, złożyli też wizytę w Watykanie. W Pekinie uznano ich kulturę za urzeczywistnienie ideałów komunizmu, w Nowym Jorku – ideałów demokracji, w Sztokholmie zaś – liberalizmu. A wszędzie witały ich żądne sensacji tłumy.

Raporty z różnych stron świata podkreślały zdumienie ganimedów spotykanym na każdym kroku bogactwem zwyczajów, barwnością, rozmachem i bujnością życia na Ziemi. Zauważyli, że każdy ziemianin spieszy się bez przerwy, tak jakby chciał przeżyć jednego dnia całe życie; jakby w obawie, że nie starczy mu tego życia, by wszystko zobaczyć i zrobić. Miasta minerwańskie w kategoriach konstrukcji i architektury były większe, lecz daleko im było do bogactwa, energii i pasji życia, tętniących dzień i noc w metropoliach ziemskich. Technika minerwańska poszła wprawdzie dalej niż ziemską, lecz tempo jej rozwoju było niczym w porównaniu z rozwojem cywilizacji ziemskiej; niezmordowanym, wiecznym pędem, rozpychaniem się, eksplozją na zewnątrz tej zdumiewającej planety.

Przemawiając na konferencji naukowej w Berlinie, jeden z naukowców ganimedzkich powiedział między innymi:

– Ganimedzka teoria powstania świata zakłada istnienie trwałej równowagi, gdzie materia pojawia się, spokojnie wypełnia przeznaczone jej zadanie, po czym równie spokojnie ginie. Jest to powolny, dokonujący się bez wysiłku proces ewolucyjny, harmonizujący z naszym temperamentem i naszą historią. Tylko człowiek mógł wymyślić katastroficzny początek. Myślę, że kiedy poznacie bliżej nasze systemy naukowe, porzucicie teorię Wielkiego Wybuchu. Ale zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że człowiek musiał wymyślić tę teorię. Albowiem, panie i panowie, tworząc obraz gwałtownego rozszerzania się materii po Wielkim Wybuchu, człowiek nie miał przed oczyma wszechświata, lecz – siebie.

Po dziesięciu dniach spędzonych na Ziemi Hunt odebrał telefon z SKONZ. Kierownictwo wyrażało nadzieję, że przyjemnie spędził urlop, po czym usłyszał, że niektórzy w Houston znają go jednak lepiej niż mu się wydaje i sądzą, że dobrze by było, gdyby pomyślał o powrocie.

Ponadto dowiedział się, że SKONZ zwołały za pośrednictwem biura konferencję naukową z udziałem grupy uczonych ganimedzkich, która odbędzie się w Kwaterze Głównej Nawkomu w Houston. Dla ganimedów, z jakichś powodów wykazujących ogromne zainteresowanie bezpośrednimi przodkami człowieka, będzie to doskonała okazja dowiedzenia się czegoś więcej o selenitach, a ponieważ selenologia rozwija się głównie w

Houston lub pod jego egidą, najsensowniej będzie tam właśnie ich zawieźć. Wyrażono życzenie, by Hunt, który i tak musi wracać do Houston, zorganizował i pilotował ich przyjazd do Teksasu. Wracający do pracy w Instytucie Biologicznym Westwood Danchecker postanowił lecieć razem z nimi.

I tak pod koniec drugiego tygodnia spędzonego na Ziemi Hunt znalazł się w dobrze znanym otoczeniu – na pokładzie lecącego na zachód nad północnym Atlantykiem na wysokości siedemdziesięciu pięciu kilometrów boeinga 1017.

Rozdział dwudziesty

– Kiedy cię posyłałem na Ganimedesa, chciałem, żebyś się dowiedział czegoś więcej o tych osobnikach, ale nie przypuszczałem, że przyprowadzisz wypełniony nimi statek.

Gregg Caldwell żuł cygaro i spoglądał zza biurka z wyrazem ubawienia i udanej rozpacz na twarzy. Rozparty w fotelu naprzeciwko Hunt skrzywił się w uśmiechu, pociągając łyk szkockiej. Jak to dobrze być znów w domu, w znajomych wnętrzach kwatery głównej. Nic się tu nie zmieniło: ani luksusowy gabinet Caldwell, którego ściany, z wyjątkiem jednej wypełnionej od góry do dołu ekranami, pokryte były freskami, ani tęczowa panorama wieżowców Houston w dole.

– Czyli dostałeś więcej, niż zapłaciłeś, Gregg? – odparł. – Chyba nie masz powodu do narzekań, co?

– Rzeczywiście. Nie narzekam. Wygląda na to, że znowu zrobiłeś kawał dobrej roboty. Ale faktem jest, że jak tylko dostajesz jakieś zadanie, sprawy zaczynają nam się wymykać spod kontroli. I zawsze dostaję więcej, niż się spodziewałem – to mówiąc Caldwell wyjął z ust cygaro i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale, jak słusznie zauważyłeś, nie mam powodu do narzekań.

Przez chwilę dyrektor przyglądał się Huntowi w zadumie, po czym spytał zniecierpliwiony:

– No... i jakie to było uczucie, gdy po raz pierwszy znalazłeś się poza Ziemią?

– Och, po prostu... nowe doświadczenie – odparł machinalnie Hunt.

Lecz podniósłszy głowę i widząc kpiące spojrzenie ocienionych krzaczastymi brwiami oczu, zrozumiał, że pytanie nie należało do grzecznościowych. Powinien był to wiedzieć. Caldwell ani nie mówił, ani nie robił nic bez powodu.

– „Poznaj samego siebie” – zacytował cichym głosem Caldwell. – A może i innych przy okazji, co? – dodał tonem niby to wyjaśnienia, lecz wesołe iskierki nadal tańczyły w jego oczach.

Hunt zmarszczył brwi, a po chwili oczy otworzyły mu się szeroko, gdyż nagle zrozumiał, co szef miał na myśli. Gdy rozpoczynano badania nad selenitami, zaraz po przyjeździe Hunta z Anglii do Houston, stosunki między nim a Danckekkerem były gorzej niż złe. Nie czyniono

żadnych postępów w pracy, gdyż obaj uczeni zużywali całą energię na osobiste porachunki. Ale potem, gdy przebywali w dzikim krajobrazie Księżyca zawieszeni w pustce kosmicznej między Ziemią i Jowiszem, nagle zniknął wszelki ślad po dawnych animozjach. Tam rozpoczął się harmonijny rozwój współpracy między nimi i nie było najbardziej choćby zawilej kwestii, której nie dałyby rady połączone siły odmiennych a uzupełniających się talentów naukowych. Takiego właśnie tandemu potrzeba było, by rozwikłać zagadkę selenitów. Teraz Hunt uświadomił sobie nagle, że wszystko to nie było dziełem przypadku. Patrzył na Caldwell z nabożnym szacunkiem, kiwając głową z uznaniem.

– Gregg – zaczął tonem żartobliwej wymówki – to twoja sprawka. Specjalnie to zrobiłeś.

– O co ci chodzi? – spytał Caldwell z niewinną miną.

– O Chrisa i o mnie. Tam w przestrzeni zaczęliśmy traktować się nawzajem po ludzku, nauczyliśmy się współpracować. Dlatego udało nam się rozwiązać zagadkę selenitów. Wiedziałeś, że tak będzie... – mówił Hunt, wyciągając oskarżycielsko palec. – Dlatego posłałeś nas tam razem.

Caldwell zacisnął mocne szczęki w pełen satysfakcji grymas.

– A więc dostałeś więcej, niż zapłaciłeś – odparował. – Nie masz powodu do narzekań, co?

– Spryciarz – rzekł z uznaniem Hunt, unosząc kieliszek. – W porządku, obaj zrobiliśmy dobry interes, i tak powinno być. Ale wróćmy do terażniejszości i przyszłości: jakie są twoje następne plany?

Caldwell pochylił się do przodu, opierając się łokciami o biurko.

– A co z tymi typami pozaziemskimi, których przywiozłeś z Europy? – spytał, wydmuchując kłęb dymu z cygara. – Czy nadal tracisz czas na opiekowanie się nimi?

– Przekazałem ich do Westwood – odparł Hunt. – Interesują się selenitami; chcieliby zwłaszcza popatrzeć na Charliego. Teraz zajmuje się nimi Chris Danchecker, dzięki czemu mam trochę swobody.

– Świetnie. Chciałbym, żebyś się zajął wstępnym podsumowaniem wiedzy naukowej ganimedów – powiedział Caldwell. – Ten ich wspaniały ZORAK, te wszystkie konferencje i dyskusje – to jest materiał, który trzeba jakoś uporządkować. Gdy opadną emocje, będzie masę roboty. Koordynując prace badawcze wokół Charliego, byłeś w stałej łączności z większością liczących się instytucji i placówek naukowych całego świata. Uruchom jeszcze raz te wszystkie kanały i zacznij katalogować i oceniać wszystkie nowe informacje, przede wszystkim rzeczy, które mają znaczenie dla SKONZ – na przykład ta ich grawitetyka. Może trzeba będzie skorygować wiele naszych programów badawczych w świetle tego, co te wielkoludy mają do powiedzenia. To jest najodpowiedniejszy moment, żeby się tym zająć.

– A więc grupa zostaje? – spytał Hunt, mając na myśli zespół do badań nad selenitami, na którego czele stał, podczas jego nieobecności pracujący nadal pod kierunkiem jego zastępcy.

– Tak – odparł Caldwell. – Wasz sposób pracy wydaje się stworzony do tego rodzaju zadań. Widziałeś się już z nimi?

– Wróciłem dopiero dziś rano – powiedział Hunt, potrząsając głową. – Od razu przyszedłem tutaj.

– Więc zrób to teraz – powiedział Caldwell. – Masz tu na pewno masę przyjaciół, z którymi chciałbyś się zobaczyć. Do końca tygodnia daję ci wolne, żebyś się w to wszystko wciągnął na powrót. A od poniedziałku bierzesz się do tego, o czym mówiliśmy. Zgoda?

– Zgoda. Najpierw pójde do moich ludzi i wyjaśnię im, czym się będziemy zajmować w najbliższym czasie. Chyba się ucieszą. Kto wie, jeśli się postarają, może do poniedziałku załatwią wszystko za mnie – powiedział Hunt i dodał spoglądając pytająco na Caldwell: – A może chodziło ci o to, żebym sam wszystko zrobił?

– Chodziło mi o to, żebyś myślał – chrząknął znacząco Caldwell. – To się nazywa przekazywanie uprawnień. Jeśli ty postąpisz tak samo, to znaczy, że myślisz. Więc zrób to.

Resztę dnia Hunt spędził ze swoim zespołem. Zapoznał się z przebiegiem pracy podczas swojej nieobecności – o najważniejszych rzeczach informowali go na bieżąco, gdyż prawie codziennie łączył się z nimi za pomocą sieci laserowej Jowisza Pięć, po czym omówił zadanie, jakie postawił im Caldwell. Gdy to usłyszeli, nie miał chwili oddechu; przez kilka godzin wyciskali z niego wszystko, czego zdołał się dowiedzieć o teoriach naukowych i osiągnięciach technicznych ganimedów. Minęła pora obiadowa, a współpracownicy wciąż go nie odstępowali; udało im się nawet zmusić go do obietnicy, że zorganizuje spotkanie z jednym lub kilkoma ganimedzkimi uczonymi dla omówienia warunków intensywnego szkolenia, które mogliby przeprowadzić przybysze. Opuszczając swoje biuro o dziewiątej wieczorem, Hunt pomyślał, że nie może narzekać na brak motywacji do pracy swego zespołu.

Nazajutrz unikał starannie tej części kompleksu budynków Nawkomu, gdzie mieściło się jego własne biuro. Rozpoczął dzień od telefonu do innego starego przyjaciela, Dona Maddsona, szefa sekcji lingwistycznej. Jego zespół, współpracujący z kilkoma uniwersytetami i instytutami badawczymi świata, odegrał jedną z najważniejszych ról w selenickiej sadze. Na podstawie dokumentów znalezionych przy Charliem oraz całej biblioteki tekstów mikropunktowych, odkrytej później w gruzach jednej z ich baz księżycowych położonej niedaleko miejsca odnalezienia Charliego, rozwiązali zagadkę języka selenitów. Gdyby nie tłumaczenia tekstów sporządzone przez zespół Maddsona, nie można by udowodnić choćby tego, że selenicy i ganimedzi pochodzili z tej samej planety.

Hunt zatrzymał się przed drzwiami gabinetu Maddsona, zapukał cicho i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Maddson siedział za biurkiem, studiując uważnie jakąś kartkę. Cały ich stós leżał obok; papierzyska te były nieodłączną częścią jego biura. Uniósłszy głowę, przez sekundę przyglądał się gościowi z niedowierzaniem, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Vic! Co ty tu... – zerwawszy się z fotela podbiegł do Hunta i zaczął potrząsać gwałtownie jego dłonią. – Wspaniale, że przyszedłeś... wspaniale. Wiedziałem, że wróciłeś na Ziemię, ale nikt mi nie powiedział, że jesteś już po tej stronie Atlantyku... – to mówiąc popchnął Hunta w stronę biurka, gdzie stał fotel klubowy. – Siadaj, siadaj... Kiedy przyleciałeś?

– Wczoraj rano – odparł Hunt, rozsiadając się wygodnie. – Najpierw musiałem zobaczyć się z Greggiem, a potem utknąłem w Grupie S. Gregg chce, żebyśmy opracowali kompendium wiedzy ganimedzkiej. Ludzie palą się do tej roboty. Zmusili mnie do mówienia przez kilka godzin w Barze Oceanicznym wczoraj wieczorem.

– Ganimedzi? – uśmiechnął się Maddson. – Miałem nadzieję, że nam któregoś przywieziesz.

– Mnóstwo jest ich teraz w Westwood, u Chrisa Dancheckera.

– Tak, wiem. Za jakiś czas mają nas też odwiedzić. Wszyscy się zzymają na tę zwłokę. Ludzie nie mogą się już doczekać, kiedy ich zobaczą – powiedział Maddson. Zasiadł w fotelu i przez chwilę patrzył na Hunta, oparłszy podbródek na splecionych dłoniach, wreszcie potrząsnął głową i ciągnął dalej: – Nie wiem, od czego zacząć, Vic. Tyle czasu minęło... tyle pytań ciśnie się na usta... Można by przegadać cały dzień. Ale pewnie masz już dość mówienia stale o tym samym?

– Bynajmniej – odparł Hunt. – Ale wolałbym zostawić to na przerwę obiadową. Może inni też będą chcieli posłuchać, a wtedy opowiem tylko raz. Inaczej rzeczywiście mogłoby mi obrzydnąć.

– Świetny pomysł – zgodził się Maddson. – Pogadamy o tym przy obiedzie. Tymczasem zgadnij, czym się teraz zajmujemy.

– Kto?

– My... nasza sekcja... lingwiści.

– Czym?

Maddson zaczerpnął powietrza i patrząc Huntowi prosto w oczy, wyartykułował głębokim gardłowym głosem niezrozumiałą ciąg sylab. Dokonawszy tego dzieła, odchylił się w fotelu i popatrzył na Hunta z dumą.

– Co to, u diabła, miało znaczyć? – zawołał Hunt, nie wierząc własnym uszom.

– Ty tego nie rozumiesz?

– A czy powinienem?

Maddson nie ukrywał swego zadowolenia.

– To było po ganimedzku, przyjacielu – wyjaśnił.

– Po ganimedzku?

– Po ganimedzku!

– Jak się tego nauczyłeś, na Boga Ojca? – zdumiał się Hunt.

Maddson odczekał chwilę, chcąc pobudzić jego ciekawość, po czym wskazał monitor stojący po jednej stronie biurka.

– Załatwiliśmy sobie własny kanał łączności z ZORAKIEM – powiedział. – Możesz sobie wyobrazić, ilu ludzi chce się do niego podłączyć, od kiedy wszedł w nasz system informacyjny. Ale SKONZ ma wszędzie pierwszeństwo. Ten komputer jest niesamowity.

– A więc to ZORAK nauczył was po ganimedzku? – spytał zdumiony Hunt. – Teraz rozumiem. Mogłem się domyślić, że nie przepuścicie takiej okazji.

– Bardzo ciekawy język – stwierdził Maddson. – Wygląda na to, że ma za sobą długą historię i że został w wysokim stopniu zrationalizowany – żadnych nieregularności, wyrazów wieloznacznych. Gramatyki bardzo łatwo się nauczyć, ale melodia i modulacja samogłosek z naszego punktu widzenia wydają się bardzo nienaturalne. Najtrudniejsza jest wymowa – machnął ręką. – To czysto akademickie zainteresowania, ale, jak słusznie zauważyłeś, nie mogliśmy się oprzeć pokusie.

– A co z tekstami selenickimi z Tycho? – spytał Hunt. – Rozszyfrowaliście resztę?

– Zgadłeś – powiedział Maddson, wskazując stos kartek na biurku i zavalony papierami stolik stojący pod ścianą. – Jak widzisz, nie próżnowaliśmy.

Maddson zasypał Hunta nowymi informacjami, które zdobył zespół lingwistów, dotyczącymi kultury selenickiej i organizacji życia na Minerwie pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Udało się odtworzyć zarys kształtowanej wojnami cywilizacji selenickiej; zrekonstruowano szczegółowe mapy różnych części planety wzbogacone informacjami geograficznymi, klimatycznymi oraz danymi dotyczącymi rolnictwa i przemysłu; znaleziono rozprawę o obowiązkach i powinnościach obywateli totalitarnej fortecy-fabryki, jaką w istocie była Minerwa; sporządzono opis rodzimych form życia na Minerwie, zrekonstruowanych na podstawie skamielin, wraz ze spekulatywnymi rozważaniami na temat przyczyn ich nagłego wyginięcia dwadzieścia pięć milionów lat temu. Były tam liczne wzmianki o gatunku istot rozumnych zamieszkujących planetę przed pojawieniem się selenitów; wspaniała cywilizacja, jaką reprezentowali ganimedzi, nie mogła zniknąć bez śladu. Selenicy podziwiali ruiny miast ganimedzkich, badali przerażające maszyny, nie rozumiejąc ich przeznaczenia, i odtworzyli dość dokładny obraz minionej cywilizacji. W większości swych pism selenicy nazywali ganimedów po prostu olbrzymami.

Po godzinie Maddson wygrzebał spod stosów papierów kilka map i rozłożył je przed Hunttem. Były to widoki nieba nocą; na pierwszy rzut oka Hunt nie mógł rozpoznać żadnej ze znanych konstelacji gwiazd. Podpisy w języku selenickim, jak się domyślił, rozrzucone były po całej powierzchni map, a pod każdym, drobniejszym pismem, umieszczone było tłumaczenie angielskie.

– To cię powinno zainteresować, Vic – powiedział drżący z podniecenia Maddson. – Te mapy nieba selenicy astronomowie sporządzili pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Jeśli przyjrzy się im dokładnie, rozpoznasz wszystkie znane gwiazdozbiory. Są trochę zniekształcone, gdyż

względne położenie gwiazd na niebie trochę się przez ten czas zmieniło. Jeśli chcesz wiedzieć, wysłaliśmy kopie tych map kilku astronomom, którzy na podstawie różnic w układzie konstelacji obliczyli przypuszczalny czas ich powstania – około pięćdziesięciu tysięcy lat temu.

Hunt nie odpowiedział, tylko pochylił się nad mapami. Było to doprawdy fascynujące – miał przed sobą obrazy nieba z okresu, gdy cywilizacja selenicka osiągnęła szczytowy punkt rozwoju; bezpośrednio przez katastrofą. Maddson miał rację – były tam wszystkie znane konstelacje, lecz nieco zdeformowane w porównaniu z mapami współczesnymi. Poza tym orientację utrudniały linie łączące większe gwiazdy, w niczym nie przypominające znanych ziemianom gwiazdozbiorów grupy; trudno było w tej plątaniu odnaleźć znajome wzory. Choćby Orion, który nie stanowił tu osobnej konstelacji, jego część była odrębną całością, druga – wraz z naszym Zającem – tworzyła jakąś nieznaną konstelację. Trzeba było dłuższego czasu, by odnaleźć obie części Oriona i scalić je w myśli w znajomą figurę.

– Już rozumiem – powiedział wreszcie w zadumie Hunt. – Im także gwiazdy układały się w obrazy, tylko zupełnie inne niż nam. Trudno się przyzwyczaić.

– Tak, to ciekawe – przyznał Maddson. – Oni dostrzegali w gwiazdach co innego niż my, grupowali je w inne figury. Zresztą nie widzę w tym nic dziwnego; zawsze mówiłem, że tak naprawdę pies jest tylko w wyobraźni patrzącego, a nie w gwiazdozbiórze zwanym Wielkim Psem. W każdym razie to ciekawe, że postrzegali świat podobnie jak my... ulegając własnej sugestii.

– Co to takiego? – zaciekawiał się nagle Hunt, wskazując dużą grupę gwiazd po lewej stronie mapy, którą właśnie oglądał.

Selenicy połączyli Herkulesa, Węża, Koronę Północną i część Wolarza w jedną wielką konstelację przypominającą rozgwiazdę morską. Angielskie tłumaczenie jej nazwy było proste: Olbrzym.

– Ciekaw byłem, czy to zauważysz – powiedział Maddson, kiwając z uznaniem głową. – Według naszych danych selenicy wiedzieli wszystko o ganimedach, którzy zamieszkiwali Minerwę przed nimi. To normalne, że nazwali ich imieniem jeden z gwiazdozbiorów... rodzaj hołdu... Jak widzisz – dodał, kładąc rozczapierzoną dłoń na mapie – wszystkie gwiazdozbiory noszą nazwy jakichś rzeczy, przeważnie zwierząt, jak i u nas. Widocznie to naturalna skłonność – i wskazując znów gwiazdozbiór odkryty przed chwilą przez Hunta, dodał: – Jeśli masz bujną wyobraźnię, możesz dostrzec tu zarysy ganimeda... ja je w każdym razie widzę. Popatrz – Herkules daje głowę i podniesione ręce, Wąż lekko zgiętą, odsuniętą do tyłu nogę... a linie łączące Koronę Północną i idące dalej do Arktura w Wolarzu – to druga noga. Widzisz teraz? To wygląda jak postać biegnąca lub skacząca.

– Masz rację – zgodził się Hunt. Przez chwilę błędził spojrzeniem gdzieś daleko, a wreszcie oświadczył: – Powiem ci, co nam to jeszcze mówi, Don. Otóż selenicy wiedzieli o

olbrzymach od początku swej historii, a nie dopiero wtedy, gdy zaczęła się rozwijać ich nauka.

– Z czego to wnosisz?

– Przyjrzyj się dobrze nazwom konstelacji. Sam mówiłeś, że nazywali gwiazdozbiory, korzystając z nazw rzeczy codziennych, zwierząt i tak dalej. Ten typ nazewnictwa jest charakterystyczny dla istot prymitywnych; nazwy czerpią z widzialnego świata, który je otacza. Przecież i nasze nazwy gwiazdozbiorów powstały w ten sam sposób.

– Chodzi ci o to, że odziedziczyli to nazewnictwo po przodkach? – powiedział Maddson.
– Że przetrwało przez wiele generacji i że jest dziedzictwem zamierzchłych czasów, gdy selenici byli na samym początku procesu cywilizacyjnego? Tak, to możliwe... – zamyślił się na chwilę. – Rozumiem, co masz na myśli... Nazwa „Olbrzym” utworzona została prawdopodobnie w tym samym czasie co i pozostałe. Wszystkie inne pochodzą z wczesnego okresu rozwoju selenitów, a więc i ta też. Wniosek: selenici od początku wiedzieli o ganimedach. Tak, zgadzam się... Ale prawdę mówiąc, nie widzę w tym nic dziwnego. Sądząc po obrazie cywilizacji ganimedzkiej, jaki oni sami nam przedstawili, z pewnością pozostawili na planecie po sobie mnóstwo śladów. Selenici pierwotni musieli je zauważyć, choćby byli nie wiem jak prymitywni. Wystarczyło mieć oczy.

– Nic dziwnego więc, że w ich traktatach i legendach jest tyle wzmianek o olbrzymach – zauważył Hunt. – Ta wiedza miała decydujący wpływ na rozwój ich cywilizacji i mentalności. Wyobraź sobie, jak wyglądałaby kultura Sumerów, gdyby wszędzie wokół siebie widzieli ślady zaginionej wysoko rozwiniętej cywilizacji. Mogli na przykład... A to co takiego?

Hunt, nie przerywając swej kwestii, przerzucał niedbale mapy i nagle znieruchomiał. Wlepił oczy w jedną z nich, wskazując palcem podpis. Nie odnosił się on do konstelacji, lecz do pojedynczej gwiazdy, odosobnionej i o stosunkowo małym stopniu jasności. Za to jej nazwa wypisana była wyraźnie pogrubionymi selenickimi literami. W tłumaczeniu nazwa ta brzmiała: Gwiazda Olbrzymów.

– Coś nie tak? – spytał Maddson.

– Nie... tylko to dziwne... – zastanawiał się Hunt. – Ta gwiazda nie leży wcale w pobliżu tamtej konstelacji. Znajduje się w ogóle na innej półkuli, niedaleko gwiazdozbioru Byka... ale podobnie się nazywają. Ciekaw jestem, dlaczego dali jej taką nazwę.

– A dlaczego nie? – wzruszył ramionami Maddson. – Dlaczego mieliby jej nie dać takiej nazwy? To tak samo dobra nazwa jak wszystkie inne. Może po prostu zabrakło im koncepcji.

Hunt wciąż wpatrywał się w mapę, osłupiały.

– Ale ona jest taka niewyraźna – mówił z namysłem. – Don, czy oni zaznaczali na swoich mapach stopnie jasności? To znaczy, czy gwiazdy jaśniejsze przedstawiali jako większe, podobnie jak my?

– Jeśli chodzi o ścisłość, to tak – odparł Maddson. – Ale co z tego? Czy to ma...

– Co to za gwiazda? – przerwał Hunt, do tego stopnia zaabsorbowany, że nie słyszał tego, co mówił przyjaciel.

– Nie mam pojęcia – rozłożył ręce Maddson. – Nie jestem astronomem. Czy to ważne?

– Chyba tak – odrzekł Hunt dziwnie miękko i wciąż jakby nieobecny duchem.

– Dlaczego?

– Posłuchaj. To mi wygląda na gwiazdę o bardzo małej jasności – czwartej, piątej albo jeszcze mniejszej wielkości. Nie wiem nawet, czy jest widoczna gołym okiem. A jeśli nie, to selenici mogli ją odkryć dopiero po wynalezieniu teleskopu. Zgadzasz się z tym?

– Powiedzmy – odparł Maddson. – Ale co z tego?

– A teraz zastanówmy się nad jej nazwą. „Gwiazda Olbrzymów” – to pasuje jak ulał do reszty nazewnictwa. Taką nazwę mogli wymyślić prymitywni selenici. Ale gdyby się okazało, że pierwsi selenici nic nie wiedzieli o tej gwiazdzie, bo jej po prostu nie byli w stanie dostrzec, to co? To by znaczyło, że gwiazda otrzymała tę nazwę o wiele później, gdy astronomia selenicka stanęła na wysokim poziomie. Ale dlaczego istoty, które osiągnęły wysoki stopień rozwoju cywilizacji, miałyby nadawać tego rodzaju nazwy?

Twarz Maddsona rozjaśnił błysk zrozumienia. Spojrzał na Hunta, a w jego wzroku malowało się niedowierzanie. Hunt skinął głową na znak, że przyjaciel wyciągnął prawidłowy wniosek.

– Właśnie. My błędziliśmy po omacku, szukając jakichś dowodów istnienia ganimedów. Tymczasem uczeni selenicy nie mieli takich problemów, mając to, czego my nie mieliśmy: planetę Minerwę, po której stąpali, natykając się co krok na niezliczone ślady i zabytki, stanowiące obiekt badań dla całych pokoleń archeologów – mówił i raz jeszcze skinął głową, by rozproszyć wątpliwości malujące się we wzroku Maddsona. – Odtworzyli bardzo dokładnie historię ganimedów, ale trzeba powiedzieć, że mieli wszystkie dane w rękę.

Umilkł i wyciągając wolno z kieszeni pudełko papierosów, formułował w myślach końcowy wniosek.

– Ciekaw jestem, co wiedzieli o tej gwiazdzie, czego my nie wiemy – powiedział wreszcie spokojnym już głosem. – Co takiego wiedzieli o niej, że nadali jej tę nazwę? Od dawna podejrzewaliśmy, że ganimedzi mogli wyemigrować na inny układ gwiazdny, ale nie potrafiliśmy tego dowiedzieć ani powiedzieć, o jaką gwiazdę mogło chodzić. A teraz to...

Dłoń, w której trzymał zapaloną zapalniczkę, zastygła w bezruchu.

– Słuchaj, Don – powiedział – czy ty też doświadczasz czasem uczucia, że to przeznaczenie kieruje twoimi krokami?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – odparł Maddson. – Ale teraz, kiedy to powiedziałaś, wydaje mi się, że tak.

Rozdział dwudziesty pierwszy

W miarę upływu czasu uczeni ganimedzcy nauczyli się cenić społeczność ziemskich uczonych i współpracować z nią. W wielu dziedzinach wiedza wniesiona przez istoty pozaziemskie przyczyniła się do znacznego rozwoju wiedzy człowieka.

W oparciu o banki danych ZORAKA powstały mapy powierzchni Ziemi z okresu późnooligocenijskiego, z czasów pierwszej ekspedycji ganimedów. Na mapach tych Ocean Atlantycki był o połowę mniejszy niż na mapach z XXI wieku, co wskazywało na znacznie wcześniejszą fazę dryfowania kontynentu amerykańskiego na zachód po jego oderwaniu się od Afryki. Morze Śródziemne było o wiele większe, a Półwysep Apeniński odwrócony, zanim nieustanne parcie Afryki ku północy nie wcisnęło go w kontynent europejski, doprowadzając równocześnie do powstania Alp. Półwysep Dekan właśnie połączył się z Azją i rozpoczął wypiętrzanie Himalajów, a Australia znajdowała się o wiele bliżej Afryki. Dokładne pomiary pozwoliły na sprawdzenie bieżących teorii tektoniki płyt kontynentalnych i rzuciły nowe światło na wiele aspektów ziemskiej wiedzy.

Ganimedzi konsekwentnie odmawiali podania informacji na temat umiejscowienia ich eksperymentalnych kolonii na Ziemi lub o obszarach, które w rezultacie ich działań dotknięte zostały klęską ekologiczną. Twierdzili uparcie, że najlepiej o wszystkim zapomnieć.

W instytutach fizycznych i na uniwersytetach całego świata odsłaniali zręby teoretyczne i podstawowe pojęcia swej wysoko rozwiniętej nauki, dzięki której powstała technika grawitacyjna, nie dając zarazem ziemianom gotowych matryc do konstrukcji obiektów i urządzeń o niezrozumiałych dla nich zasadach działania, których wprowadzenie wydawało się ganimedom przedwczesne. Kreślili jedynie zarys pewnych myśli przewodnich, twierdząc, że ziemianie wypełnią ten schemat własnymi odkryciami i we właściwym czasie.

Ganimedzi malowali wspaniałą i obiecującą obraz przyszłości, twierdząc, że wszechświat kryje w sobie nieskończone zasoby. Wszelkiego typu substancje, wskazywali, zbudowane są z identycznych atomów i mając właściwą wiedzę i dostateczne źródło energii, można zsyntetyzować wszystko, co się chce – metale, kryształy, polimery, oleje, cukry, białka – z dowolnej materii, której w kosmosie jest pod dostatkiem. Niewyczerpane zasoby energii, o

czym ludzie częściowo już się przekonali, czekają na wykorzystanie. Ziemia odbiera jedynie tysięczną część jednej bilionowej energii wypromieniowywanej przez Słońce. Przy tym prawie połowa energii zostaje odbita, a z tego, co dociera na powierzchnię Ziemi, tylko niewielka część znajduje praktyczne zastosowanie. Posługując się żargonem ziemskiego biznesu, ganimedzi przyrównywali niewielkie ilości energii, które udaje się uzyskać na powierzchni Ziemi, do początkowego kapitału zakładowego. Przepowiadali, że przyszłe generacje ocenią projekty typu Apollo jako straty poniesione w najintrygantniejszej w dziejach człowieka inwestycji.

Upływały miesiące i obie kultury przenikały się w coraz większym stopniu i przystosowywały wzajemnie, tak iż wydawało się, że ganimedzi byli na Ziemi zawsze. „Szapieron” nieustannie krążył między aerodromami całego świata; zabawiał wszędzie dzień lub dwa, przyciągając niezmiennie tysiące widzów; kilkakrotnie organizowano wycieczki dookoła Księżyca, które trwały zaledwie godzinę. Każdy, kto miał dostęp do terminala światowej sieci łączności i komu udało się przebić przez pękające w szwach łącza, mógł rozmawiać z ZORAKIEM; pewna liczba priorytetowych ścieżek dostępu zarezerwowana była dla szkół. Mimo odmiennego pochodzenia wielu młodych ganimedów pasjonowało się grą w baseball, w piłkę nożną oraz innymi rodzajami sportu; urodzeni na „Szapieronie”, nie zaznali dotąd takich rozrywek. Wkrótce zorganizowali własne drużyny, rzucając wyzwanie ziemianom. Początkowo rodzice byli zaniepokojeni rozwojem sytuacji. Świadomi tego, ile człowiek osiągnął w stosunkowo krótkim czasie dzięki duchowi współzawodnictwa, doszli jednak w końcu do wniosku, że właściwa człowiekowi wola zwycięstwa zaszczerpiona w małych dawkach na gruncie ganimedzkich zdolności racjonalnej analizy możliwości może dać ciekawe wyniki.

Już od sześciu miesięcy ganimedzi wizytowali wszystkie narody kuli ziemskiej; poznawali zwyczaje, przyswajali sobie ich kulturę, spotykali się z ludźmi – tak z wyżyn jak i z nizin, bogatymi jak i biednymi, sławnymi jak i całkiem zwykłymi. Nie byli już „istotami pozaziemskimi”, lecz po prostu nowym elementem środowiska, które ziemianie nauczyli się traktować jako zmienne. Hunt po raz wtóry, tym razem w skali globu, doświadczył uczucia, jakiego doznał, gdy ganimedzi polecili na Plutona – że stanowią nierozdzieloną część Ziemi. Bez ich ustawicznych pielgrzymek po świecie i poświęconych im nagłówków w gazetach świat nie byłby już normalny.

Wreszcie pewnego dnia Ziemię obiegła wiadomość, że Garuth wystąpi w światowej sieci agencyjnej, by przekazać ludom Ziemi ważne przesłanie. Nie podano, czego ma ono dotyczyć, lecz okoliczności zdawały się wskazywać, że będzie to moment zwrotny. Gdy nadszedł wieczór, na który zapowiedziano występ Garutha, cała ludzkość zebrała się przed ekranami.

Garuth mówił długo o wydarzeniach, które miały miejsce od czasu ich przybycia. Wspominał o wszystkim, co widzieli na Ziemi, o miejscach, które odwiedzili, i o tym, co przeżyli. Podkreślił raz jeszcze nieprawdopodobną wprost żywotność, niecierpliwość i pasję życia, jaką ze zdumieniem stwierdzali u mieszkańców każdego zakątka tego, jak to określił, „waszego wspaniałego, nieprawdopodobnego świata”. Potem w imieniu swej rasy wyraził jeszcze raz podziękowanie wszystkim rządowi i narodom, które okazały im bezgraniczną przyjaźń, gościnność i wielkoduszność i chciały podzielić się z nimi własnym domem.

W tym miejscu jego głos, od początku uroczysty, przybrał mroczniejsze tony.

– Jak większość z was wie, przyjaciele, od dawna już przypuszczano, że dawno temu, w jakiś czas po naszym odlocie z Minerwy, nasza rasa porzuciła planetę, by gdzie indziej poszukać dla siebie domu. Wyrażono też pogląd, że nową ojczyzną stała się dla niej planeta krążąca wokół odległej gwiazdy, znanej jako Gwiazda Olbrzymów.

Oba te sądy są czysto spekulatywne. Wasi i nasi uczeni od kilku miesięcy studiują razem zapiski selenitów, próbując znaleźć coś, co by te poglądy uwiarygodniło. Ale muszę wam wyznać, że wysiłki ich nie przyniosły jak na razie upragnionych rezultatów. Nie możemy więc z całą pewnością powiedzieć, że Gwiazda Olbrzymów stała się nową ojczyzną naszej rasy. Nie możemy nawet z całą pewnością stwierdzić, czy nasza rasa w ogóle wyemigrowała w kosmos.

Ale jest cień szansy, że oba te przypuszczenia są prawdziwe.

Podłużna twarz znieruchomiała i ganimed długo patrzył w milczeniu prosto w kamerę, jakby świadom tego, że widzowie przed monitorami całego świata domyślili się już, co chce im oznajmić.

– Muszę wam teraz powiedzieć, że ja i moi oficerowie długo dyskutowaliśmy i roztrząsaliśmy te kwestie. I podjęliśmy decyzję, że jakkolwiek małe są widoki powodzenia, musimy podjąć próbę odpowiedzi na te pytania. Niegdyś Układ Słoneczny był naszym domem, lecz przestał nim być. Musimy znów ruszyć w kosmos w poszukiwaniu naszej rasy.

Ponownie przerwał, pozwalając słuchaczom oswoić się z tą myślą.

– Decyzja ta nie przyszła nam łatwo. Mój lud spędził większość swego życia na penetrowaniu pustki kosmicznej. Nasze dzieci nigdy nie miały domu. Wiemy, że podróż do Gwiazdy Olbrzymów zajmie nam wiele lat. Oczywiście, mamy powody do smutku, ale, podobnie jak i wy, musimy iść za głosem instynktu. Nie spoczniemy, póki nie wyjaśnimy zagadki Gwiazdy Olbrzymów.

A więc żegnam was, przyjaciele. Zabierzemy ze sobą wdzięczną pamięć o tym, cośmy przeżyli tu, na tej słonecznej błękitnej i zielonej planecie Ziemi. Nigdy nie zapomnimy serdeczności i gościnności mieszkańców tej planety ani tego, co dla nas zrobili. To smutne, ale musimy was porzucić.

Za tydzień wyruszamy w drogę. Jeśli nasze poszukiwania nie dadzą rezultatu, wrócimy – my lub nasze potomstwo. Obiecuję wam to.

I Garuth pozdrowił wszystkich, podnosząc rękę i skłaniając lekko głowę.

– Dziękuję wam wszystkim. I do widzenia.

Jeszcze przez kilka sekund pozostał na ekranach, znieruchomiały w pożegnalnej pozie, po czym wyłączono kamery.

W pół godziny po swym wystąpieniu Garuth wyszedł główną bramą z centrum konferencyjnego Ganyville. Zatrzymał się, wdychając pierwszy zapach zimy spływający z gór wraz z nocnym powiewem. Dokoła panowała cisza, czasem tylko jakiś cień przesuwający się przez pomarańczowy krąg światła padającego z okien w alejkę między rzędami drewnianych domków. Powietrze było kryształowo czyste. Długo tak stał, patrząc w gwiazdy. A potem ruszył przed siebie ścieżką i skręciwszy na szeroką jezdnię, szedł między domkami w kierunku rzęsiście oświetlonej przegromnej wieży „Szapierona”.

Minąwszy jeden ze wsporników, znalazł się w kopulastej przestrzeni zamkniętej między statecznikami i nagle poczuł swą małość w obliczu potężnych metalowych łuków, strzelających w górę ponad jego głowę. Gdy wszedł w krąg światła padającego na jedną z ramp łączących opuszczoną rufę z ziemią, tuż obok wyłoniło się z mroku kilka wysokich postaci. Bez trudu rozpoznał w nich członków załogi, korzystających zapewne z przechadzki w łagodnym powietrzu tej cudownej nocy. Ale gdy podszedł bliżej, poznał po ich zachowaniu i sposobie, w jaki na niego patrzyli, że coś się zmieniło. Zwykle na jego widok rzucali jakąś dowcipną uwagę lub witali go radośnie. Tym razem było inaczej. Stali nieruchomo, milczący i pełni rezerwy. Gdy dotarł do podnóża rampy, usunęli się z drogi i podnieśli dłonie w należnym jego randze geście szacunku. Garuth odsalutował i przeszedł pomiędzy nimi, nie mając odwagi spojrzeć im w oczy. Nie padło ani jedno słowo. Wiedział, że oglądali program i wiedział, co czują. Cóż mógł im powiedzieć?

Wszedł po rampie do środka i minąwszy otwartą śluzę, przeszedł przez szeroki korytarz do windy, którą ZORAK trzymał dla niego w pogotowiu. W kilka sekund później poruszał się gładko w górę, ku głównemu kadłubowi „Szapierona”.

Wysiadł z windy na poziomie stu pięćdziesięciu metrów ponad podłożem i przeszedł krótkim korytarzem do swych apartamentów. W środku, w różnych miejscach pokoju siedzieli, czekając na niego, Szilohin, Monczar i Jassilane. Wyczuł w nich to samo nastawienie, co przed chwilą u tamtych przy rampie. Patrzył w milczeniu na kolegów, podczas gdy drzwi zasunęły się za nim bezgłośnie. Odwrócili wzrok, tylko Szilohin przesywała go spojrzeniem. Garuth westchnął z głębi duszy; stał chwilę wpatrując się nie widzącymi oczyma w metalowy wystrój przeciwległej ściany. Potem odwrócił się twarzą do nich. Szilohin nie spuszczała z niego oczu.

– Nadal nie jesteście przekonani, że musimy odejść? – odezwał się wreszcie.

Było to pytanie retoryczne, ale ktoś musiał coś powiedzieć. Uczona odwróciła wzrok, jakby biorąc na świadka niski stolik, stojący między nią a jej dwoma towarzyszami.

– Chodzi o sposób, w jaki to robimy – powiedziała. – Ufali ci ślepo przez wszystkie te lata, od kiedy opuściliśmy Iscarisa... Wiesz dobrze...

– Chwileczkę – przerwał jej Garuth, podchodząc do małej tarczy rozdzielczej umieszczonej przy drzwiach. – Myślę, że nie trzeba rejestrować tej rozmowy.

To mówiąc nacisnął przycisk, przerywając wszystkie kanały łączące pokój z ZORAKIEM, a tym samym z archiwum statku.

– Wiesz dobrze, że nie ma żadnej cywilizacji ganimedzkiej na Gwieździe Olbrzymów ani gdziekolwiek indziej – podjęła Szilohin nieledwie oskarżycielskim tonem, tak nie licującym z naturą ganimedów. – Przewertowaliśmy dokładnie wszystkie odnalezione teksty selenitów. Nic w nich nie ma. Zabierasz nas tylko po to, byśmy pomarli gdzieś tam w pustce międzygwiazdnej. Z tej podróży nie będzie powrotu. Karmisz ich mrzonkami, a oni pójdą ślepo za tobą. Tak postępują ziemianie, ale nie ganimedzi.

– Oddali nam do dyspozycji swoją planetę – mruknął Jassilane, kręcąc głową. – Przez dwadzieścia lat nasi ludzie marzyli tylko o powrocie do domu. A teraz, kiedy znaleźli dom, chcesz ich znów wywieźć w przestrzeń. Minerwy już nie ma; nic nie wróci jej do istnienia. Mieliśmy przysłowiowy łut szczęścia, że znaleźliśmy tu nową ojczyznę. Coś takiego może się zdarzyć tylko raz.

Garuth poczuł się nagle bardzo zmęczony. Rzucił się na fotel przy drzwiach i siedząc w półleżącej pozycji, objął wzrokiem trzy wpatrujące się w niego z uroczystymi twarzami postacie. Cóż jeszcze mógł dodać do słów towarzyszy? Tak, to prawda; ziemianie powitali jego lud jak odnalezionych po długim rozstaniu braci. Podzielili się z nimi wszystkim, co mieli. Ale w ciągu tych sześciu miesięcy pobytu na Ziemi Garuth zrozumiał więcej niż inni. Patrzył, słuchał, obserwował; widział to, czego inni nie widzieli.

– Dzisiaj ziemianie witają nas z otwartymi ramionami – powiedział. – Ale pod wieloma względami oni są jeszcze dziećmi. Pokazują nam swój świat, tak jak dziecko otwiera szafkę z zabawkami, chcąc się pochwalić nowemu koledze. Towarzysz zabaw jest dobry raz na jakiś czas; gdy jednak wprowadza się do naszego domu, roszcząc sobie równe prawa do naszych zabawek – to zupełnie co innego.

Garuth czuł, że jego rozmówcy pragną być przekonani, że chcieliby myśleć tak jak on – i nie mogą, choć próbowali już tyle razy. Nie miał wyboru, musiał znowu przez to wszystko przejść.

– Rasa ludzka wciąż jeszcze uczy się współzycia między sobą. Dziś jesteśmy garstką istot pozaziemskich – ciekawostką; z czasem stalibyśmy się dużą populacją. Ziemia nie jest jeszcze na tyle stabilna i dojrzała, by poradzić sobie z koegzystencją na taką skalę – wszak ludzie z najwyższym trudem tolerują siebie nawzajem. Jestem pewien, że kiedyś dojrzeją do takiego współzycia, ale ten czas jeszcze nie nadszedł.

Zapominacie o ich wrodzonej dumie i instynkcie współzawodnictwa we wszystkim. Nie potrafiliby zaakceptować sytuacji, w której instynkt mówiłby im, że są istotami drugiej

kategorii, a my rasą panów. Wtedy zmuszeni bylibyśmy odejść, nie chcąc narzucać siebie i swojego stylu życia niechętnym lub wręcz wrogo usposobionym gospodarzom. Tyle że zanim by to nastąpiło, zrodziłyby się problemy i nieprzyjemności. Lepiej odejść od razu.

Szilohin słuchała jego słów i buntowała się w duchu przeciwko temu werdyktowi.

– I z tego powodu chcesz oszukiwać własny naród? – wyszeptała. – Tylko dlatego, by zapewnić stabilną ewolucję tej obcej planecie, chcesz poświęcić własny naród – te wzruszające resztki naszej cywilizacji? Jaką w tym widzisz logikę?

– To nie moja logika, lecz czasu i losu – odparł Garuth. – Niegdyś Układ Słoneczny był niekwestionowaną domeną naszej rasy, ale skończyło się to dawno temu. Teraz jesteśmy tu intruzami. Nasza rasa to anachronizm; szczątki rozbitego statku wyrzucone na brzeg przez ocean czasu. Układ Słoneczny stał się dziedzictwem człowieka. Już nie należymy do tego świata. To nie my decydujemy, zdecydowały za nas okoliczności. My możemy się tylko podporządkować.

– Ale twój naród... – zaprotestowała Szilohin. – Czy oni nie mają prawa wiedzieć?

Uczona wyrzuciła ramiona w górę gestem rozpaczony. Garuth milczał chwilę, po czym wolno potrząsnął głową.

– Nie mam zamiaru mówić im, że nowa ojczyzna na Gwieździe Olbrzymów to mit – powiedział stanowczo. – Tylko my możemy nieść to brzemie, my, którzy nimi dowodzimy i kierujemy. Oni nie muszą wiedzieć... jeszcze. Nadzieja i wiara w racjonalny cel pozwoliła im przeżyć drogę z Iscarisa do Słońca. Muszą znowu wierzyć. Jeśli ich przeznaczeniem jest zginąć w mroźnych niezbadanych głębiach kosmosu, nie mając nikogo, kto by ich słał i oplakiwał, zasługują przynajmniej na to, by poznać prawdę, nim nastąpi koniec. To są skromne wymagania.

Przez długi czas panowała przykra cisza. Szilohin zapatrzyła się w przestrzeli rozważając sens słów Garutha. Wreszcie wyraz łagodnej zadumy na jej twarzy ustąpił miejsca gniewnemu zmarszczeniu brwi. Wzrok jej odzyskał blask, gdy znów na niego spojrzała.

– Garuth – powiedziała dziwnie spokojnym, opanowanym tonem. – Nigdy jeszcze nie mówiłam tak do ciebie, ale teraz powiem... Nie wierzę ci.

Jassilane i Monczar podnieśli głowy, zdumieni jej słowami. Ale Garuth nie był zaskoczony, jakby spodziewał się to usłyszeć. Odchylił się w fotelu i znów zapatrzył w ścianę. Po chwili wolno odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy.

– W co nie wierzysz, Szilohin?

– W twoje motywy... we wszystko, co mówiłeś przez ostatnie kilka tygodni. To po prostu... do ciebie niepodobne. To jest racjonalizacja motywów głębszych, nie nazwanych – mówiła zacinając się ganimiedka, podczas gdy Garuth wpatrywał się w nią usilnie. – Ziemia dojrzeła szybko – ciągnęła. – Zżyliśmy się z nimi, zaakceptowali nas w stopniu przekraczającym daleko nasze najśmielsze oczekiwania. Nie masz niczego na poparcie swoich przepowiedni. Nie ma żadnych przesłanek do przypuszczeń, że nie moglibyśmy

współistnieć, nawet gdyby było nas o wiele więcej. Ty nigdy nie poświęciłbyś swego ludu tylko dlatego, że coś mogłoby nie wyjść. Najpierw byś spróbował przynajmniej przez pewien czas. Muszą być inne powody. Nie poprę twej decyzji, póki się nie dowiem, co się za tym kryje. Mówiłeś o brzemieniu, jakie dźwigamy my, którzy dowodzimy i kierujemy. Jeśli rzeczywiście niesiemy to brzemie, mamy prawo wiedzieć, dlaczego.

Choć Szilohin dawno już przestała mówić, Garuth długo jeszcze patrzył na nią zadumany. Potem obrzucił takim samym spojrzeniem Jassilane'a i Monczara. W ich oczach malowało się poparcie dla Szilohin. I nagle zmienił się, jakby podjął decyzję.

Wstał, bez słowa podszedł do tarczy rozdzielczej i znów nacisnął guzik, przywracając łączność.

– ZORAK – zawołał.

– Słucham, panie komandorze.

– Pamiętasz dyskusję, jaką odbyliśmy miesiąc temu na temat wyników badań ziemian nad genetyką oligoceńskich gatunków życia znalezionych w Bazie Nadszybia?

– Tak.

– Chciałbym, żebyś nam przedstawił wyniki swojej analizy wszystkich danych. Do informacji tych mogę mieć dostęp tylko ja i tych troje, znajdujących się w pokoju.

Rozdział dwudziesty drugi

Na pożegnanie z „Szapieronem” do Ganyville ściągnęły takie same tłumy jak przy powitaniu, lecz nastrój był zdecydowanie inny. Nie było wiwatów, frenetycznych okrzyków. Mieszkańcy Ziemi nie ukrywali, że będzie im brakowało tych łagodnych olbrzymów, których tak dobrze zdążyli poznać.

Rządy Ziemi znów przysłały swych przedstawicieli. Na betonowej płycie lotniska, w cieniu olbrzymiego statku, po raz ostatni spotkały się delegacje ziemian i ganimedów. Gdy formalnościom stało się zadość i gdy wygłoszono ostatnie mowy pożegnalne, rzecznicy obu ras wymienili podarunki.

Przewodniczący Organizacji Narodów Zjednoczonych w imieniu wszystkich mieszkańców i narodów Ziemi wręczył odlatującym dwie ozdobne metalowe szkatułki, pokryte inskrypcjami i przybrane drogimi kamieniami. Pierwsza z nich zawierała wyselekcjonowane nasiona wielu ziemskich drzew, krzewów i roślin ozdobnych. W drugiej, nieco większej, były flagi wszystkich państw świata. Nasiona, mówił rzecznik, mają być wysiane na wybranym miejscu ich nowej ojczyzny, kiedy do niej dotrą; rośliny, które z nich wyrosną, będą symbolizować życie na Ziemi i przypominać o tym, że odtąd oba światy są na równi domem ziemian i ganimedów. Flagi zostaną wywieszane nad tym miejscem któregoś dnia w bliżej nieokreślonej przyszłości, gdy pierwszy statek ziemski zawita na Gwiazdę Olbrzymów. Tak więc, gdy kiedyś wreszcie człowiek uniesie się w przestrzeń międzygwiazdną, tam, po drugiej stronie czekać będzie na niego maleńka część Ziemi.

Darem Garutha dla Ziemi była wiedza. Przekazał przedstawicielowi ziemian wielką skrzynię wypełnioną książkami, tablicami, mapami i diagramami – było to, jak powiedział, kompendium ganimedzkiej genetyki. Dar ten był jedynym sposobem zadośćuczynienia za wytopienie niektórych gatunków zwierząt oligoceńskich podczas owych nieszczęsnych eksperymentów, przeprowadzanych dawno temu. Techniki opisane w przekazanych tekstach – mówił Garuth – pozwalają wypreparować kod DNA z dowolnej komórki dowolnej zachowanej części organizmu zwierzęcego i użyć go do wyhodowania żywego duplikatu organizmu. Mając w ręku ułamek kości, cień tkanki czy odprysk rogu, można zsyntetyzować

embrion, z którego rozwinię się zwierzę. Jeśli zachowały się jakiegokolwiek szczątki wytępionych zwierząt, które niegdyś zamieszkiwały powierzchnię Ziemi, wszystkie one mogą zmartwychwstać. Tak więc, wyraził nadzieję Garuth, gatunki, które spotkał nagły i przedwczesny koniec w wyniku podjętych przez ganimedów działań, będą mogły znów żyć i przemierzać Ziemię.

Po chwili ostatnia grupa ganimedów zatrzymała się przed wejściem do statku, w milczeniu odpowiadając machającym im na pożegnanie ze wszystkich okolicznych wzgórz ludziom, wreszcie wszyscy zniknęli we wnętrzu pojazdu. Razem z nimi weszła na pokład grupa ziemian lecąca na Ganimedesa, gdzie „Szapieron” miał złożyć krótką wizytę, by ganimedzi mogli pożegnać przebywających tam przyjaciół z SKONZ.

ZORAK odezwał się raz jeszcze za pośrednictwem ziemskiej sieci komunikacyjnej, przekazując ostatnie przesłanie ganimedów, po czym łączność została przerwana. „Szapieron” wciągnął rufę do pozycji startowej i przez chwilę ogromny statek stał tam samotny na oczach całego świata. A potem zaczął się unosić wolno i majestatycznie, aż wreszcie poszybował wysoko i zniknął w przestworzach.

Jedynie morze twarzy zwróconych w niebo, szeregi maleńkich figurek otaczających puste miejsce pośrodku betonowej płyty lotniska i rzędy opuszczonych drewnianych domków świadczyły, że przed chwilą był tu jeszcze.

Atmosfera na „Szapieronie” była również uroczysta. W centrum dowodzenia, pośrodku sali nie opodal podium, w otoczeniu najwyższych rangą oficerów stał Garuth, wpatrzony w ekran główny, gdzie niebiesko-biały wzór skurczył się nagle, zmieniając się w glob ziemski. Obok Garutha czekała milcząca, zajęta własnymi myślami Szilohin.

Wtem odezwał się ZORAK, a jego głos wydawał się dobywać z całych powierzchni ścian:

– Dane startowe normalne. Wszystkie systemy sprawdzone, funkcjonują normalnie. Proszę o potwierdzenie rozkazów.

– Potwierdzam wydane rozkazy – odparł Garuth spokojnym głosem. – Kurs Ganimedes.

– Wchodzę na kurs Ganimedes – oznajmił komputer. – Przylot według rozkładu.

– Nie włączaj przez chwilę głównego napędu – powiedział nagle Garuth. – Chciałbym jeszcze popatrzeć na Ziemię.

– Podtrzymuję napęd pomocniczy – padła odpowiedź. – Silniki główne gotowe do włączenia, oczekuję na dalsze rozkazy.

Mijały minuty, na ekranie kula ziemską kurczyła się stopniowo. Ganimedzi w milczeniu wpatrywali się w ekran.

– I pomyśleć, że nazywaliśmy ją Planetą-Zmorą – powiedziała wreszcie Szilohin do Garutha.

Garuth uśmiechnął się melancholijnie. Myślami był daleko.

– Obudzili się już z koszmarne snu – powiedział. – Co za nadzwyczajna rasa! Jestem pewien, że drugiej takiej nie ma w całej Galaktyce.

– A ja wciąż nie mogę uwierzyć, że to wszystko, cośmy widzieli, mogło powstać na drodze ewolucji z takich przodków – odparła Szilohin. – Nie zapominaj, że ukształtowała mnie stara szkoła; wiedziałam zawsze, że coś takiego nie jest możliwe. Wszystkie nasze teorie i modele wskazywały na małe prawdopodobieństwo rozwoju inteligencji w takim środowisku i wykluczały kategorycznie możliwość powstania wyższych form cywilizacji. A jednak... – rozłożyła bezradnie ręce – spójrz na nich. Dopiero co nauczyli się latać, a już marzy im się podbój gwiazd. Dwieście lat temu nie znali nawet elektryczności; dziś produkują ją przez syntezę jądrową. A na czym skończą?

– Myślę, że nigdy nie skończą – odparł Garuth z namysłem. – Nie potrafią. Muszą bez przerwy walczyć, tak jak ich przodkowie. Tamci zwalczali się nawzajem; oni podejmują wyzwanie kosmosu. Gdyby odebrać im ten cel, zginęliby.

Szilohin wciąż krążyła myślą wokół niezwyklej rasy, pnącej się uparcie w górę mimo niewyobrażalnych trudności i przeszkód, wynikających w dużej mierze z ich zepsucia; rasy, która teraz oto stała się wszechwładnym i niekwestionowanym panem Układu Słonecznego – niegdyś domeny ganimedów.

– Mają w swej historii wiele kart odrażających – powiedziała. – A przy tym są tak dziwnie wspaniali i dumni. Potrafią żyć w obliczu niebezpieczeństw, inaczej niż my, pewni, że mogą je przewyciężyć. Doświadczyli na sobie rzeczy, o jakich nam się nie śniło, i dlatego kroczą śmiało naprzód, tam gdzie my cofamy się bojaźliwie. Gdyby to ziemianie zamieszkiwali Minerwę dwadzieścia pięć milionów lat temu, jestem pewna, że sprawy potoczyłyby się inaczej. Oni nie poddiliby się po klęsce na Iscarisie, lecz znaleźliby wyjście z sytuacji.

Tak – przyznał Garuth. – Sprawy na pewno potoczyłyby się inaczej. Ale czuję, że i tak wkrótce dowiemy się, co by było, gdyby to oni byli na naszym miejscu. Niedaleka jest chwila, gdy ziemianie opanują przestrzeń międzygwiazdną i zapuszczą się aż poza Galaktykę. A wtedy wszechświat nie będzie już tym, czym był do tej pory.

Rozmowa utknęła, gdy dwoje ganimedów spojrzało na ekran, by po raz ostatni rzucić okiem na planetę, która zadała kłam ich teoriom, prawom, zasadom i przewidywaniom. W przyszłości nieraz przywoływać będą ten obraz, zachowany w informatycznych archiwach statku, lecz nigdy już nie przeżyją tego tak mocno.

Po długiej chwili milczenia Garuth powiedział głośno:

– ZORAK.

– Słucham, panie komandorze.

– Czas na nas. Włącz napęd główny.

– Przełączam ze stanu gotowości. Zaczynamy rozwijać pełną moc.

Ziemia zmieniła się w kolorowy krążek, który blednąc uciekał w tył, by wkrótce zlać się z brązową monotonną mgłą, która odtąd będzie zalegać ekran, póki nie dotrą do Ganimedesa.

– Monczar – odezwał się Garuth. – Mam coś do zrobienia. Przejmiesz na chwilę dowództwo?

– Rozkaz.

– Wspaniale. Będę u siebie, gdybym był do czegoś potrzebny.

Garuth przeprosił swych towarzyszy, odsalutował załodze i opuścił centrum dowodzenia. Szedł wolno korytarzami, prowadzącymi do jego prywatnych apartamentów, pogrążony w myślach, nie zwracając uwagi na otoczenie. Zamknąwszy za sobą drzwi mieszkania, przejrzał się w lustrze ściennym, jakby spodziewając się znaleźć na swej twarzy widome oznaki zmian po tym, co uczynił. Potem wyciągnął się w pozycji półleżącej na jednym z foteli i utkwiał nie widzące oczy w suficie, aż stracił rachubę czasu.

Wreszcie ocknąwszy się z letargu włączył ekran ścienny, w jaki wyposażona była jego kabina, i wywołał fragment mapy nieba obejmujący gwiazdozbiór Byka. Przez długi czas wpatrywał się nieruchomo w słaby punkcik świetlny, który będzie rósł w miarę upływu podróży. Miał nadzieję, że jego towarzysze się mylą. Zawsze istniała szansa. Jeśli ganimedzi rzeczywiście wyemigrowali na tę gwiazdę, jak wygląda ich cywilizacja po dwudziestu pięciu milionach lat, jakie upłynęły od chwili, gdy „Szapieron” opuścił Minerwę? Ich nauka? Jakie cuda stały się chlebem powszednim, o których nawet on nie miał pojęcia? Wybiegając myślami ku majaczącemu na mapie jasnemu punkcikowi, poczuł nagle przyływ nadziei. Zaczął sobie wyobrażać świat, który tam gdzieś na nich czeka, i ogarnęła go wielka niecierpliwość na myśl o latach, jakie muszą upłynąć, nim dowiedzą się prawdy.

Przypomniał sobie bezgraniczny optymizm uczonych ziemskich. Oto już olbrzymie tarcze radioobserwatorium położonego na odwrotnej stronie Księżyca wysyłają sformułowane w kodzie ganimedzkim sygnały o potężnej mocy w kierunku Gwiazdy Olbrzymów, by uprzedzić o przybyciu „Szapierona”. Dotrą na miejsce dopiero po wielu latach, ale i tak na długo przed nimi.

Opadł na fotel. Ogarnęła go rozpacz i przygnębienie. Wiedział równie dobrze jak jego najbliżsi współpracownicy, że nikt tam na nich nie czeka. W pismach selenitów nie znaleźli niczego, co potwierdzałoby te domysły. To były tylko pobożne życzenia ziemian.

Powrócił myślami do tej zagadkowej rasy, która przez tysiąclecia walczyła, by przezwyciężyć nieprawdopodobne trudności piętrzące się na jej drodze, a która teraz nareszcie wyszła z mroków przeszłości, zdążając ku bezpiecznej przyszłości, gdzie towarzyszyć jej będzie pomyślność i mądrość... o ile ludzi jeszcze przez jakiś czas pozostawi się w spokoju, by mogli dokończyć dzieła, które z taką odwagą zaczęli. Zbudowali swój świat na przekór chaosowi, wbrew teoriom i przewidywaniom mędrców i uczonych Minerwy. Zasłużyli na to, by nikt nie przeszkadzał im cieszyć się owocami zasłużonego sukcesu.

Garuth wiedział bowiem – a prócz niego wiedzieli o tym tylko Szilohin, Monczar i Jassilane – że to ganimedzi stworzyli rasę ludzką.

Ganimedzi byli bezpośrednią przyczyną wszystkich defektów, przeszkód i problemów, jakie na dobrą sprawę winny były zniweczyć wysiłki człowieka. Lecz człowiek pokonał wszystkie przeciwności losu. Sprawiedliwość wymagała, by pozwolić ludziom doskonalić ich świat na własną modłę, nie wtrącając się do niczego.

Ganimedzi wyrządzili im już dość złego.

Rozdział dwudziesty trzeci

W biurze Dancheckera, na jednym z wyższych pięter głównego budynku Instytutu Biologii w Westwood, on i Hunt oglądali odlot „Szapierona”, którego obraz przekazywała kamera teleskopowa umieszczona na jednym z satelitów Ziemi. Statek na ekranie malał stopniowo, potem nagle się powiększył, gdy zastosowano większe przybliżenie, po czym znów zaczął maleć.

– Trzyma się blisko Ziemi – zauważył Hunt ze swego fotela w rogu pokoju. – Jakby chcieli po raz ostatni rzucić na nią okiem.

Siedzący przy biurku Danchecker kiwał głową w milczeniu. Patrzył w zadumie na ekran. Słowa Hunta potwierdził podawany meldunek.

– Radary wykazują, że statek wciąż porusza się stosunkowo wolno w porównaniu z tym, co pokazał wcześniej. Nie wchodzi na trajektorię lotu, lecz oddala się powoli od Ziemi. Po raz ostatni mogą państwo obserwować na żywo ten fantastyczny pojazd, proszę więc napatrzeć się do syta. Kończy się właśnie najbardziej zdumiewający rozdział w historii Ziemi. Nasz świat na zawsze już pozostanie naznaczony pamięcią tego wydarzenia.

Komentator przerwał na chwilę, po czym ciągnął podniecony:

– Halo, halo, coś się z nim dzieje, jak mi podpowiadają koledzy... Statek zaczyna przyspieszać. Pędzi jak błyskawica, oddalając się od nas coraz szybciej...

Na ekranie w oszałamiającym tempie następowały po sobie kolejne fazy obserwacji: zbliżenie, oddalanie, zbliżenie, i tak coraz szybciej.

– Są na głównym ciągu – zauważył Hunt.

– Wizja się urywa... – mówił dalej komentator. – Zaczyna dawać o sobie znać pole naprężeń... Coraz słabiej go widać... Koniec! Proszę państwa, właśnie... – jego głos zamarł i obraz znikł, gdy Danchecker nacisnął guzik, przerywając połączenie.

– A więc wyruszyli na spotkanie losu, jakikolwiek on będzie – powiedział. – Życzę im szczęścia.

Nastąpiła chwila ciszy. Hunt gorączkowo szukał papierosów i zapalniczki. Wreszcie odchylił się w fotelu i rzekł:

– Wiesz co, Chris, kiedy się nad tym zastanowić, to te ostatnie parę lat było naprawdę godnych uwagi.

– Żeby nie powiedzieć więcej.

– Charlie, selenici, statek w Nadszybiu, ganimedzi, a teraz jeszcze to – wskazał ręką pusty ekran. – Czy można sobie wymarzyć piękniejszy moment? Wszystkie inne epoki wydają się w porównaniu z tym nudne. Nie uważasz?

– O tak... bardzo nudne – przyznał Danhekker mechanicznie, myślami wciąż towarzysząc pędzącemu gdzieś w przestrzeniach „Szapieronowi”.

– A jednak trochę szkoda... – odezwał się Hunt po chwili.

– Czego?

– Ganimedów. Nie zdążyliśmy rozwiązać wszystkich kwestii. Szkoda, że nie mogli zostać trochę dłużej – póki nie odpowiemy sobie na pewne pytania. Właściwie, to jestem nawet zaskoczony tym pośpiesznym wyjazdem. Zdawało mi się, że pewne rzeczy interesują ich nawet bardziej niż nas.

Danchekker długo zwlekał z odpowiedzią, jakby ważąc w myślach słowa Hunta. Wreszcie podniósł wzrok i spojrzał dziwnie na przyjaciela.

– Czyżby? – spytał, a w głosie jego brzmiało wyzwanie. – Jakie na przykład, jeśli mogę spytać?

Hunt przyjrzał mu się zaskoczony, marszcząc brwi i wydmuchując kłęb dymu.

– Sam wiesz, o jakie rzeczy chodzi. Co wydarzyło się na Minerwie po odlocie „Szapierona”? Dlaczego zwozili te wszystkie zwierzęta ziemskie? Co wykończyło zwierzęta minerwańskie? Te rzeczy... Ciekawe by było wiedzieć to wszystko, choć są to pytania zgoła akademickie.

– Ach, o to ci chodzi – rzucił Danhekker z wystudiowaną nonszalancją. – Z łatwością mogę ci odpowiedzieć na te wszystkie pytania.

Hunt zaniemówił pod wpływem wypowiedzianych stanowczym tonem słów. Przekrzywiając głowę profesor przyglądał mu się z uśmiechem, nie mogąc ukryć rozbawienia.

– No nie... Boże drogi... więc odpowiadaj! – wykrztusił wreszcie Hunt, podnosząc szybko zapalony papieros, który upuścił z wrażenia na oparcie fotela.

Danchekker przyglądał się w milczeniu tej nerwowej ekwilibryście, po czym zabrał głos:

– Gdybym chciał odpowiedzieć wprost na twoje pytania, niewiele by to dało, gdyż wiążą się one ściśle ze sobą. Większość odpowiedzi wynika z badań, jakie prowadziłem od chwili powrotu z Ganimedesa. Może więc będzie lepiej, gdy opowiem wszystko po kolei...

Hunt czekał w napięciu. Tymczasem Danhekker, nie spiesząc się, odchylił się wygodnie w fotelu i oparłszy brodę na splecionych dłoniach, zbierał myśli. Wreszcie podjął swą opowieść:

– Pamiętasz prace uczonych z Utrechtu, na które zwróciłeś mi uwagę po powrocie z Ganimedesa? Chodziło o to, że zwierzęta produkują małe dawki toksyn i zanieczyszczeń w celu zbudowania systemu ochronnego.

– Proces autoimmunizacji. Tak, pamiętam. To ZORAK je wynalazł. Zwierzęta produkują te toksyny, a ludzie nie. I co z tego?

– Temat wydał mi się intrygujący, toteż po naszej rozmowie zająłem się dokładnie tym problemem. Konferowałem też z profesorem Tathamem z Cambridge, moim starym przyjacielem, który zajmuje się tymi sprawami. W szczególności interesował mnie kod genetyczny, kierujący rozwojem systemu autoimmunizacji w embrionie. Wyszedłem z założenia, że przyczyn owej zasadniczej różnicy między nami a zwierzętami trzeba szukać na poziomie różnic genetycznych.

– No i?

– No i wyniki były bardzo ciekawe, powiedziałbym nawet, że fascynujące – mówił Danchecker dobitnym szeptem, akcentując każdą sylabę. – Jak stwierdził ZORAK, we wszystkich bez wyjątku gatunkach zwierząt ziemskich kod genetyczny odpowiedzialny za rozwój mechanizmu autoimmunizacyjnego jest ściśle związany z kodem odpowiedzialnym za inny jeszcze proces; można powiedzieć, że oba procesy są podzbiorami jednego i tego samego programu. Ten drugi mechanizm reguluje proces absorpcji i wydalania dwutlenku węgla...

– Rozumiem... – skinął wolno głową Hunt, i choć nie rozumiał jeszcze, do czego zmierza Danchecker, czuł, że w tym właśnie tkwi cała tajemnica.

– Zawsze powtarzasz, że nie lubisz pojęcia zbiegu okoliczności – ciągnął Danchecker. – Ja też nie. A w tym wypadku zbieg okoliczności był szczególnie wyraźny. Zaczęliśmy więc z Tathamem badać sprawę głębiej. Przeglądając rezultaty eksperymentów przeprowadzonych w Nadszybiu i na pokładzie Jowisza Pięć, natknęliśmy się na drugą znamioną rzecz, związaną z tym, o czym mówiłem przed chwilą – chodzi o znalezione na statku zwierzęta oligoceńskie. Mają one ten sam skład genetyczny – z jedną różnicą. Dwa podzbiory tego samego kodu programowego, o których mówiłem, zostały w jakiś sposób od siebie odseparowane; u tych zwierząt są to dwa oddzielne kody, leżące na tej samej spirali DNA. Dziwne, co?

Hunt przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że u współczesnych zwierząt oba te mechanizmy istnieją, lecz pomieszane ze sobą, natomiast u gatunków oligoceńskich były od siebie ściśle oddzielone?

– Tak.

– U wszystkich gatunków oligoceńskich? – spytał Hunt po chwili namysłu.

Danchecker skinął głową z satysfakcją, widząc, że przyjaciel jest na właściwym tropie.

– Dokładnie, Vic. U wszystkich.

– Ale to jest bez sensu. Pierwsza myśl, jaka się nasuwa, to to, że dzięki jakiejś mutacji jedna forma przeszła w drugą – ta z pomieszanymi mechanizmami w tę z odseparowanymi. Zmiana taka mogła zachodzić w dowolnym kierunku. W jednym przypadku forma zmieszana mogła być „naturalną” formą ziemską, która następnie uległa mutacji na Minerwie; to by wyjaśniało, dlaczego zwierzęta stamtąd mają formę rozdzielną, a potomkowie tych, które pozostały na Ziemi, jej nie mają. Albo na odwrót – może dwadzieścia pięć milionów lat temu forma rozdzielna stanowiła normę, co wyjaśnia oczywiście, dlaczego zwierzęta z tamtego okresu ją posiadają – lecz w późniejszej ewolucji zmieniła się w formę zmieszaną – tu spojrział na Dancheckera i rozłożył ręce. – Ale obie wersje mają jedną zasadniczą wadę: że zjawisko to zaszło u wielu różnych gatunków i u wszystkich w tym samym czasie.

– No właśnie – skinął głową Danchecker. – W świetle przyjętych praw doboru naturalnego oraz ewolucji fakt ten wyklucza możliwość mutacji – w każdym razie naturalnej mutacji. Nie do pomyślenia, by jedna i ta sama zmiana wystąpiła spontanicznie i jednocześnie u wielu różnych, nie spokrewnionych ze sobą gatunków... to po prostu niemożliwe.

– Powiedziałeś: naturalnej mutacji? – zdziwił się Hunt. – Co masz na myśli?

– To proste. Zgodziliśmy się, że różnica ta nie może być wynikiem naturalnej mutacji, ale jest ona faktem. Pozostaje tylko jedno wytłumaczenie: różnica ta nie jest naturalna.

W głowie Hunta kłębiły się niewiarygodne myśli. Danchecker wyczytał je w jego twarzy i wyraził słowami:

– Innymi słowy: nie zaszła, lecz ktoś ją wprowadził.

Kod genetyczny został rozmyślnie zmieniony. Była to więc sztuczna mutacja.

Hunt osłupiał. Słowo „rozmyślnie” oznaczało czyjąś świadomą wolę, a zatem implikowało inteligencje.

Danchecker znów skinął głową, jakby potwierdzając słuszność jego domysłów.

– Twoje pytanie powinno więc brzmieć tak: czy to zwierzęta przewiezione na Minerwę zmieniły się, czy też zmieniły się te pozostawione na Ziemi? A teraz dodaj do tego to, co ustaliliśmy przed chwilą – mianowicie, że ktoś rozmyślnie spowodował zmianę – a pozostanie jedna prawidłowa odpowiedź.

Hunt dokończył za niego:

– W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu milionów lat nie było na Ziemi nikogo, kto byłby w stanie tego dokonać, wobec czego zmiany musiano dokonać na Minerwie. A to znaczy, że dokonali jej... – tu głos mu zadrzał.

– Ganimedzi! – rzekł Danchecker i odczekawszy chwilę, by Hunt mógł ochłonąć z wrażenia, ciągnął: – Ganimedzi zmienili kod genetyczny zwierząt przewiezionych na Minerwę. Jestem prawie pewien, że okazy znalezione w Bazie Nadszybia były potomkami osobników poddanych mutacji, którą wiernie reprodukowały. To jedyny logiczny wniosek, jaki można wyciągnąć z danych, którymi dysponujemy. Ponadto wniosek ten w pełni potwierdzają inne dane.

– No proszę! – zawołał Hunt, który niczemu się już nie dziwił. – Jakie to dane?

– Chodzi o ów dziwny enzym znaleziony we wszystkich okazach oligoceńskich – powiedział Danchecker. – Teraz już wiemy, jaka była jego funkcja – i czytając w twarzy przyjaciela tysiące pytań, wyjaśnił: – Enzym ten został sfabrykowany w pewnym specyficznym celu. Rozszczepiał on mianowicie łańcuch DNA dokładnie w tym punkcie, gdzie łączyły się owe dwie podgrupy kodu genetycznego – oczywiście dotyczy to form z rozszczepionym kodem. Innymi słowy enzym ten miał za zadanie wyizolować kod genetyczny odpowiedzialny za powstanie mechanizmu regulacji dwutlenku węgla.

– No dobrze – powiedział wolno Hunt, wciąż jeszcze nie całkiem rozumiejąc, do czego zmierzają wyjaśnienia Dancheckera. – Wierzę ci na słowo. Ale dlaczego ten fakt miałby podtrzymywać tezę o ingerencji ganimedów? Nie bardzo rozumiem...

– Po prostu enzym nie powstał w sposób naturalny! Został sfabrykowany i wprowadzony sztucznie do organizmu. Dlatego znajdowały się w nim ślady rozpadu pierwiastków promieniotwórczych. Został wytworzony sztucznie i zawierał kontrast radioaktywny, dzięki któremu można było obserwować i badać jego działanie w organizmie. Technikę kontrastu stosuje się szeroko w medycynie i badaniach fizjologicznych.

Hunt ruchem ręki poprosił Dancheckera, by zatrzymał się na chwilę w tym punkcie. Pochylił się do przodu i na chwilę przymknął oczy, powtarzając w myśli ciąg rozumowania profesora.

– Tak... w porządku... Mówiłeś mi, że w procesach chemicznych nie odróżnia się radioizotopów od zwykłych izotopów. W jaki sposób ten enzym mógł selekcjonować radioizotopy do swej budowy? Odpowiedź: nie mógł; ktoś musiał to zrobić za niego, enzym musi być więc pochodzenia sztucznego. Ale po co ten ktoś użył właśnie radioizotopów? Odpowiedź: kontrast – powiedziawszy to Hunt podniósł oczy na profesora, który przez cały czas kiwał głową z aprobatą. – Ale ten enzym operuje na zmodyfikowanym łańcuchu DNA, a powiedziałaś przed chwilą, że DNA został zmodyfikowany sztucznie u zwierząt przewiezionych na Minerwę... Ach, rozumiem... Teraz już wiem, jaki to ma związek. Chodzi ci o to, że ganimedzi zmienili kod genetyczny zwierząt ziemskich, a następnie sfabrykowali specjalny enzym, operujący na zmienionym DNA.

– Dokładnie.

– Ale jaki był cel tego wszystkiego? – Hunt był wyraźnie podekscytowany. – Znalazłeś jakieś wytłumaczenie?

– Owszem – odparł Danchecker. – Myślę, że tak. To wszystko, co powiedzieliśmy do tej pory, wystarczy, by się domyślić, po co oni to robili – usiadł splatając na powrót dłonie. – Kiedy uwzględnimy istnienie wzmiankowanego enzymu, cel tego eksperymentu staje się jasny. Tak przynajmniej sądzę... Gdy zwierzętom o zmienionym DNA zaszczepiono ten enzym, chromosomy w komórkach powstałych w wyniku reprodukcji także ulegały modyfikacji. W ten sposób możliwe było wyhodowanie linii posiadającej kod absorpcji

dwutlenku węgla w postaci osobnej jednostki, którą można było poddawać manipulacji, i w ogóle łatwo „dostępnej”. Jeśli wolisz, umożliwiałoby to wyizolowanie rzeczoności kodu – na przykład w celu poddania go dalszym eksperymentom w następnych pokoleniach... – tu Danchecker zawiesił głos, którego ton wyraźnie wskazywał na to, że profesor zbliża się do końcowego wniosku.

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć – odezwał się Hunt. – Tylko nadal nie wiem, dlaczego. Po co im to było?

– Chcieli w ten sposób rozwiązać problem dwutlenku węgla, gdy wszystko inne zawiodło – powiedział Danchecker. – Musieli to wymyślić później, po tym jak „Szapieron” udał się na Iscarisa. W przeciwnym razie Szilohin i inni wiedzieliby o tym.

– Ale w jaki sposób chcieli rozwiązać ten problem? Przepraszam cię, Chris, ale obawiam się, że nadal nie rozumiem.

– Podsumujmy raz jeszcze sytuację, w jakiej się znaleźli – powiedział Danchecker. – Wiedzieli, że poziom dwutlenku węgla na Minerwie zaczął wzrastać i że pewnego dnia osiągnie stan przekraczający ich możliwości adaptacyjne; pozostałym gatunkom minerwańskim zmiana ta nie zaszkodzi, lecz ganimedzi odczują ją boleśnie, gdyż usunęli ze swych organizmów naturalny mechanizm adaptacyjny w celu zmniejszenia ryzyka nieszczęśliwych wypadków. Chodzi oczywiście o usunięcie wtórnego układu krążenia. Odrzuciwszy regulację klimatu jako możliwe rozwiązanie, próbowali przenieść się na Ziemię, a następnie wymyślili ten eksperyment z Iscarisem. Ale żadna z tych prób się nie powiodła. Później, jak widać, wymyślili coś nowego.

Hunt zamienił się w słuch. Nie próbując już zgadywać, machnął tylko ręką zachęcając przyjaciela:

– Mów dalej.

– Ale na Ziemi odkryli jedną ciekawą rzecz. Otóż formy życia, które się tam rozwijały w cieplejszym środowisku niż na Minerwie, nie musiały się borykać z problemem zwiększonego dopływu tlenu i wobec tego nie rozwinęły drugiego układu krążeniowego. A najbardziej interesujące było to, że zwierzęta ziemskie wykształciły w sobie zupełnie inny mechanizm absorpcji dwutlenku węgla, nie mający nic wspólnego z drugim układem krążenia.

Hunt spojrzał z niedowierzaniem na biologa, który umilkł czekając na jego reakcję.

– Chyba nie chcesz przez to powiedzieć... Chcieli to świsnąć?

Danchecker skinął głową.

– Jeśli moje podejrzenia są prawdziwe – takie były właśnie ich zamiary. Sprowadzili na Minerwę zwierzęta ziemskie, by poddać je eksperymentom genetycznym na dużą skalę. Cel tych eksperymentów był, jak sądzę, trojaki. Po pierwsze, zamierzali zmodyfikować DNA w taki sposób, by subkod związany z absorpcją dwutlenku węgla wydzielić z kodu zmieszanego, jaki – tak jak powiedziałaś – wykształcił się w sposób naturalny na Ziemi. Po

drugie, chcieli zastosować pewien środek – ów enzym – w celu zabezpieczenia dokonanego rozdziału i umożliwienia dziedziczenia zmodyfikowanego kodu, tak by uzyskać większe populacje. Po trzecie wreszcie – ale to już czysty domysł – zamierzali implantować odpowiednie geny zwierzętom minierwańskim, chcąc się przekonać, czy te formy życia są zdolne do wytworzenia mechanizmu absorpcji dwutlenku węgla niezależnego od wtórnego układu krążenia. Mamy dowody na to, że osiągnęli dwa pierwsze cele; czy udało im się osiągnąć również trzeci cel – tego na razie nie da się stwierdzić.

– A gdyby powiodło im się w trzecim punkcie, następnym krokiem byłoby... – i znów głos odmówił Huntowi posłuszeństwa, tak był oszołomiony genialnym planem ganimedów.

– Gdyby to się powiodło i nie dawało negatywnych skutków ubocznych, zamierzali bez wątpienia implantować sobie samym ów kod genetyczny – dokończył za niego Danchecker. – I w ten sposób dysponowaliby dziedzicznym mechanizmem tolerancji na dwutlenek węgla, nie tracąc nic z dobrodziejstw wynikających z usunięcia wtórnego układu krążeniowego. Nie sądzisz, że to fascynujący przykład, jak inteligencja może poprawić przyrodę, jeśli ewolucja naturalna wybierze rozwiązanie pozostawiające wiele do życzenia?

Hunt wstał z fotela i przechadzał się wolno po pokoju, zdumiony śmiałością tego planu. Ganimedzi podziwiali ludzi za to, że potrafią rzucić na oślep wyzwanie przyrodzie, ale przed czymś takim ludzie by się z pewnością cofnęli. Atawistyczny instynkt kazał ganimedom unikać fizycznego niebezpieczeństwa, konfliktów i tak dalej; trawiło ich za to nieugaszone pragnienie przygody intelektualnej, zmagania się z problemami naukowymi. Była to siła napędowa ich marszu ku gwiazdom. Danchecker w milczeniu przyglądał się przyjacielowi, czekając, kiedy zada pytanie, które musiał zadać. Wreszcie Hunt zatrzymał się, odwrócił na pięcie i wlepił wzrok w Dancheckera.

– Tak, to był wspaniały plan – przyznał. – Ale nic z tego nie wyszło, Chris?

– Niestety nie – odparł Danchecker. – Ale z powodów, za które ganimedzi nie ponoszą żadnej winy. Może nie dorównujemy im poziomem techniki, ale za to potrafimy powiedzieć, gdzie popełnili błąd – i zaczął wyjaśniać, nie czekając na pytanie Hunta: – Mamy nad nimi tę przewagę, że wiemy więcej o ziemskich formach życia. Mamy wgląd w wyniki badań tysięcy uczonych, którzy w ciągu wieków pracowali nad tymi problemami; ganimedzi, którzy przybyli na Ziemię dwadzieścia pięć milionów lat temu, takich możliwości nie mieli. W szczególności nie wiedzieli tego, co dosłownie ostatnio odkrył zespół profesora Tathama.

– To znaczy nie znali ścisłego związku autoimmunizacji i tolerancji na dwutlenek węgla?

– Właśnie. Uczeni ganimedzcy nie mogli wiedzieć, że wyizolowując ten ostatni kod po to, by ułatwić przyszłe eksperymenty, pozbawiali organizm tego pierwszego procesu. Tak więc wyhodowane w wyniku zastosowanej metody nowe potomstwo byłoby doskonałym obiektem dla prowadzenia dalszych badań nad tolerancją na dwutlenek węgla, ale jednocześnie byłoby pozbawione zdolności autoimmunizacyjnych. Innymi słowy, ganimedzi sfabrykowali i wyhodowali całą gamę mutantów zwierząt ziemskich, nie posiadających

mechanizmu pobudzania procesów obronnych przez wprowadzanie do organizmu małych dawek toksyn. Mechanizm ten mają oczywiście wszystkie współczesne zwierzęta pochodzące od przodków, które pozostały na Ziemi.

Hunt przestał chodzić po pokoju i w miarę jak patrzył na Dancheckera, czoło jego powlekało się zmarszczkami namysłu – uderzyła go nowa myśl.

– Ale to nie wszystko, prawda? – powiedział. – Proces autoimmunizacyjny ma coś wspólnego z wyższymi funkcjami mózgu... Czy chcesz powiedzieć to, co ja myślę, że chcesz powiedzieć?

– Obawiam się, że tak. Jak wiesz, toksyny wprowadzane do organizmu w wyniku procesu autoimmunizacji hamują rozwój wyższych funkcji centralnego układu nerwowego. Jest jeszcze jedna sprawa. Otóż ostatnie prace Tathama wskazują na to, że ze względu na specyfikę ewolucji życia na Ziemi, zdolność do stosowania przemocy i agresywność są ściśle związane z rozwojem centralnego układu nerwowego. Tak więc ganimedzi nie byłoby w stanie wyhodować żądanej odmiany zwierząt, nie usuwając zarazem przeszkody w rozwoju wyższych funkcji układu nerwowego, a to oznaczało równoczesny wzrost agresywności. Skoro tak się sprawy miały i skoro ganimedzi są tacy jacy są, nie sądzę, by kontynuowali ten eksperyment. Nigdy by nie zaryzykowali wprowadzenia do swego garnituru genetycznego takich cech, nawet w najbardziej katastrofalnej sytuacji. Nigdy.

– Tak więc porzucili eksperyment jako nieprzydatny i wynieśli się na inny układ gwiazdny – dokończył Hunt.

– Może tak, a może nie. Nie potrafimy powiedzieć na pewno. Mam taką nadzieję ze względu na Garutha i jego przyjaciół – tu Danchecker odchylił się w fotelu i nagle spoważniał. – Lecz jakkolwiek mają się te sprawy, na jedno twoje pytanie mogę odpowiedzieć w całej rozciągłości.

– Na które?

– No cóż, spróbuj sobie wyobrazić sytuację, jaka powstała na Minerwie, gdy ganimedzi ostatecznie porzucili swoje ambitne plany z zakresu inżynierii genetycznej. Czy wywedrowali w przestrzeń kosmiczną, czy pozostali na planecie – ich dni na Minerwie były policzone. Jeśli więc wyłączyć ganimedów z tego obrazu, co pozostaje? Pozostają dwie różne populacje zwierząt przystosowanych do warunków środowiska. Z jednej strony autochtoniczne zwierzęta minerwańskie, z drugiej zaś sztucznie zmutowane gatunki pochodzące od zwierząt ziemskich, które po wyprowadzeniu się ganimedów mogły swobodnie rozprzestrzeniać się na planecie. A teraz wprowadźmy jeszcze jeden parametr do tego równania. Otóż – jak udało mi się stwierdzić po długich poszukiwaniach w archiwach ZORAKA – rodzime zwierzęta minerwańskie okazały się nietrujące względem odmian ziemskich. Jak myślisz – jaki był wynik tej konfrontacji?

W spojrzeniu Hunta odmalowało się przerażenie.

– Boże wszechmogący! – wysapał. – To musiała być prawdziwa rzeźnia.

– Dobrze mówisz. Wyobraźmy sobie planetę zamieszkaną wyłącznie przez te śmieszne zwierzaki z disnejowskich komiksów, których wyobrażenia znaleźliśmy na statku ganimedzkim w Bazie Nadszybia – zwierzęta, nie mające żadnych możliwości obrony, ucieczki, pozbawione zupełnie instynktu walki o byt. A teraz rzuć między nie typowe drapieżniki ziemskie, które w ciągu milionów lat w drodze doboru naturalnego wykształciły w sobie niewiarygodne okrucieństwo, spryt, sztukę pokonywania ofiary. A trzeba pamiętać jeszcze i o tym, że te zwierzęta ewoluowały osiągając coraz wyższe stopnie inteligencji, której rozwój był przedtem hamowany, ewoluowały umacniając cechę okrucieństwa i agresywności. No, i co widzisz?

Hunt milczał, szeroko otwierając oczy, w miarę jak w jego wyobraźni coraz wyraziściej rysował się okrutny obraz.

– A więc to ich zmiotło z powierzchni Minerwy – powiedział wreszcie. – Biedne pocziwe zwierzaki z minerwańskiego zoo nie miały najmniejszej szansy. Wystarczyło kilka generacji ziemskich drapieżników po opuszczeniu planety przez ganimedów.

– Był jeszcze jeden skutek tego procesu – przerwał mu profesor. – Drapieżniki ziemskie skoncentrowały swoją uwagę na najłatwiejszych ofiarach, to jest gatunkach rodzimych, pozostawiając początkowo w spokoju ziemskie trawożerne pozwalając im tym samym na zwiększenie populacji i zadomowienie się na Minerwie. Gdy zabrakło rodzimych zwierząt minerwańskich, drapieżniki powinny były powrócić do zwyczajów swych ziemskich przodków. Lecz w międzyczasie na planecie wykształciło się zrównoważone środowisko zwierzęce... – profesor mówił teraz cichym, dziwnym głosem. – I tak już miało pozostać... aż do czasu pojawienia się selenitów.

– Charlie... – wyszeptał Hunt, czując, że Danhekker doszedł wreszcie do sedna sprawy. – Charlie – powtórzył. – Znaleźliście przecież u niego ten sam enzym.

– Tak, lecz już w formie nieco zdegenerowanej... tak jakby był w fazie zanikania. Rzecz jasna, zanikł, bo przecież człowiek współczesny go nie posiada... Ale rzecz w tym, że, jak powiedziałaś, Charlie go miał, reszta selenitów prawdopodobnie też.

– A Charlie mógł go mieć tylko z jednego źródła...

– Właśnie.

Hunt podniósł rękę do czoła, gdyż kręciło mu się w głowie od tych rewelacji. Odwrócił wolno głowę i napotkał uroczyste spojrzenie Danhekkera. Na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie, jakby starał się odrzucić to, co rozum objawił z nieodpartą logiką. Osunął się wolno na poręcz najbliższego fotela. Danhekker milczał, czekając, aż Hunt sam podsumuje temat.

– Populacja przywieziona na Minerwę obejmowała również oligoceńskie naczelne – zaczął Hunt po chwili. – Musiały to być najwyżej rozwinięte gatunki, istniejące w danej chwili na Ziemi, mające potencjalne możliwości dalszego rozwoju. Ganimedzi niechcący usunęli hamulce tego rozwoju... – podniósł wzrok, natykając się na nieruchome spojrzenie

Dancheckera. – I zaczęły się rozwijać. Nic nie mogło ich powstrzymać. Z tą domieszką agresywności, której popuszczono wodze... cały gatunek zbiegłych mutantów... Frankensteinów...

– Od których, rzecz jasna, pochodzą selenici – dodał Danchecker poważnym głosem. – Zgodnie z regułami gry nie powinni byli przeżyć. Teorie i modele ganimedzkie przewidywały, że muszą zniszczyć sami siebie. I prawie im się to udało. Zamienili całą planetę w jedną wielką fortecę, a gdy posiadli wysoko rozwiniętą technikę, życie upływało im wśród ustawicznych wojen i bezlitosnej wzajemnej eksterminacji. Nie byli w stanie wymyślić innego sposobu rozwiązania swych problemów. W końcu rzeczywiście zniszczyli sami siebie, a przy okazji Minerwę... w każdym razie zniszczyli swą cywilizację, jeśli można to tak określić. Powinni byli zginąć wszyscy, lecz tak się nie stało, choć prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy wynosiło jeden do miliona... – tu Danchecker przerwał i spojrzął na Hunta, by ten skończył jego myśl.

Ale Hunt tylko siedział i wpatrywał się w niego kompletnie oszołomiony. Gdy nuklearny holocaust wywołany przez dwa wrogie supermocarstwa seleniczne zmienił na zawsze oblicze Księżyca, a Minerwa przestała istnieć, Księżyc runął i został przechwycony przez Ziemię. Grupka tych, co przeżyli, miała jeszcze na tyle sił i środków, by wyruszyć w ostatnią rozpaczliwą podróż – na powierzchnię nowego globu, który wisiał obecnie nad ich głowami. Przez czterdzieści tysięcy lat potomkowie przybyszy brali udział w toczącej się na Ziemi walce o przeżycie, lecz w końcu rozprzestrzenili się po całej planecie i wyrosli na równie bezkonkurencyjnych przeciwników, co ich przodkowie na Minerwie.

Wreszcie Danchecker zabrał głos, podsumowując spokojnie owe rozważania.

– Do niedawna przypuszczaliśmy, że selenici, a tym samym człowiek, powstał w wyniku bezprecedensowej mutacji, która dokonała się wśród naczelnych na Minerwie. Zauważyliśmy również, że w którymś momencie swego rozwoju człowiek odrzucił wspólny wszystkim zwierzętom system autoimmunizacyjny. Teraz nie tylko przekonaliśmy się, że to prawda, ale ponadto dowiedzieliśmy się, jak do tego doszło. W rzeczywistości wiele gatunków poszło tą drogą, lecz wszystkie z wyjątkiem jednego zginęły w czasie katastrofy Minerwy. Tylko jeden gatunek – człowiek w postaci selenicznej – powrócił na Ziemię – Danchecker zaczerpnął tchu. – Na Minerwie rzeczywiście dokonała się bezprecedensowa mutacja, lecz nie była ona naturalna. Człowiek współczesny nie ma już tych ekstremalnych cech, jakie przywiodły selenitów do zguby, lecz dowód na to, że jesteśmy ich potomkami z prawego łoża, jest wpisany w naszą historię. Homo sapiens to końcowy produkt serii nieudanych eksperymentów genetycznych ganimedów!

– Ganimedzi ufają, że człowiek powoli, lecz pewnie uwalnia się od tej niestałości i nieokiełznanej przemocy, jaka zgnęła selenitów. Miejmy nadzieję, że mają rację.

Przez dłuższy czas obaj mężczyźni milczeli. Co za ironia losu, myślał Hunt, że po tym wszystkim, co mówili ganimedzi o ludziach, okazało się, że to ich własna rasa była winna

wszystkiemu, co wydarzyło się w ciągu minionych dwudziestu pięciu milionów lat. I przez cały ten czas, gdy z naczelných powstawały istoty rozumne na Minerwie, gdy zrodziła się i zginęła cywilizacja selenicka, a na Ziemi rozegrało się pięćdziesiąt tysięcy lat ludzkiej historii – „Szapieron” był tam w przestrzeni, zachowany dzięki tajemniczemu działaniu praw zaburzających przestrzeń i czas.

– Seria nieudanych eksperymentów genetycznych ganimedów – powtórzył jak echo Hunt.
– Więc to oni są przyczyną wszystkiego. I wrócili tu, by się przekonać, że uprawiamy podróże kosmiczne, budujemy reaktory fuzji jądrowej; podziwiali tempo naszego rozwoju. A przecież sami to wszystko wywołali dwadzieścia pięć milionów lat temu w swych laboratoriach... i machnęli na to ręką jako na fuszerkę! To naprawdę zabawne, Chris. Cholernie zabawne. A teraz odeszli na zawsze. Ciekaw jestem, co by powiedzieli, gdyby wiedzieli to, co my.

Danchecker nie odpowiedział od razu, lecz przez chwilę wpatrywał się w zadumie we własne biurko, jakby zastanawiając się czy ma wypowiedzieć głośno swoje myśli. Wreszcie wyciągnął rękę i zaczął bawić się machinalnie piórem. Kiedy się odezwał, nie patrzył na Hunta, lecz na pióro, które bez przerwy obracał w palcach.

– Wiesz, Vic, przez kilka ostatnich miesięcy przed odjazdem ganimedzi bardzo się interesowali wszystkimi aspektami biochemii zwierząt ziemskich, danymi na temat Charliego, ludzi oraz zwierząt oligoceńskich z Nadszybia. Przez długi czas palili się do tych rzeczy, a ZORAK nie mógł nadażyć ze stawianiem pytań. A potem, jakiś miesiąc temu, nagle przestali się tym interesować. Nabrali wody w usta.

Profesor podniósł oczy i spojrzał na Hunta otwarcie i szczerze.

– Chyba wiem, dlaczego – powiedział cicho. – Widzisz, Vic... oni o wszystkim wiedzieli. Tak, wiedzieli. Zrozumieli, że rzucili w ten niegościnnie wszechświat patetycznie zdeformowane stworzenie i kazali mu walczyć z przerastającymi jego siły przeciwnościami losu, a teraz wrócili i zastali to stworzenie jako triumfującego zdobywcę, który drwi z niebezpieczeństw i wyzwania, jakie rzuca mu kosmos. I dlatego odeszli. Uważają, że sprawiedliwość wymaga, by pozostawili człowieka samemu sobie, by mógł nadal doskonalić ten świat w taki sposób, jaki uzna za właściwy. Wiedzą, kim byliśmy i do czego doszliśmy. Uważają, że dość już wycierpieliśmy w przeszłości, i że lepiej pokierowaliśmy naszym losem niż oni.

Danchecker odłożył pióro i zakończył, patrząc Huntowi prosto w oczy.

– A jednak, Vic, myślę, że ich nie zawiedziemy. Najgorsze mamy za sobą.

Epilog

Sygnal wyemitowany przez olbrzymi nadajnik obserwatorium na odwrotnej stronie Księżyca wyostał się poza obręb Układu Słonecznego i pomknął w pustkę. Jego słaby szept dotarł do czuwającego nieprzerwanie od niepamiętnych czasów wartownika. Obwody robota rozpoznały sygnał i zareagowały na kod ganimedzki, w jakim ułożono wiadomość.

Inna część robota przetworzyła go w wibracje sił i pól posłusznych prawom nieznanym człowiekowi i wysłała przetransformowany sygnał w przestrzeń egzystencji, której wszechświat jest tylko słabym echem. W innej części tego wszechświata, na cieplej, ogromnej planecie krążącej wokół pogodnej gwiazdy inne maszyny odebrały i zdekodowały sygnał.

Twórcy tych maszyn, przyjąwszy wiadomość, nie mogli się nadziwić temu, co usłyszeli.

Wartownik wyłuskał ich odpowiedź z superstruktury przestrzeni kosmicznej, przetransformował ją na fale elektromagnetyczne i przesłał ten nowy sygnał do satelity krążącego wokół trzeciej planety licząc od Słońca.

Astronomowie obserwatorium na odwrotnej stronie Księżyca potracili głowy; nie potrafili sobie wytłumaczyć, skąd wzięła się informacja przyjęta przez ich odbiorniki. W promieniu wielu lat świetlnych nie było nikogo, kto mógłby odebrać wysłany przez nich sygnał, a jednak odpowiedź przysłała już po kilku godzinach. Urzędnicy SKONZ byli równie oszołomieni. Tymczasem uczeni, korzystając z informacji wydobytych z archiwów ZORAKA, starali się przetransponować wiadomość z kodu ganimedzkiego na język ganimedzki. Ale nic z tego nie wychodziło.

Wreszcie ktoś wpadł na pomysł wezwania niejakiego doktora Victora Hunta z Nawkomu. Hunt natychmiast przypomniał sobie studia Maddsona nad językiem ganimedzkim i posłał radiogram do sekcji lingwistycznej. Maddson wraz z asystentem męczyli się przez dwie doby. Było to dla nich nowe zadanie, i nie mając ZORAKA pod ręką, posuwali się bardzo powoli. W końcu jednak Maddson, z oczyma czerwonymi z niewyspania, triumfalnie wręczył Huntowi kartkę papieru, na której była wydrukowana następująca wiadomość:

Opowieść o tych, co polecili na Iscarisa, przekazywana jest z pokolenia na pokolenie od czasu, gdy opuściliśmy Minerwę. Jakkolwiek tam się dostaliście i jakkolwiek nas znaleźliście – wracajcie do domu. Teraz jest nowa Minerwa. Czekają na was wasi synowie i córki.

Prócz tego były tam jakieś liczby i symbole matematyczne, które, odczytane przez innych pracowników Nawkomu, poświadczały, że sygnał został wysłany z Gwiazdy Olbrzymów. Liczby zgadzały się z typem spektrum gwiazdy i jej położeniem geometrycznym względem łątowych do zlokalizowania pulsarów znajdujących się w pobliżu Galaktyki.

Hunt nie był w stanie wyobrazić sobie, jakie procesy fizyczne wchodziły tu w grę, lecz nie było czasu na uczone rozważania. Trzeba było powiadomić ganimedów o tym, co się wydarzyło, a „Szapieron” na pełnym ciągu był poza zasięgiem zwykłych fal elektromagnetycznych. Jedyna nadzieja, to złapać go na Ganimesesie.

Wiadomość z Gwiazdy Olbrzymów przesłano natychmiast do Kwatery Głównej Operacyjnego Centrum Dowodzenia SKONZ w Galveston, stamtąd przekazano ją satelicie komunikacyjnemu, który przesłał ją dalej na Jowisza Pięć. Mijały godziny. Hunt, Danchecker, Maddson, Caldwell i kto żyw w Houston czekali niecierpliwie na wiadomość. Wreszcie ekran rozświecił się i przeczytali komunikat:

„Szapieron” wystartował siedemnaście minut przed nadejściem waszego radiogramu. Ostatni raz widzieliśmy go, gdy przyspieszał wchodząc w głęboką przestrzeń. Brak kontaktu. Przepraszamy.

Nic więcej nie mogli zrobić.

– No, w każdym razie – odezwał się Hunt, odwracając się i spoglądając w półokrąg przygnębionych twarzy – przyjemnie jest wiedzieć, że gdy zajadą na miejsce, okaże się, że to wszystko się jednak opłaciło. Dzięki Bogu, na końcu podróży nie czeka ich przykra niespodzianka – i raz jeszcze rzuciwszy okiem na ekran dodał filozoficznie: – Ale byłoby chyba jeszcze przyjemniej, gdyby i oni o tym wiedzieli.